

Mała Zagłada
pokazuje, że blizny
dziedziczy się
po rodzicach
i ciągle są pytania
wymagające
odpowiedzi.

*Historyk
Adam Sikorski,
dziennikarz TVP*

Poruszająca
w potrzebie
dotarcia do
istoty prawdy. Tej
najokrutniejszej.

*Profesor
Robert Traba,
Centrum Badań
Historycznych PAN*

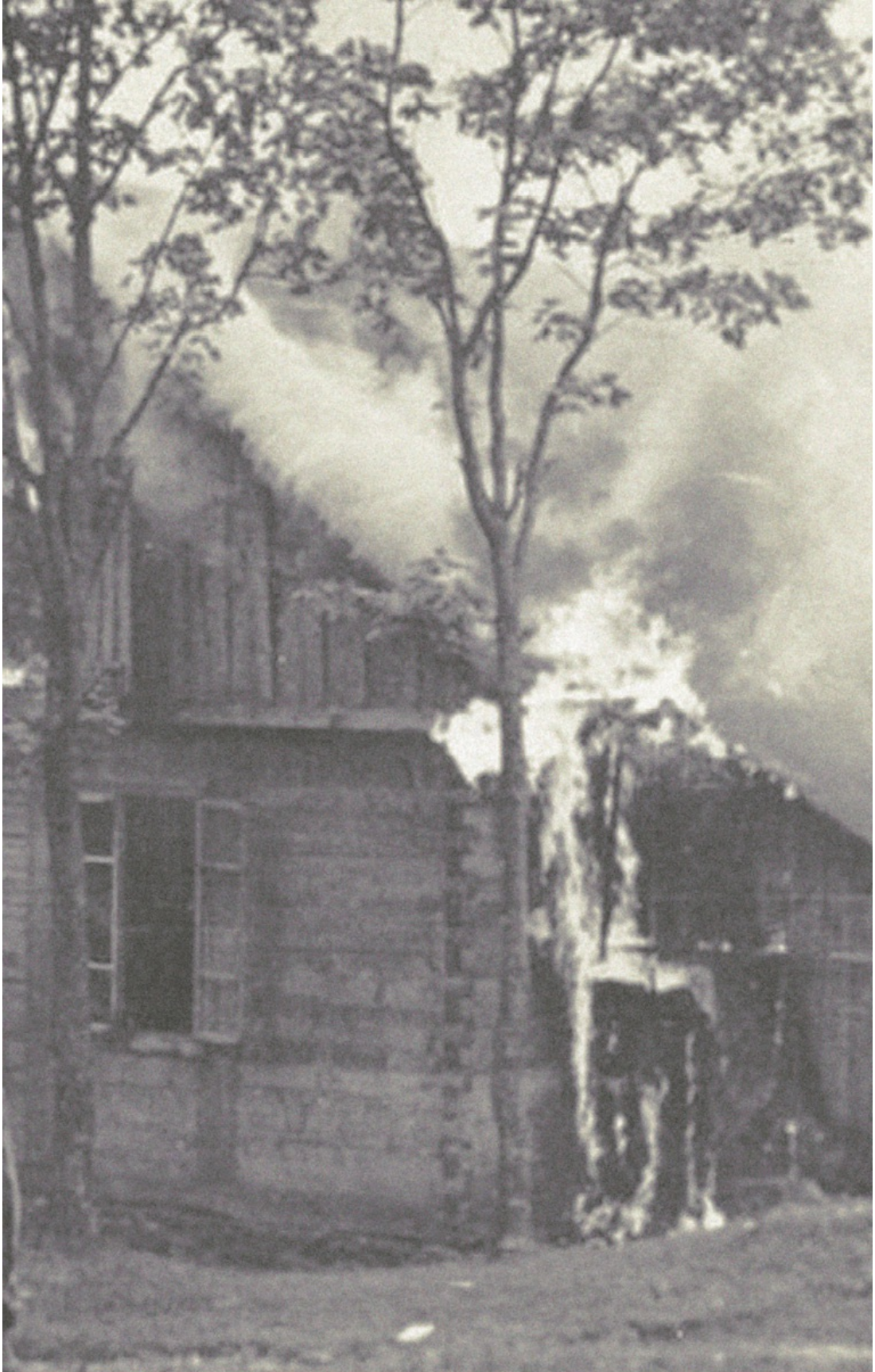


Anna
Janko
**MAŁA
ZAGŁADA**



Anna
Janko
**MAŁA
ZAGŁADA**

Wydawnictwo Literackie



Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Początek

Poranki dnia pierwszego

Mała Renia

Gdzie święta Agata...

Dobry Niemiec

Imiona

Mięso duchów

Nie zamykaj oczu

Szczęście

Pustka

Nie patrz tak na nich, nie patrz...

Drugie szczęście Hioba

Nie chciałeś tam wracać...

W Niepolsce

Prezydent

Okno

Z dziećmi zawsze problem

„Rizaty, rizaty”

Podludzie w podwiosce

Ten czas

Słowo „nazizm”

Wypalona dolina

W płaczu zaklęta

Dzieci mieć – prawdziwe nieszczęście

Wszyscy chcą zrozumieć...

W wojnie cudowne jest to...

Chłopcy malowani

Dobrzy rodzice, źli rodzice

Bobo, aniołek...

Obiekt w ruchu

Całopalni

Cóż jest dziecko?...

Piwnica

Krajobraz po zagładzie

Ich erzähle

Koniec

POSTSCRIPTUM. Porządkowanie masakry

Informacje o zdjęciach

Opieka redakcyjna: ANITA KASPEREK

Redakcja: ANNA MILEWSKA

Korekta: HENRYKA SALAWA, MAŁGORZATA WÓJCIK, WERONIKA KOSIŃSKA

Opracowanie graficzne: MAREK PAWŁOWSKI

Na okładce: zdjęcie Tereni i Jasia Ferenców zrobione w sierpniu 1943, dwa miesiące po pacyfikacji Soch, Archiwum autorki

Redakcja techniczna: BOŻENA KORBUT

Skład i łamanie: Scriptorium „TEXTURA”

© Copyright by Anna Janko

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2015

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-05727-8

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

tel. (+48 12) 619 27 70

fax. (+48 12) 430 00 96

e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl

księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Mojej mamie, Teresie Ferenc, oraz mieszkańcom wsi Sochy na Zamojszczyźnie





Pacyfikacja Zamojszczyzny, wrzesień 1939.



Renia. Zdjęcie zrobione około trzech miesięcy po pacyfikacji Soch.



Polscy cywile prowadzeni na egzekucję, wrzesień 1939.

Początek

Mamo, pomyśl, nie miałaś najgorzej. Tylko zabijanie i podpalanie. Żadnego znęcania, pa-stwienia się, maltretowania, nikt nawet kobiet nie gwałcił. Szli i tylko zabijali, po kolei. I to byle jak zabijali: raz trafił, raz nie, czasem poprawiać trzeba było. Strzelali, czyli dobrze, bo jak mówią, śmierć od kuli jest tą lepszą śmiercią. Niejeden człowiek by marzył od strzału umrzeć...

Pomyśl, mamo, twój tata tylko chwilę się męczył, a twoja mama w ogóle, moment – i jej nie było. Nawet nie widzieli, jak spłonął wasz nowy dom. Nawet się nie dowiedzieli, że cała wieś została spalona i zginęli prawie wszyscy. Mieli szczęście.

Wyobrażam sobie albo pamiętam. Strach jest rodzajem pamięci, mogę więc tak powie-dzieć. Strach dziedziczny, przekazany w życiu prenatalnym, wyspany z mlekiem matki, strach, który ma uchronić młode przed niebezpieczeństwem.

Pamiętam tamten dzień, bo twoje koszmarne sny dostawały się do mojego krwiobiegu przez pępowinę, gdy jeszcze tkwiłam w twoim brzuchu. Ty przecież stale śniłaś to wszystko, bo w żaden inny sposób nie umiałaś się pozbyć owego potwornego nadmiaru wrażeń – obra-zów krwi, łopotu ognia i ludzkiego krzyku – których się napiłaś oczami i uszami, gdy miałaś dziewięć lat i wzięłaś udział w apokalipsie. Wzięłaś udział w apokalipsie świadoma i przy-tomna, bo w tym wieku jest się już wystarczająco dojrzałym do tragedii. Tyle że nie znałaś języka zbrodni, więc nie mogłaś tego wcześniej opowiedzieć nikomu, dopiero mnie, która siedziałam w twym brzuchu i mogłam słuchać opowieści bez słów. A potem, gdy już byłam na świecie, uczyłaś się tych słów razem ze mną... Historia twojego dzieciństwa stała się rdze-niem mojego. Dlatego pamiętam tamten dzień, jakbym go sama przeżyła.

Po maju wietrznym i chłodnym, po nocy głębokiej i krótkiej nastał świt pierwszego czerw-ca. W coraz lżejszej ciemności oddzieliło się najpierw niebo od ziemi. Potem się pokazały ja-sniejsze plamy, to dokwitały drzewa w ciasnych sadach. Potem szczeknął pies, jeden, drugi, choć powinny spać jeszcze. Słońce szło już w górę, aby zajrzeć w tę wąską dolinę pomiędzy wzgórzami. W dolinie wioska, osiemdziesiąt osiem domów, większość pod strzechą. Dwa czy trzy murowane. I ten jeden jedyny, kryty dranicą, drewniany, lecz podmurowany, nasz. Numer pięćdziesiąty siódmy, po północnej stronie drogi. Bo droga wiodła z zachodu na wschód, a domy pobudowane były na tej osi.

Sochy.

To był wtorek, pierwszy dzień czerwca 1943 roku, około piątej rano, w Sochach, trzy kilo-metry od Zwierzyńca, dziewiętnaście od Biłgoraja, dwadzieścia siedem od Zamościa, osiem-dziesiąt od Lublina, dwieście trzydzieści od Warszawy, sześćset dziewięćdziesiąt osiem od Berlina, w prostej linii. Od słońca osiem minut świetlnych...

Słońce jeszcze się dobrze nie wsparło na promieniach, gdy na zboczach od północy i od południa i na krańcach drogi ze wschodu i z zachodu pojawiły się postacie jak ze złego snu.

Śniłaś jeszcze. Wiem, że pamiętasz ten sen, bo był ostatnim snem w normalnym życiu. Śniło ci się, że jesteś ze swoją mamą w miasteczku na dużym placu pełnym ludzi. Wielki tłum, morze ludzi... To morze zagarnia mamę i ona znika ci z oczu. Rozglądasz się, wołasz – bez skutku. Ludzi jest coraz mniej, już się tylko pojedynczo kręcą, a ty stoisz pod jakimś samotnym drzewem i z całych sił wołasz: „Mamo! Mamo!”. Ale ona nie słyszy, nikt nie słyszy, twój krzyk jest bezdźwięczny. We śnie tak się zdarza, jakby się było w szklanym słoiku, poza światem.

Jesteś przerażona.

A wiesz, że ja pamiętam podobny sen z mojego dzieciństwa? Jest jakby do pary z twoim. Przyśnił mi się po raz pierwszy w Stolnikowiznie, gdzie mieszkała rodzina twojej matki. Tam mnie woziliście, do Stolnikowizny, nigdy do Soch. Ale to ta sama ziemia, czterdzieści parę kilometrów w stronę Lublina; twój ojciec pokonywał tę odległość rowerem. Do Stolnikowizny przywiózł mnie kiedyś tata, miałam najwyżej pięć lat, nie wiem, czemu nie było cię wtedy z nami. Mieszkaliśmy wtenczas na Śląsku, w Rybniku, najwidoczniej zostałam w domu.

Po długiej podróży położono zmęczone dziecko spać. W izbie stały dwa zaścielone łóżka, mam w oczach ten widok, dwa łóżka naprzeciwko siebie pod dwiema ścianami, na jednym pościel w czerwonej kratę, na drugim w niebieską. Nie wiem, w którym zasnęłam. Śniło mi się, że się budzę, a ojca nie ma, zostawił mnie tu, w obcym domu. Sam poszedł na przystanek, wsiadł w autobus i odjechał. Goniłam za nim, wołam. Ale on mnie nie widział i nie słyszał. Biegłam za odjeżdżającym autobusem, krzycząc z całych sił: „Tato! Tato!”, ale on nie słyszał, bo mój krzyk był bezdźwięczny. W snach tak się zdarza, jakby się było w szklanym słoiku, poza światem... Byłam przerażona. Gdy się obudziłam do właściwej jawy, wyskoczyłam przed dom. Na ławce, która stała pod oknem, zaraz po lewej stronie od drzwi, zobaczyłam tatę. Był! Siedział z Leonką, najmłodszą siostrą twojej mamy, obok przykucnęły jej dwie córki, Jadzia i Tereska. Wszyscy zatopieni w nieruchomym ciemnozłotym świetle zachodzącego słońca.

Potem wiele razy mi się śniło to samo, tylko autobus raz był czerwony, raz niebieski... Niebieskie jadą do nieba, czerwone do piekła. Tak mówiliśmy w dzieciństwie; w tamtych latach autobusy to były jelicze i sany, a malowano je tylko na dwa kolory: miejskie na czerwono, zamiejskie na niebiesko.

Jakiego koloru pościel mieliście w Sochach? Nie pamiętasz. Ile pamięta dziecko z wojny? Trzyletnie – jak Kropka, twoja siostra – nic. Wszystko, co się przydarza trzyletniemu dziecku, tonie w podświadomości. Pięcioletnie – jak brat Jaś – pozostaje z kilkunastoma obrazami, które jego pamięć tasuje i rozrzuca, tasuje i rozrzuca... Dziewięcioletnie, jak ty, jest już w pełni dojrzałe do tragedii, dźwiga księgę wojny, księgę, w której słowo „koniec” znajduje się na pierwszej stronie. Jakiego koloru pościel mieliście w Sochach? Czerwoną?

Woziliście mnie do Stolnikowizny, nigdy do Soch. Jednak zawsze na bardzo krótko, bo za każdym razem się okazywało, że trzeba uciekać – po dwóch, trzech dniach zaczynałam chorować. Ochrzciliście mnie tam, w wieku niemowlęcym, jest pamiątkowa fotografia: Leonka trzyma becik, wokół niej ciemne postacie. Wszyscy tacy poważni, jakby to nie chrzciny

były, ale stypa.

Zaraz po powrocie z kościoła ktoś zauważył, że dziecko nie wygląda dobrze, buzia cała w czerwonych plamach. Może to od wody święconej? Może nieświeża była? Jednak po godzinie takie same plamy pojawiły się także na brzuchu i na plecach, trzeba było wyjąć dziecko z pościeli i goło trzymać, tak się darło. Okazało się, że to dziecko, które potem stało się mną, od pierwszych chwil życia uczulone jest na ziemię przodków. Dziko swędząca wysypka i opuchnięte gardło, które nie dawało się wyleczyć niczym, tylko ucieczką z Zamojszczyzny.

To lessy, „popielica”, ziemia miała jak puder, brązowa jak kakao i unosząca się z wiatrem, wchodziła mi do środka przez skórne pory, przez nozdrza i usta.

Jako mała dziewczynka kilka razy pojechałam tam z wami – i zaraz z powrotem; wracałam obsypana krostami, wijąca się z powodu świądu i wyjąca z bólu. Długo potem, w wieku kilkunastu lat, znowu próbowałam spędzić tam wakacje. Jednak nocami zrywałam się w pie-rzynach, drapiąc oburącz zaognione łydki i brzuch. A we dnie leżałam w izbie, bo ból gardła odbierał mi chęć do czegokolwiek. Wszyscy szli w pole len zbierać, a ja usiłowałam się leczyć, bezskutecznie. Wstawałam tylko po to, by popatrzeć na nich, jak się schylają, jak tną, jak snopki wiążą nieduże, i wracałam zboląa i upocona, by w chałupie przełknąć z trudem trochę buraków albo kapusty. Na piecu w kuchni zwykle stały dwa wielkie garnki z jarzyną, czekały na czas powrotu z pola Leonki, jej męża i moich kuzynek. Podpłomyki też czekały, jeden na drugim poukładane, ale moje gardło nie przełknęłoby twardego ciasta. Trzeba było wszystko rzucić i uciekać.

Wtedy – to był siedemdziesiąty czwarty rok – zanim zachorowałam, zanim mojemu ciału przypomniało się, że nie może tu być, zdążyłam pochodzić po wsi. Wówczas jeszcze ponieważ niektóre domy były kryte słomą, na niebiesko malowane. Jeszcze spotkałam na drodze starą kobietę w chuście, prawdziwą wędrowną babę, która wyróżyła mi dwóch mężów i życie w podróży. Spotkałam ją za zakrętem, tam gdzie stał pusty już dom twoich dziadków, tych po kądzieli. Droga była ze ślicznego ciemnobrązowego błota. Skrajem po krótkiej, wyszczypanej trawie, nasiąkniętej wodą jak gąbka, z sykiem biegły gęsi. Bały się motocykla. Ale jak to gęsi – agresywnie się bały. Bo nieopodal stał chłopak wsparty o czarny błyszczący motor i odpalał go raz po raz dla szpanu. Miał na sobie garnitur z białej wytłaczanej krempliny, ze złotymi guzikami. Wtedy to był największy szyk w niedzielę.

Paru mężczyzn z „naszych” wsi wyemigrowało jeszcze przed wojną do Stanów, na przykład jeden z twoich stryjów – jak on miał na imię? Wszyscy mówili o nim: „ten brat, co jest w Ameryce”. Stamtąd zapewne ten biały garnitur ze złotymi guzikami trafił do ubłoconej wioski, z amerykańskiej paczki...

Zanim pokryłam się wysypką, zdążyłam pójść do domu pradziadków. Opuszczony był już wtedy, ale się jeszcze nie rozpadał. Chodziłam po nim, otwierałam skrzypiącą szafę, całkiem posiwiąa. Zaglądałam do skrzyni, w której schowany był wielowarstwowy zapach pleśni, przeglądałam się w zamglonym lustrze, wiszącym nad kuchennym stołem, i wydawałam się sobie w nim śmiertelnie blada. Wyobrażałam sobie, że w to lustro patrzyłaś trzydzieści lat temu, kiedy cię tu przywieźli po spaleniu Soch. Miałam wrażenie, jakbym patrzyła ci prosto w oczy, w twoje zatrzymane tam odbicie. Gdyby lustra miały pamięć i umiały ją uruchamiać, kto wie, może nikt by nie wpadł na pomysł kręcenia filmów...

Przechadzałam się po podłodze z nierównych desek; kiedy ukucnęłam, szpary między nimi rozszerzyły się i ujrzałam niebieskawy koralik i spinkę do włosów. Usiadłam na łaciatym krześle, kiedyś zapewne białym. Chciałam coś poczuć, ale nie wiedziałam co. Jakiś inny czas. Jakąś inną mnie.

I coś poczułam. Jakby święto bez świętujących. Jakbym trafiła na ślady minionej cywilizacji, którą opuściłam dawno temu i nikt tam nie zczekał na mój powrót, bo ich czas pobiegł dziesięć razy szybciej.

Kiedy wyszłam za próg, żeby już wracać do domu Leonki, zaatakował mnie kogut. Kogut olbrzym, rudy, z grzebieniem jak kawał krwistego mięsa. Czekał na mnie na ganku i gdy tylko mnie zobaczył, poderwał się z wrzaskiem i trzepotem – jak przez Hitchcocka wyreżyserowany – i wbił mi dziób w kolano. Krzyknęłam i zanim on znów wzbił się w powietrze, cofnęłam się do środka. Trzęsącymi się rękami zasunęłam zasuwę. Słyszałam wcześniej od Leonki, że tu kogut pilnuje, że kogut sąsiada uznał opuszczone gospodarstwo za swój rewir, ale przecież nie brałam poważnie opowieści o jakimś kogucie! Tymczasem on potraktował mnie jak intruza, który wtargnął na jego teren.

Dość długo siedziałam uwięziona w pustym domu, bojąc się stamtąd wyjść. Z kolana cieknęła mi krew, a strach za gardło trzymał. Potem gdy się już czas wytracił i emocje opadły, pobiegłam, kulejąc, przez podwórko, żeby zdążyć przed kogutem, który się akurat oddalił ku stodole. Zatrzasnęłam za sobą furtkę. Byłam stąd czy nie byłam? Nic mnie tu nie chciało.

Po dwóch tygodniach – aż tyle wytrzymałam cała w krostach i z opuchniętym gardłem – odwieźli mnie furmanką na autobus do Wysokiego, a w Lublinie wsiadłam w pociąg do Wrocławia (pamiętasz, wtedy we Wrocławiu mieszkaliśmy). Miesiącami oglądałam swe dziewczynskie nogi zeszpecone sinymi bliznami po rozdrapanych ranach i przysięgałam, że więcej tam nie pojedę...



Moja babcia Józia. To jej jedyna fotografia, jaka przetrwała. Zrobiona kilkanaście miesięcy przed śmiercią. Zdążyła być szczęśliwą żoną i matką.



Mój dziadek Władek Ferenc. Zginął w wieku chrystusowym, czyli miał 33 lata. Zdążył posadzić drzewo, spłodzić syna, zbudować dom.

Dopiero teraz, to znaczy w dorosłym życiu, alergii odpuściła. Pojechałam na Zamojszczyznę próbnie w 1998 roku, a gdy pociąg wjechał pomiędzy te „toskańskie” pagórki Roztocza (tak piszą w przewodnikach turystycznych, że to polska Toskania, bo gdy się jakieś piękno do innego, sławniejszego piękna porówna, łatwiej je docenić) i szyby okien przesuwały się po zielono-żółtych polach, porozrzucanych na zboczach jak kraciaste chusteczki, wzruszyłam się. Szczerze mówiąc, nie potrafiłam opanować łez. Skądś z bardzo głęboka te łzy wypływały, może nawet nie należały do mnie. Tak właśnie pomyślałam wtedy, że to nie moje łzy, że to geny płaczą.

Podobnie było rok później, gdy na warszawskiej Starówce grał węgierski zespół ludowy Téka. Twój tata był z pochodzenia Węgrem, choć żadnych materialnych śladów przybycia jego przodków z Węgier już dawno nie ma. Nie interesowałam się tą historią szczególnie, poza tym, że gdy od czasu do czasu w naszej rodzinie przychodziło na świat dziecko mało słowiańskie w typie, ciemnookie i śniade, cieszyłam się, bo to według mnie zawsze obietnica urody. Ojciec twojego ojca na przykład, czyli dziadek z Soch, to był przystojny mężczyzna z czarnym wąsem, nigdy nieposiwiiałym... Albo Czesia, twoja cioteczna siostra, też z Feren-

ców. No i moje dzieci, ciemnoskóre, czarnookie.

Na owym koncercie węgierskiego zespołu Téka znalazłam się przypadkiem. Stałam na Rynku Starego Miasta w tłumku słuchających ludzi, ale słyszałam chyba więcej niż oni. Bo jeszcze i coś ze środka mnie też zagrało i się z tamtą muzyką splotło. Poczulałam tęsknotę, nie wiadomo za czym, i taki szloch bezrozumny mną wtedy wstrząsnął, że chciałam uciekać. A nie byłam przecież starą babcią, co zamierzchłe lata wspomina, tylko kobietą jeszcze młodą, co akurat nowe życie w Warszawie zainicjowała, u boku nowego mężczyzny! Nie mogłam się opanować w tamtej chwili, łapałam tylko kątem oka zdziwione spojrzenia stojących obok ludzi, myśleli pewnie, że mnie może coś boli albo mam jakieś zmartwienie pozamuzyczne... No bo tu przecież tylko węgierski folk grają... Tymczasem te dźwięki dobiegały się do mnie, omijając świadomość, trafiały – no nie wiem – w tożsamość? Ukrytą, pradawną, ale zapisaną spiralnie na dnie każdej komórki ciała.

A wiesz, że *téka* to po węgiersku półka, taka szczególna półka w domu, specjalne miejsce na pamiątki rodzinne, dokumenty, fotografie? Niedawno przypadkiem trafiłam na tłumaczenie tego słowa. No i patrz, jaka niespodzianka, węgierski rytm mam we krwi. Po tobie, po twoim ojcu.



Fotograf z rzadka zaglądał do wioski... Renia w dniu Matki Boskiej Zielnej, tuż przed wojną.

Poranki dnia pierwszego

Twoja pamięć zetlała i tyle z niej uszło... Dziś pamiętam więcej od ciebie, a jeszcze trochę doczytałam, ludzi popytałam. Musimy razem usiąść i odpomnieć, ile się da. To przecież nasza wspólna historia. Czasem mi się wydaje, że już bardziej moja niż twoja...

Tamtego poranka, kiedy cię mama obudziła z tego złego snu, ucieszyłaś się na jej widok i poczułaś wielką ulgę, że cię odnalazła. Jednak radość trwała tylko parę sekund. Jawa, w której przez moment wszystko było jak dawniej, zamieniała się na powrót w koszmar, z którego obudzić się już nie dawało.

„Wstawaj, Renia, ubierz dzieci – słyszysz słowa swojej mamy do ciebie skierowane – musimy wychodzić, Niemcy są we wsi – słyszysz – palą domy, zabierają ludzi”. Słyszysz i widzisz, jak mama biegnie, co chwilę coś chwyta, objada się o ściany izby jak owad w słoiku. I widzisz jej twarz w bladym świetle poranka, przerażoną. Zrywasz się z pościeli, zdejmujesz schnące na sznurku przy piecu rzeczy i rzucasz je pod łóżko. Pod łóżko? Co ty robisz, Reniu? Przecież trzeba się ubierać!

Potem... nie pamiętasz.

Potem twoja mama chyba sama ubrała dzieci, Jasia i Kropkę (o nich się mówiło „dzieci”, ty byłaś już duża...). Potem znalazła się na zewnątrz i już z podwórka powiedziała do ciebie: „Przejdź przez okno i chodź tu do mnie, będziesz workami zatykała okienka do piwnicy”. Piwnica była murowana. Zatykałaś te okienka workami po kartoflach. W piwnicy były już pierzyny, poduszki, kozuch taty, jego rower, buty zimowe i koce. Tata wszystko tam pownosił, żeby się uratowało.

Potem znów nie pamiętasz.

– Ale pamiętasz, jak twoja mama zdejmuje ze ściany obraz świętej (tej, co broni przed ogniem) i błogosławi was tym obrazem?

– Znak krzyża tym obrazem robi. Pamiętam.

– Potem zostawia ten obraz, a was zabiera. Wychodzicie we czworo. Przez sklepik, bo przez sklepik się wychodziło z domu na podwórko. Słysząc strzały i krzyki. Czuć dym.

U Ferenców naprzeciwko (w domu twoich stryjów i dziadka, numer pięćdziesiąty szósty, po południowej stronie drogi), czyli u Staszki, twojej kuzynki, tam się pierwsza obudziła ciotka Anastazja. Staszka miała wtenczas dziewięć lat, tyle co ty, i pamięta, że ze snu ją wyrwało spojrzenie matki, jak dotknięcie. Siedzi jej mama na łóżku i oczy ma skierowane na Staszkę, ale jej nie widzi, bo ona tymi oczami słucha, a nie patrzy. Po chwili i Staszka zaczyna się wsłuchiwać i słyszy takie puknięcia i suche trzaski z za okna dochodzące. Pojedyncze, podwójne, znów pojedyncze. Obie słuchają, patrząc na siebie niewidzącymi oczami, aż mama do taty się odwraca i szarpie go za ramię. Szarpie raz, drugi, ale on wstać nie chce. Prędkiej się dzieci na równe nogi zerwały i stoją bose. Mama Staszki mówi do ojca głośno, że

coś się dzieje, coś słyhać dziwnego, a on na to: „A łoj tam, pewnie dziadek się kręci i sprężyny skrzypio”. I się obraca do ściany. Wtedy mama Staszki biegnie do okna, potem do drugiej izby do stryja Antka i z powrotem do taty, i go za ramię szarpie: „Wstawaj, wieś się pali, trzeba dzieci raz-dwa ubierać, krowy do sadku wypuścić...”.

Mama Stefki (Stefka Skóra, dwanaście lat, dom osiemdziesiąty trzeci) płakała, zapomniała, że przy dzieciach nie wolno, płakała i powtarzała: „Szybko wstawajcie, coś złego się dzieje, szybko wstawajcie, Niemcy schodzą z góry”.

Słyhać było strzały i już się paliły zabudowania. Tato Stefki wybiegł, żeby wypuścić krowę, i zaraz potem do domu zawrócił po dzieci. Upadł zastrzelony i leżał tam na podwórku.

Danusia (Ziomka, pięć lat, dom czterdziesty drugi), nagle obudzona, od razu pomyślała o swoich królikach. Wybiegła pootwierać klatki – króliki tuliły się w kątach ze strachu. Po tem stryjek, co mieszkał w tym samym domu, też wybiegł, krzyknął: „Boże, ratuj nas...”, i upadł. I sąsiad, który trzymał na rękach małego synka, też upadł. Synek z ramion ojca potoczył się niedaleko, podczołgał się do taty i obejmował go, prosząc: „Wstań, wstań, wstań”. Ale tata nie wstał.

Staszek (Popowicz, trzynaście lat, dom czterdziesty siódmy) obudził się na krzyk: „Wieś się pali!”. Zerwał się na równe nogi. A z nim Edzio (trzy lata) i Marynia (pięć lat). Mamusia mu mówi, że trzeba bydło do sadu po drugiej stronie drogi zapędzić, a Staś widzi Niemców na wzgórzach, jak jeden koło drugiego schodzą z bronią gotową do strzału.

I nagle do sadu jest tak daleko...

Czternastoletnią Marysię (Marysia Szawara, dom pięćdziesiąty piąty) obudził strzał z karabinu – podniosła się do okna i jeszcze zdążyła zobaczyć, jak sąsiadka się przewraca i już nie wstaje. Marysia wyskakuje z łóżka i razem z siostrami biegnie się schronić w zbożu.

Dom osiemdziesiąty ósmy, tam czworo dzieci widziało, jak upada zastrzelona ich matka. Zaraz potem tata w wielkim gniewie rzuca się na tego Niemca, wrywa mu karabin i roztrzaskuje o drzewo. Wtedy inny Niemiec zabija tatę i od razu troje z tych dzieci za jednym zamachem. Jednego małego Lencia zostawia...

Rodzina Franka (Franio Szawara, dwanaście lat, dom jedenasty) tej nocy spała w stodole. Frania ze snu wyrwał krzyk ojca: „Wstawajcie, wioska się pali!”. Wstali, pobiegli dom ratować. Ojciec nie dobiegł, zastrzelony. Matka upadła, raniona, zaraz ją dobił Niemiec, co szedł przez podwórko. I do siostry, Feli, strzelił, zabił, miała szesnaście lat. Do drugiej siostry, Justynki, osiemnastoletniej, strzelał kilka razy w brzuch, ta siostra była brzemienna w szóstym miesiącu, przeżyła. Po wszystkim tej siostrze urodziła się Hania, nieszczęśliwa umysłowo, tak potem mówili ładnie o niej: zamiast „umysłowo chora”, to „umysłowo nieszczęśliwa”. Hania Hatałska nigdy nie zobaczyła swojego ojca, bo został zabity tamtego ranka, miał dwadzieścia lat.

W tym samym jedenastym domu od zachodniej strony mieszkał stryj Frania, który był

twoim wujem, Staszek Szawara, zginął wtedy, a jego żona (siostra twojego taty) dostała jakiegoś krwotoku i niedługo potem zmarła. Zostały ich dwie córeczki, pięcioletnia Janka i trzyletnia Czesia. Właśnie ta Czesia podobna do waszego węgierskiego dziadka, czarnooka, czarnowłosa, śliczna.

– W dwudziestym piątym domu mieszkali Niziowie, rodzice Bronki, która potem została poetką ludową. Ciekawe, co? Ty poetka i ona poetka, jedna „literacka”, druga ludowa... Pamiętasz ją? Bronisława Szawara, po mężu Szawara. Wasze rodziny musiały być spowinowaczone.

– Jak to na wsi, połowa to krewni, połowa powinowaci...

– Właśnie. To ona, ta Bronka, ponumerowała wszystkie spalone domy i opisała je w swoim poemacie o Sochach. Dom po domu. Kto i jak zginął, kto został. Później, po odbudowaniu Soch, nowe domy ponumerowano odwrotnie, może aby magicznie coś zadziałać, odczarować wieś... Wtedy, w czterdziestym trzecim, Bronka miała piętnaście lat, co dla życia jest już bardzo dużo, zapamiętała więc znacznie więcej niż wy. Nawet to co działo się w te dni tuż przedtem. A Bronki mama to była właśnie ta krawcowa, do której chodziłaś ze swoją mamą, pamiętasz?

– Mama zabierała bluzkę do poprawienia albo materiał na sukieneczkę dla mnie i szliśmy do krawcowej, przeważnie pod wieczór.

– Ta Katarzyna Niziowa to była mądra kobieta, prenumerowała gazety i książki czytała, ciekawa wszystkiego na świecie, można było od niej wiele usłyszeć. Była u nich taka mała Marysia, siostra Bronki, i to właśnie z nią się bawiłaś na podłodze koło nóg maszyny do szycia.

– Tymi ścinkami się bawiłyśmy, co spadały, układałyśmy różne wzorki...

– O, tak jak dzisiaj puzzle dzieci układają.

– To ona Marysia miała na imię?

– Tak, sprawdziłam, na pewno Marysia. Ona też przeżyła. I jeszcze Stasio był, średni brat, on nie. A Bronka wciąż żyje i bardzo jest poważana w Sochach. Właśnie Bronka mi opowiedziała, co się działo w te dni tuż przedtem, że ludzie wcześniej czuli, że coś się szykuje. Już w niedzielę w niedalekim Aleksandrowie szum był, że wysiedlać będą. Tata Bronki właśnie w Aleksandrowie o tym usłyszał, po drodze do swej siostry, Hałasichy, co na Rudce mieszkała i wcześniej spalona była, a on szedł jej pomóc przy wykończeniu nowego domu. Taki domek mały pobudowali po pożarze, tam jeszcze izba niegotowa była i piwnica, więc on tam zachodził pomagać w wolnym czasie. Dlatego w tę niedzielę nie było go w domu, kiedy sąsiedzi przyszli pod wieczór, na schodach posiadali i coś szeptali.

Bronka tak opowiadała: „Z Tereszpola z majówki przyszedłam, sporo prześpiewaliśmy koło figury, i widziałam, siedział Wicek z Józwelem Szewcowym i rozmawiali na schodach. Ale ja się łągnęłam spać, zmęczona byłam po tej majówce, i nie wiem, co tam szeptały te chłopcy. A tu w nocy coś grumi do ganku, mama pyta, co tam kto chce, a to ojciec się odzywają: otwieraj. A czegoś ty tak w nocy przyszedł, a ojciec mówią, że się Niemców najechało do Zwierzyńca, Jasiak widział, jak z pracy szedł, najechało się wojska jakiegoś i się tak tam wszystko kręci i tarabani w tym Zwierzyńcu, że strach! To i ojciec wolał zaraz do siebie wracać. Ten Jasiak Hałasa, Hałasichy mąż, wyprowadził go na Białą Słup. Ja pójdę do domu,

mówi mu ojciec, legitymować będą, a ja tu obcy, ty mnie na ścieżkę na Biały Słup wyprowadź.

I wyprowadził.

Tamtędy droga idzie.

I po ciemku pobiegł do Soch tą drogą.

A następnej nocy to już był pierwszy czerwca. Szarówka była, gdy znów pukanie. A co tam kto chce? A to Stach Jaroszów w okno puka i mówi, że coś górami idzie, coś się przesuwa, przechodzi z jednej strony na drugą. A to Niemcy kolejką do Szozdów przyjechali i tak się przesuwały, ustawiają... I nagle rozlega się strzał i widać dym. Od razu dym, bo kulami zapalającymi strzelali. Idź, wołaj dzieci, niech wstają, mówi tata, wieś się pali. To się już w paru miejscach pali, mówi Stach Jaroszów. Jezu kochany, a tam na górze już rabowali ci, co z lasu wyszli! Tam się rzeczy suszyły wyprane. Już koło Masztalewicza się pali i u Mazura kłęb dymu widać. Wypuść krowę, mówi mama do mnie, a do ojca: ty konia zakładaj i wyjeżdżaj na podwórko. Ojciec na Marysię pokazuje: mam tu parę groszy, mówi, przywiążcie jej do medalika, może ją gdzie do Niemiec wywieżą, może co, ona taka mała, żeby dziecko na chleb miało, i napiszcie karteczkę, żeby jak się nazywa, wiedziało...”.

– Ile mieliście czasu w Sochach? Kwadrans? Ze dwadzieścia minut? W niektórych wsiach bywało, że tylko pięć. W pięć minut ludzie musieli się ubrać, złapać coś do jedzenia w tobolek, poduszeczkę dla dziecka, różaniec, i już wychodzić, bo jak nie, to naziści drzwi zatrzaśną i spalą razem z domem.

– Jacy naziści!

– Dobrze, mam, nie będę mówiła: „naziści”, wiem, nikt tam nie znał tego słowa, mówiło się: „Niemcy”, i każdy wiedział, co to oznacza. To było imię strachu. U was w Sochach nie dali wam czasu w ogóle, bo do niczego nie był wam potrzebny. Nie było co do was żadnego planu poza zabijaniem. Nikt nie brał z waszych rąk dokumentów, tym razem donikąd nie wysiedlano, a do śmierci tożsamość nie jest potrzebna.

Gdy byłam mała, nieraz sobie wyobrażałam, że jestem tobą, Renią, i wychodzę tamtego ranka z domu razem z mamą i młodszym rodzeństwem. Wszyscy ludzie we wsi robią to samo: wychodzą, wybiegają ze swoich domów, osiemdziesięciu ośmiu domów, na podwórka, a Niemcy ze wzgórz idą, ze wzgórz strzelają, a gdy są bliżej, podpalają i wciąż strzelają. A ty ten niebieski fartuch rozścielasz na trawie! Chociaż opowiadałaś mi to dziesiątki lat temu, nie mogę tego obrazu zapomnieć do dziś. Ile razy rozkładałam jakiś koc, prześcieradło, cokolwiek, zawsze na ułamek sekundy w tym gościu jestem tobą, z tamtym fartuchem opadającym na ziemię...

– To był fartuch taty do pracy w sklepie, dlaczego zabrałam ten fartuch, nie wiem. Bo rosa na trawie i sukienka się zmoczy? Dochodzimy do wąskiej dróżki, która dzieli nasze podwórko od sąsiadów, a ja mam ze sobą ten niebieski fartuch i po prostu rozkładałam go na trawie obok ścieżki. Niebieskie na zielonym... I siadam na tym fartuchu. Nie, nie siadam, kładę się. Tak jakoś półleżąc siedzę i się rozglądam. Idzie żołnierz z płonącym wiechciem słomy, przykłada go do dachu domu obok. To dom kowala. Widocznie kule zapalające, którymi Niemcy strzelali najpierw, ominęły dom kowala. Kowalowa stoi, podnosi ręce do głowy.

Mój tata obok niej przy płocie, parę metrów od nas. Tata pyta innego żołnierza, który stoi z karabinem, czy może wrócić do domu po pieniądze. Ten kiwa głową, że tak. Kowalowa mówi: „Nie idź”. Tata do mamy mówi głośno: „Pójdziemy do nich (czyli na drugą stronę drogi, do braci i dziadka), tylko wezmę puszkę. To co będą robić ze wszystkimi (Niemcy), to zrobią i z nami”. W puszcze był utarg. W naszym domu był sklep.

Dach domu kowalów pokrywa się prędkimi płomieniami, bo jest ze słomy. Nasz jest dranicowy, jeszcze się nie pali. To ta święta z obrazu go pilnuje.

I wtedy mama moja mówi: „Chyba tata nie żyje, bo upadł”.

Patrzę, leży na ścieżce. Odszedł od płotu najwyżej pięć kroków. „A może on tylko się położył”, odpowiadam, bo przecież i tak mogło być. Chcę, żeby tak było.

I już podchodzą Niemcy, dwóch, w mundurach wojskowych, zielonych, i w furazerkach. Ich twarzy nie pamiętam, tylko mundury na tle nieba. Jakby nie mieli twarzy. Pamiętam za to bardzo wyraźnie, ten gest pamiętam bardzo wyraźnie, jak jeden z tych żołnierzy mierzy z karabinu do mamy, która stoi po drugiej stronie ścieżki przy samym zbożu, z moją siostrą na rękach. I ten żołnierz, zanim jeszcze nogi się pod mamą ugięły, przesuwając lufę na dziecko.

A wtedy ten drugi... A wtedy ten drugi mu tę lufę w dół pchnął. Tylko ten gest mam w pamięci, strzałów nie, jakby dźwięku żadnego nie było. Matka się osuwa i karabin się osuwa, i strzela w ziemię. A my z bratem na tym fartuchu dwa metry dalej. To wszystko tak było bliźniutko, my wszyscy na kilku metrach, ale się wydawało, jakby na rozległym pustym placu... Może ten drugi żołnierz sam miał małe dziecko i dlatego nie chciał, by dziecko zabić?

– Może. Może czuł, że kto zabija jakieś dziecko, trochę też i swoje zabija...

– Siostra leży w zbożu. Ma oczy szeroko otwarte, niezabita. Brat siedzi obok.

– On mi mówił, że stał, nie siedział.

– A co on ci tam mówił... Strasznie cicho było. Jakby wszystko nagle przestało się dziać. Nie widzę mamy, choć wiem, że leży tuż-tuż. Nie pamiętam, jak leży. Nie pamiętam, jak leży. Wstaję i wtedy czuję, jakby wielka lodowata kropla przeleciała przeze mnie w środku, i odtąd jestem kimś całkiem innym. Biorę za ręce brata i siostrę i idziemy ścieżką do drogi. Mijamy tatę. Leży na plecach i ma z prawej strony marynarki dziurkę, tam gdzie wleciała kula. Pomyślałam właśnie to: tamtędy wleciała kula. I zobaczyłam, że grdyka mu się poruszyła, jakby przełknął ślinę. Miał na sobie nową marynarkę w brązową jodełkę i w tej nowej marynarce właśnie była ta dziurka.

– Twój brat pamięta inaczej, że tata leżał na brzuchu, a dziurka była z lewej strony, na wysokości serca.

– Jaś miał tylko pięć lat, ja dziewięć, to kto pamięta lepiej? Kropka nie pamięta nic. A przecież widziała. Schowała wszystko gdzieś pod spodem... Do taty strzelił inny żołnierz, nie ten, który pozwolił wrócić do domu po pieniądze, i nie ten, co podpalał dom kowala, może ten, który zastrzelił mamę. Pieniądze tata trzymał w sklepie w blaszanym pudełku, a tego ranka pewnie schował je w piwnicy. Chciał je wziąć może na wykup z obozu wysiedleńców, myślał, że nas wywiozą do obozu w Zwierzyńcu, jak to zrobili w Wywłoczce niedaleko dwa miesiące wcześniej.

– Ale nie. Na was nie było takiego planu.

– Przeszliśmy obok taty, jego gardło drgnęło, jakby przełknął ślinę. Wtedy ja też odrucho-

wo chciałam przełknąć, ale nie mogłam. Jakbym miała kij w gardle. Jesteśmy sierotami, taka myśl zawisła nade mną, strasznie było cicho.

– Jaś tak samo pamięta, że nic nie słyszał.

– I szłam dalej. Nie zatrzymaliśmy się przy tacie, nie umiałam tam przystanąć. Musiałam iść, krok za krokiem, i to był taki sam mus jak wtedy, gdy się człowiek nie może z miejsca ruszyć, bo jest jak skamieniały. W tym skamienieniu szłam z dziećmi i w głowie miałam jedno zdanie: jesteśmy sierotami.

Mała Renia

Mała Renia. Duże szare oczy. Proste włosy z grzywką. Okrągła buzia. Wesoła. Ruchliwa. Pierwsze dziecko Władka i Józki Ferenców ze wsi Sochy. Pierwsze jej wspomnienie z dzieciństwa – jak przeczołguje się przez próg domu. Kładzie się na nim, potem przekłada jedną nogę, drugą nogę i staje po tamtej stronie. Próg musiał być wysoki. Renia musiała być bardzo mała. To było przed wojną. Skoro się urodziła w 1934 roku, to mógł być najwyżej 1936, nie było jeszcze na świecie brata, Jasia, i siostry, Kropki. I dom nie był ich własny, bo własny dom postawili Ferencowie dopiero w 1938. Do tego czasu mieszkali u jednej z sióstr Władka, od niej też Władek wynajmował izbę na sklep. Od początku postanowił mieć sklep. Ziemi od ojca nie dostał, bo braci było pięciu, wszyscy nie mogli ziemi dostać. Władek, Staszek, Antek, Michał i jeszcze brat, co do Ameryki wyjechał. I dwie siostry, Maria i Agnieszka, Ferencowy ród.

W różnych spisach soszańskich włościan sprzed 1846 roku Ferencowie się nie pojawiają, na przykład w dokumentach ordynacji Zamojskich, przy okazji choćby sporów o drewno... Może przybyli dopiero podczas Wiosny Ludów, wtedy to masy ludzkie przemieszały się w tej części Europy. I to niekoniecznie z samych Węgier przyszli, bo na Podolu sporo Ferenców już w siedemnastowiecznych księgach parafialnych odnotowano. Podobno jeszcze wcześniej wywedrowali z okolic Lwowa. Nie tylko w Sochach się ostatecznie zatrzymali, to tu, to tam, w różnych miejscowościach województwa lubelskiego ich nazwisko się pojawia. Ktoś został, ktoś poszedł dalej, choćby do Małkini. Z Małkini pochodzi Andrzej Ferenc, polski aktor, na pewno go znasz, to ten, który tak cudownie poezję czyta. Mówił mi, że jego rodzina to rzemieślnicy od pokoleń. To coś wyjaśnia, bo moi dziadkowie i wujowie to wszystko byli ludzie nieleniwi, pomysłowi, przedsiębiorczy: kowale, stolarze, złote rączki. Mój dziadek jako młodzieniec wymyślił sobie sklep – i miał sklep, dobrze prosperujący przed wojną, a i potem nie najgorzej jak na wojenne warunki. Aż do ostatniego dnia. To po dziadku Władku mam mocną dolną szczękę, świadczącą według wskazówek antropologicznych o sile woli.

Kochał ją. Władek. Swoją Józję. Była taka wzruszająca, drobniutka, wesoła. Mógł ją podnieść jedną ręką. Najbardziej ją lubił w tej zielonej chusteczce na głowie, bo wtedy to już wyglądała jak dziewczynka. Dobra była bardzo. Dla niego, dla dzieci, nawet dla kota w sieni. Nie pozwalała psa wiązać, rudy Misiek biegał wolno, gdzie chciał. A najbardziej chciał być w izbie, przy kuchni, patrzył, czy mu co koło pyska nie spadnie. Ach, ta Józka! W Ruszowie się poznali, gdzie oboje pracowali u gospodarzy, żeby na swoją młodość zarobić. Ona miała dwie siostry w Stolnikowiznie, on pięcioro rodzeństwa w Sochach, wiadomo było, że od rodziców niewiele dostaną, może pierzynę, obrus jakiś. Gdy tylko spojrzeli na siebie, wtedy na drodze, kiedy on konia prowadził z pola, tak go coś w środku ścisnęło, że od razu wiedział. Pobrali się szybko tam na miejscu i tylko czekali, aż pieniądze uzbierają na wymarzony sklep i pierwszy towar. Renia jeszcze zdążyła się w Ruszowie urodzić, tam ją ochrztili i do ksiąg kościelnych wpisali, ale już mieli postanowione do Soch wracać. Dom będą budo-

wać, na tym kawałeczku ziemi, co ojciec Władka dał, naprzeciwko domu rodzinnego Ferenców. Przy studni z żurawiem, co ją ojciec zbudował dla wsi.

Będzie swoje podwórko, szopa na podwórku, będzie sklep, będzie swój piec. No i się zaczęło. U siostry Władka, Agnieszki Sirko, na razie zamieszkali, bo sporą chałupę miała, drugą izbę na sklep wynajęli. Dom stawiali z sąsiadem, tym, co z nimi razem jest pochowany, na jednej tabliczce zapisany. Dom porządny, z grubych, smołowanych bali, z murowaną piwnicą i dranicowym dachem, nie strzechą. Nie za duży, nie za mały, z osobną sklepową izbą, taką, żeby było miejsce na skrzynki z towarem. A na szerokiej ladzie wielkie słoje z cukierkami stały będą.

Wszystko się spełniało. Wznosił się dom, a mała Renia biegała po budowie, wchodziła na przyzmy kamieni, na sterty desek. A gdy wracali wieczorem przez wieś, łapała rodziców za ręce, podkurczała nogi i wisała między tatą i mamą, zaśmiewając się i wołając: „huśta! huśta!”. W końcu trzeba było Renię wywieźć na jakiś czas do dziadków Mielników do Stolnikowizny, bo nie było komu jej pilnować, a mogła się skaleczyć lub – nie daj Boże – wpaść do dołu z wapnem.

Józia była mądra i drugie dziecko dopiero w 1938 roku na świat przyszło, już we własnym domu. Jakże ona ten swój dom lubiła! Ciągłe coś tam dostawiała, zawiesziała, rozkładała. To jeszcze jedną poduszkę na łóżko, to serwetę, to chustę na ławę. A na stole postawiła piękny, duży krzyż żeliwny, a na ścianie porozwieszała święte obrazy. Tak się bała, żeby się kiedyś przypadkiem nie spalili od pieca, że wtedy gdy Władek szedł go stawiać, to trzy razy mu powtarzała, żeby się do roboty przyłożył. A potem na ścianie obraz ze świętą, tą od ognia, powiesiła, aby strzegła tego cudu, co im się trafił.

Władek miał dryg do roboty, wszystko umiał, tak jak jego ojciec, stary Ferenc, który różne rzeczy dla chłopów robił: ławy, krzyże, trumny w razie potrzeby, no i tę studnię; studnia z żurawiem w środku wsi to jego dzieło. I figurę ufundował na końcu drogi, gdy się w Sochach tyfus szczęśliwie skończył w 1905 roku. Mój własny pradziadek. Dumna jestem po dziś dzień! Nie przesadzam, czuję dumę, aż mi te łzy genetyczne pod wpływają pod powieki, że takiego miałam pradziadka! To ten z czarnym wąsem, węgierski w typie, ten sam, co Kropkę pod szynalem uratował podczas pacyfikacji.

Władek zdążył do swego szczęścia. Zdążył do tej złej daty, pierwszego czerwca czterdziestego trzeciego, nacieszyć się domem i kobietą. Gdy wracał do swojego domu, który przez parę lat miał, to chwycił Józję na ręce i się z nią kręcił dokoła, aż jej chusteczka spadała, aż się okno w widoku rozmywało. Dzieci koło nich podskakiwały, piszcząc z radości. Oszczędny był, więc co trzeba, to mieli, i na dziś, i na potem. Raz się tylko zdarzyło, że Józia pieniądze na nic wydała. Władek do Szczebrzeszyna pojechał po towar, a wtedy akurat fotograf do wsi przyjechał, po podwórkach chodził i namawiał. Cała wieś wtedy zdjęcia sobie robiła. Chciała i Józia mieć obrazek z dziećmi, postawić na stole i patrzeć. A drugi zawieźć rodzicom do Stolnikowizny, żeby i oni patrzyli sobie, kiedy tylko zechcą. To był portrecik Reni i Jasia, same główki przytulone do siebie. Bardzo zły był Władek, gdy się dowiedział, że pieniądze wydane, bo cóż to za pomysły niepotrzebne, przecież dzieci tu są, w kółko biegają, Renia i Jasio, wszędzie ich pełno, na co te zdjęcia?! Huknął tata, a potem już do nocy jedna cisza w domu była. Ale pamiętliwy on nie był, z rannym słońcem wszystko złe odeszło. Renia dostała buziaka, a Jaś trafił do taty na barana i z taaakiej wysokości musiał sam sięgnąć

do słoja z cukierkami, który na ladzie w sklepie stał.

Aż do wojny niczego im nie brakowało. Ludzie płacili gotowym groszem albo jajkami, czasem ktoś kurę przyniósł, a przed świętami nawet gęś się trafiała. Boruch, Żyd ze Zwierzynca, przyjeżdżał po jaja, bo jaj było więcej niż pieniędzy, jak to na wsi. Renia już nie mogła na jajka patrzeć i grymasiła, żółtka ukradkiem na węglach chowała. Była mocną, pyzatą dziewczynką, choć wciąż niedużą, dopiero podczas wojny się wyciągnęła. Bo już po roku mieszkania w nowym domu doczekali się wojny, ale była nadzieja, że wojna wieś ominie, przeoczy dolinę. Zaraz w styczniu urodziło się w rodzinie najmłodsze dzieciątko, siostrzyczka Kropka, jedzenia ubyło i wtedy Renia już jajka polubiła. Szybko rosła, szybko po jedzeniu głodna była. Patrzyła, jak mama karmi dzieci, i też jeść chciała. A wtedy nieraz usłyszała: a idź sobie pozbieraj te żółtka na węglach. I kiedyś poszła, dom obeszła i jak ze smutnej bajki wróciła. W ostatnią zimę to już było naprawdę ciężko, Niemcy kontyngenty takie na wieś nałożyli, że mało kto coś więcej niż karbid albo naftę w sklepie brał i mało co zostawiał...

Taką opowieść o tobie ułożyłam, mamó, taki początek bajki, która niedługo potem zmieniła się w okrutną historię Europy.

- A ten portrecik dziecięcy, o który twój tata taki zły był, gdzie jest?
- Spalił się.
- Czyli twoja mama zabrała go ze sobą na tamten świat...

Twoja mama, Józia, była z domu Mielnik – nazwisko tak samo popularne na Kresach Wschodnich jak Müller w Niemczech; znaczy zresztą to samo. Każdy, kto młyn miał, zboże mielił, mógł się tak nazywać. Różne Mielniki w jednej wsi mogli mieszkać, a krewnymi nie byli, no, może pięćdziesiąt lat wstecz. A jej ojciec to był Józef Mielnik, twój drugi dziadek, ten, co miał wąs płowy, w odróżnieniu od Józefa Ferencza z czarnym wąsem. Do Mielnika do Stolnikowizny trafiliście po ogniu, po spaleniu Soch. Muszę sobie ich poukładać, żeby mi się już więcej nie mylili.



Kropka, Jaś i Renia przed pacyfikacją Soch, w sierpniu 1942 roku.

Gdzie święta Agata...

Dziecko żyje na bardzo małej planecie, pośród kilkorga bliskich ludzi, pośród pojedynczych przedmiotów. Wszystko jest nowe, fosforyzuje nowością, zadziwia samo w sobie. To świat rzeczy pierwszych, który nie ma perspektywy ani kontekstów. Dziecko nie czyni porównań, nie wyciąga wniosków ze zgromadzonych danych. Ma mamę, tatę, siostrę, brata, psa Miśka na podwórku, kotki w szopie, dziadka z czarnym wąsem, a w innej wsi drugiego dziadka, z wąsem płowym. Ma słońce i księżyc nad sadem, drzewo i pole, szmacianą lalkę, nowy zeszyt, trawki do gwizdania, jak się w nie specjalnym sposobem dmucha. A tata ma sklep!

Taki indeks, dość krótki.

Kiedy więc dziecku zabijają na jego oczach rodziców, to jakby świat zabijali, razem ze słońcem, księżycem, drzewem, polem, zeszytem, lalką. Nawet jeśli przeżyli dziadek, brat i siostra, to oni już będą całkiem inni, jakby przyszli z za końca czasu. I żadne rzeczy nie wrócą tam, gdzie były, nawet jeśli pozostaną w swoim kształcie. Ale nie pozostały, w Sochach kamień na kamieniu nie został. Tylko niebo i ziemia...

– Nie wiesz, która to święta przed ogniem broni?

– Tak, już to sprawdziłam, mamó, święta Agata. „Gdzie święta Agata, tam bezpieczna chata”, „Chleb i sól świętej Agaty od ognia strzeże chaty”. Tak na wsiach się mówiło, pamiętasz? Mówiliście tak?

– Nie, chyba nie.

– Twoja mama przeżegnała was obrazem świętej Agaty i posypała wasze głowy święconą solą, a potem wyszliście przed dom.

– No co ty opowiadasz, jaką solą!

– Przecież sama tak mówiłaś! Trzydzieści pięć lat temu opowiedziałaś Hannie Krall, która przysłała do ciebie na wywiad, tamtą scenę: „Matka posypała solą święconą trójkę swoich dzieci, ale widocznie zapomniała posypać siebie i ojca” – tak jej powiedziałaś, to znaczy ona tak zanotowała, znalazłam stary „Czas”, taki tygodnik, który już dawno nie wychodzi, gdzie jej reportaż jest wydrukowany. Wygrała nim wtedy trzecią nagrodę w konkursie „Polak nad morzem”. To był siedemdziesiąty dziewiąty rok. Musisz pamiętać, jak tu była w Sopocie, taka młoda jeszcze, bardzo ładne oczy miała... Nie sądzę, żeby z tą solą zmyśliła. Sól chronić ma od śmierci, taka jest jej moc magiczna. Mogła więc twoja mama tak zrobić.

– Nic takiego nie miało miejsca!

– Mamó, mogło tak być, wtedy pamiętałaś, a teraz już nie, to naturalne, że twoja pamięć w tym wieku szwankuje.

– „Polak nad morzem”? I do takiego konkursu ja mówiłam o Sochach?

– Tak. Powiedziałaś Hannie Krall jeszcze i to, że przez prawie trzydzieści lat nie napisałaś niczego o swojej wsi i dopiero w listopadzie poprzedniego roku, czyli w siedemdziesiątym ósmym, usiadłaś i napisałaś wiersze o matce, jednego dnia – wszystkie wiersze. I jeden dałaś

do tego reportażu, bo jest tam zacytowany: „Ja, której wciąż od nowa rodzi się ojciec, matka i esesman, której powstają wsie, żeby się wreszcie dopalić, ja prowadzona na rzeź przez trzydzieści trzy lata – która nie ocalałam – Przychodzę, żeby nic nie powiedzieć o zabitym płaczu, o gardle w powrozach...”. Nie mogę dalej, to taki straszny wiersz.

– I co ja tam jeszcze mówiłam?

– Wyprowadziłaś Krall na balkon, pokazałaś jej las na wzgórzu i powiedziałaś: „Stamtąd, tym gościńcem od strony Sopotu, nadjechali Niemcy. A tu gdzie stoją nasze bloki, była wieś. Dokładnie tu, w dolinie. Jak zobaczyłam to miejsce pierwszy raz, powiedziałam: Boże mój, czy to możliwe? Dlatego tu zamieszkaliśmy, na tym osiedlu”.

– A, to prawda. Prawdę jej powiedziałam. Dopiero tu się poczułam znów jak u siebie w domu. W tyłu miejscach mieszkaliśmy i dopiero tu znalazłam jaki taki spokój.

– A pamiętasz, pewnej niedzieli, jeszcze długo przed ogniem (bo tak się mówi w Sochach do dziś, dzieląc czas na dwie epoki: przed ogniem i po ogniu), szłaś ze swoją mamą do kościoła w Zwierzyńcu. Kościół na Wodzie, tak do dziś go ludzie nazywają. Pamiętasz, prawda? Taki biały, nieduży. Stoi w parku pośród stawów, na wysepce, przez mostek się do niego idzie. Zwierzyniec to tylko trzy kilometry od Soch, prostą drogą przez las, ale miałaś wtedy sześć lat i narzekałaś, że nogi cię bolą. To musiała być jesień trzydziestego dziewiątego roku, bo twoja mama była w ciąży, w styczniu miała się urodzić Kropka. „Mamo, stój, nogi mnie bolą, stój, mamo”, jęczałaś i co chwila zatrzymywałaś się na drodze, ciągnęłaś ją za rękaw swetra, ale ona cię uciszała i wciąż szła, spieszyła się, jakby ją kto gonił. Równoległe z wami szli Niemcy, paru – trzech? czterech? Nie pamiętasz. W pewnej chwili ten, co szedł najbliżej, wziął cię na ręce. Niesamowite. Coś powiedział i podniósł cię w górę. Mroczna droga, którą się szło jak dnem lasu, teraz wydała ci się tasiemką, którą odpychały w tył wielkie buty wielkiego Niemca. Był znacznie wyższy od twojego taty i czułaś się w jego ramionach jak na wielkim drzewie, targanym przez wiatr. Mama wydawała ci się stamtąd taka maleńka! Teraz szła jeszcze szybciej, podbiegała i tylko raz za razem zadzierała głowę, żeby na ciebie popatrzyć. Jak długo cię tak niósł? Nie pamiętasz. Pewnie krótko, bo jego koledzy się śmiali. I wykrzykiwali coś po niemiecku.

Dobry Niemiec. Tacy też byli. A może to był wciąż ten sam? Ten, który potem, pierwszego czerwca w Sochach, powiedział do waszej sąsiadki Anieli, gdy zobaczył przerażone oczy jej dziecka: „Uciekajcie”. „Ale dokąd, panie?”, pytała ona, bo wkoło się paliło, a on pokazał na pole i nie zabił. Może to był ten sam, który pchnął w dół lufę karabinu kolegi i kula poszła w ziemię, nie w Kropkę? Ten sam, który powiedział po polsku, żeby dzieci nie zabijać? Józef Cielica to słyszał, stał blisko. Jego synek, Wiesio, miał dwa latka, więc to była ważna wiadomość. Może to ten sam, co płakał, gdy miał strzelać do chłopców i mężczyzn ustawionych na podwórku domu Skórów? Bo podobno jeden Niemiec płakał przy strzeleniu...

Ileż razy ty mi w dzieciństwie opowiadałaś o Niemcu, który cię niósł na rękach!

Dobry Niemiec

Powinna powstać księga dobrych wrogów. Z litanią nazwisk tych, którym drgnęło serce.

Na przykład taki Friedrich Hessenstein z Getyngi. Wyczytałam o nim w książce o Wehrmachcie. Razem z innymi chłopcami z jednostki piechoty ścigał „partyzantów” na Wschodzie (gdzieś nad Prypecią). Konwojował ich potem, prowadził „naprzeciw nie znanego im losu”, a ci „partyzanci” to były kobiety i dzieci... Nie określił w swym liście do „Die Zeit” („Die Zeit”, czyli „Czas”, nomen omen, jak ten tygodnik, co konkurs ogłosił...), pisany po sześćdziesięciu latach, jaki był ten „nieznany los”, żeby nie epatować... ale prawdopodobnie wiódł je na bagna, gdzie miały się potopić. Zginęły tam tysiące żydowskich matek z dziećmi. Kiedy tak szli, mała dziewczynka zapytała go, co się z nimi stanie; odpowiedział jej w taki sposób, żeby się nie bała. Uspokoił ją i może nawet pogłaskał po głowie? Zapewne na jej brudnej od kurzu i łez buzi pojawiło się coś na kształt uśmiechu i pocierane bosc nogi przez chwilę mniej ją bolały.

Minuty bez strachu są bezcenne. I ten Friedrich, może w domu nazywany zdrobniale Frycem albo Friedo – niewiele starszy od brata tej dziewczynki – podarował jej ileś takich minut. Ale zaraz sierżant żołnierza postraszył sądem wojennym: wrogowi nic się bowiem nie należy, a już najmniej ulga w cierpieniu. Hitler wszak nakazał żołnierzom litość wykluczyć z serca i postępować brutalnie.

Nie, mamó, Friedo nie trafił do Soch, bo to był młodociany rekrut, powołany dopiero we wrześniu czterdziestego trzeciego, czyli „po ogniu”... Ta rozmowa z dziewczynką pewnie mu się w snach utrzymała, skoro tyle lat po wojnie wciąż tę chwilę pamiętał, a nawet do gazety list napisał...

Jeszcze jakiś mi się przypomniał dobry Niemiec. To wyczytana historia z obozu w Zamościu, podczas selekcji rodzin. Pamiętasz, że w Zamościu był obóz przesiedleńczy, prawda? Mała dziewczynka, która tam trafiła, opowiada – wśród wielu relacji w książce o tym obozie znalazłam jej wspomnienie – że stali na obozowym placu całą rodziną i zewsząd słyhać było tylko krzyki i płacz dzieci. „Jak żegnałam się z tatą i braćmi, to wszyscy płakaliśmy. Wtedy zobaczyłam, jak jeden z Niemców odwrócił się do nas i miał też łzy w oczach. Nigdy nie zapomniałam jego twarzy. Kazał on tacie uciekać, ale tato powiedział, że jego synowie już poszli do grupy kierowanej do Oświęcimia i że nie może ich samych zostawić”.

Zapamiętała twarze ich obu, ojca i Niemca. Machina śmierci wycisnęła łzy z oczu obydwoóm.

Dobry Niemiec. Wydaje mi się niezwykle ważne, żeby tych dobrych teraz wyłapać i piórem przyszpilić do kartki. Byli rzadkością, jak biali Murzyni, albinosi nazizmu. Musimy o nich pamiętać, w tej pamięci jest jakiś ratunek przed okrucieństwem przeszłości. I dobrze, żeby mieli imiona, a jeśli nie mają, to trzeba je wymyślić.

Mały, ósmioletni w tamtej przeszłości Edek Markowicz, wygnany z całą rodziną w stycz-

niu z Kolonii Staszic niedaleko Uchania, butów nie miał. Mróz wielki, śnieg głęboki, a te dzieciaki bez butów, bo skąd buty na wsi w czterdziestym trzecim? Ty miałaś drewniaczki, tata przywiózł ci ze Zwierzyńca, ale i drewniaki w zimie na nic by były. Tamta matka dzieciom stopy w gałganki jakieś poowijała. A jak owijała, to płakała. I tak poszli... Pojechali do obozu w Zamościu, a stamtąd w lutym pociągiem w kierunku Siedlec, już bez matki. W Mordach wysiedli. Sprawdzalam na mapie, to parę kilometrów od Siedlec, nawet jechałam tamtędy niedawno, miałam w Siedlcach wieczór autorski. Zmarłe w podróży dzieci wrzucono do dołu, a żywe poszły dalej. Edkowi się te gałganki pomoczyły i poodwijały, szedł i się o nie potykał; w grudzie, w roztopach półbose nogi mu grzęzły. A wtedy Niemiec eskortujący dzieci wziął go na ręce i poniósł. To trzeba zobaczyć i poczuć – jak do szorstkiego munduru, może raczej wełnianego płaszcza, żołnierz wrogiej armii przytula zmarzniętego, brudnego, pokrytego strupami świerzbu i zawszawionego chłopca. Bo jak nie przytulić, skoro się wzięło, jak nieść ośmiolatka przed sobą na wyciągniętych ramionach? Nie da się, to fizycznie niemożliwe, trzeba przytulić. Pewnie był obsmarkany i przestraszony ten Edek. Ale żołnierz, powiedzmy, że na imię miał Kurt, potraktował go jak dziecko ludzkie. Miał może małego brata ten Kurt? Albo własnego synka w domu zostawił? Albo miał jakieś wspomnienie z dzieciństwa adekwatne? Albo po prostu serce miał.

A kto dziś pamięta doktora Hagena? Wilhelm Hagen był w Warszawie naczelnym lekarzem miejskim do 1943 roku. To był jeden z tych Niemców, którzy traktowali Polaków jak ludzi. Podobno gorzej mu szło z Żydami, ale nie chcę się w to teraz wgłębiać. Miał on udział w ratowaniu zamojskich dzieci, wywiezionych na przełomie grudnia 1942 i stycznia 1943 roku z obozu w Zamościu. Gdy się dowiedział ten doktor Hagen z tajnego raportu o planach ewentualnego uśmiercenia siedemdziesięciu tysięcy dzieci i starców, z którymi nie wiadomo było, co się zrobi po wysiedleniu tych dwustu tysięcy mieszkańców zamojskich wsi i miasteczek, to mu się włos zjeżył na głowie. Nie wiem, czy się tego uczyłaś potem, po wojnie, na lekcjach historii, z historii akurat powinnaś była raczej uciekać...

Plan wysiedlenia całej Zamojszczyzny i obsadzenia jej Niemcami to był pomysł szalony w swej prostocie i nieludzki. Zaplanowano wysiedlić dwieście tysięcy zdalnych do roboty, ale przecież zawsze zostaje reszta, nie do zagospodarowania – za słabi do pracy w Rzeszy czy w obozach koncentracyjnych. Niby wsie rentowe miały powstać, przeznaczone specjalnie dla tych niedobitków, ale tak naprawdę to był problem ilościowy niełatwy do rozwiązania i tym dzieciom groziło „ostateczne rozwiązanie”, podobne do żydowskiego. Bo do zniemczenia nadawało się tylko co któreś tam. Pomiary antropologiczne i kolorystyka wykluczały przydatność większości, w praktyce bałagan był w tej kwestii od początku, jedynie na papierze rzecz miała jakąś upiorną logikę.

No więc kiedy się ten Hagen dowiedział, że tak ma to „przesiedlenie” wyglądać, napisał list do samego Hitlera. Siadł przy biurku, wziął kartkę i napisał w nagłówku: „Mein Führer!”, a w górnym rogu datę: 7 grudnia 1942. Następnie pisał o tym, że doszły go słuchy i dlatego uważa ten pomysł za wielce szkodliwy dla Rzeszy, z militarno-politycznego punktu widzenia oraz z punktu widzenia polityki zagranicznej i ludnościowej. Sformułował w tym liście także bardzo ryzykowny pogląd, że spośród wszystkich robotników obcokrajowych Polacy stanowią element pod względem rasowym zbliżony do Niemców i są o wiele mniej niebezpieczni niż rasy południowo-wschodnie. Dalej uzasadniał, że jedną z nielicz-

nych sympatycznych cech Polaków jest ich miłość do dzieci i że wraz z życiem tych dzieci zgaśnie ostatnia iskierka nadziei na porozumienie z Polakami, bo są oni z natury skłonni do oporu i gwałtownych czynów. Tak to sprytnie ujął. Podejrzewam, że Hitler mu nie odpisał...

Zanim Hagen został pozbawiony funkcji i karnie wydalony z Generalnego Gubernatorstwa (Himmler chciał go nawet w Auschwitz zamknąć, tak jak to zrobił z polskim lekarzem współdziałającym z Hagenem, Janem Starczewskim), zdążył jeszcze przyczynić się do uratowania życia dzieci z transportu w pierwszej dekadzie stycznia.

To było tak, że najpierw, jeszcze w grudniu, przejechały przez Warszawę transporty z Zamościa z młodzieżą i dorosłymi, którzy jechali do Niemiec na roboty. Potem rozeszły się pogłoski, że tą samą trasą będą jechać dzieci. Tak jak przewidział doktor Hagen, warszawiacy byli niezwykle poruszeni i gotowi o te dzieci walczyć, jak to się pisze w podręcznikach: z narażeniem życia. Natychmiast zorganizowali ubrania, jedzenie, leki, zmobilizowali do pomocy lekarzy pediatrów. Na warszawskich dworcach były regularne dyżury oczekujących na te pociągi (towarowe, nieogrzewane wagony, mówię dla porządku). Przed dworcami stały samochody do transportu dzieci i karetki szpitalne, w pełnej gotowości. Wszystko na oczach Niemców, którzy zaczynali się już obawiać rozruchów. Uratowano pewną liczbę dzieci z pociągów stojących na Dworcu Wschodnim i na Bródnie. Część dzieci została wykupiona od konwojentów na przykład za pięćdziesiąt złotych, za sto złotych, różnie. Znalazły ratunek w szpitalach, w domach kolejarzy i tramwajarzy. Hagen wydał zgodę, by doktor Starczewski pojechał do Stoczka oraz Żelechowa koło Garwolina i ocenił stan dzieci, które tam trafiły; dzieci najbardziej chore i wycieńczone przyjechały do warszawskich szpitali i zostały uratowane.

I to już był koniec kariery zagranicznej doktora Hagen. Wrócił do Heimatu, w zwykłej przychodni pracować... Jan Starczewski obóz przeżył. Podobno ten Hagen to nie był żaden anioł, miał swoje za uszami, ale dzięki niemu uratowano wiele zamojskich dzieci. Nazwiska dobrych Niemców (nawet i tych półdobrych) nie powinny tkwić w archiwach, powinno się uczyć o nich w szkole, filmy powinno się o nich kręcić. Może nieco inne niż *Lista Schindlera*...

Oskar Schindler. Nie oglądałaś? Niemożliwe. Ale może dobrze, to nie dla ciebie film. Ten Schindler też się zapisał w historii jako dobry Niemiec. Ponad tysiąc Żydów zawdzięcza mu życie. To nie ulega wątpliwości. Liczby się liczą... Ale co do szczegółów, to już nie jest jasna sprawa. Spielberg, reżyser, który nakręcił *Listę Schindlera* w 1993 roku, pokazuje w tym filmie, jak nazistowskie serce Oskara w czysty kryształ się zmienia. Stopniowo i bezinteresownie. Z pijaka i seksoholika otrzymujemy po trzech godzinach projekcji mitycznego bohatera, z którym nikt się równać nie może. Na końcu płacemy razem z nim. Ale nie bądźmy naiwni, to tylko film fabularny, rzeczywistość była nieco inna i sporo wszystkich kosztowała... Podobno Schindler opuszczał swoją fabrykę autem pełnym brylantów i innych kosztowności. Które mu potem zrabowano. A może to też jest wojenna legenda, tylko z innej przegródki? Historia, gdy się od nas oddala, mityczniej, to naturalne. Mit jest ludziom bardziej potrzebny niż prawda, która jest zazwyczaj skomplikowana, niejednoznaczna, wewnętrznie i zewnętrznie sprzeczna. Mit daje to, czego potrzebują kolejne pokolenia: klarowną opowieść, w której dobro zwycięża zło. Gdy ostatni świadkowie uprzejmie odchodzą, pozostaje tylko mit, zgodny z głęboką ludzką potrzebą. A dokumenty spoczywają w archiwach albo gina,

albo się utleniają. Albo się w nie zwyczajnie nie wierzy.

Szkoda, że do sfery silnie oddziałujących mitów nie przeszła *Lista Kerstena*. Kto pamięta Felixa Kerstena? No, jest książka o nim, dzięki Bogu, chociaż mało znana. Był masażystą i lekarzem Himmlera, finlandzkim Niemcem, który pod koniec wojny dzięki przebiegłej taktyce, jaką stosował wobec swego wiecznie chorującego pacjenta, uratował około sześćdziesięciu tysięcy Żydów, przeznaczonych na śmierć w obozach. Sześćdziesiąt tysięcy! Liczby się liczą, prawda? No, ale to inna historia.

Każdy kraj ma swoje osobne mity. Dlatego historia Europy jest jak puzzle, które do siebie nie pasują. Bo się te dobra i zła w międzynarodowym dyskursie uzgodnić nie mogą. Korzyść jednego jest stratą drugiego, jak pisał Montaigne. Niemieckie dzieci dostają w procesie edukacji zupełnie inne obrazki do ułożenia niż dzieci polskie czy ukraińskie. Jedno jest pewne: nie należy oczekiwać zmian na lepsze, bo coś takiego jak postęp moralny w historii nie istnieje. Pamiętasz, co swym żołnierzom przed bitwą powiedział w *Iliadzie* Agamemnon? Że mają zabijać wszystkich, płód w łonie matki nie ma prawa przeżyć. Nie ma postępu w sztuce i nie ma go w historii. Jest natomiast postęp w sztuce wojny, o tak!

Łona matek, inkubatory istnieniowe, punkty graniczne, w których my, ludzie, dostajemy przydział do konkretnego wcielenia i pulę energii do zużycia. Żołnierze, wierni wodzom, wierni sprawie unicestwiania aż po płód, dostają rozkaz dotrzeć i tam... Na klamrach swoich pasów esesmani mieli napis: „Mój honor to wierność”. Nic dodać, nic ująć. Stale im się te klamry rozpinają, bo były źle zaprojektowane (przez Hugo Bossa, zdaje się...). W akcji na przykład, dajmy na to – podczas zabijania ciężarnej kobiety – pod wpływem gwałtowniejszych ruchów taki pas się rozpinął i... pojawiał się nieoczekiwane znak zapytania co do honoru. Nieraz się taki mundurowy zażenował albo po prostu wściekł. To był dla nich żywotny problem, sprawa feralnych pasów musiała się pojawiać wielokrotnie przy okazji wprowadzania kolejnych zmian w wyposażeniu jednostek Waffen-SS...

Wróćmy do liczb, które się liczą. Na samej tylko Zamojszczyźnie esesmani, żołnierze, żandarmi i policjanci w służbie niemieckiej spacyfikowali 115 wsi, niektóre parokrotnie, wysiedlili ostatecznie 110 tysięcy Polaków (z prawie trzystu wsi). Z wysiedlonych 110 tysięcy około 30 tysięcy stanowiły dzieci, z których 10 tysięcy nie przeżyło. Nie znałaś tych liczb, prawda? Te dzieci zginęły na Majdanku, w Oświęcimiu, podusiły się w wagonach podczas transportu, zamarzły, umarły na zapalenie płuc. Nie wiadomo, ile zniknęło w Niemczech, gdzie dotarły niektóre z tych, co miały niebieskie oczy... A czy ktoś osobno policzył te dzieci zabite na miejscu, w domach, na podwórkach? Albo te, co zostały sierotami, czyli na wpół umarłe?

Tych, które były w łonach zabitych matek, nie policzono. Twoja mama była w ciąży, gdy została zastrzelona...

Imiona

Szarajówka, wioska w sąsiedniej gminie. Tam pacyfikacja była nieco wcześniej, osiemnastego maja. Mieszkańców przesłuchiowano na placu wiejskim i torturowano, oczywiście w sprawie „bandytów”. A potem spędzono ich do stajni i zaryglowano. I podpalono. Torturowano, spędzono, zaryglowano, podpalono, -ono, -ono, -ono... Zbawienne te końcówki, niewinne sufiksy, co odsyłają do krainy abstrakcji... Ale mówmy konkretniej: żandarmi niemieccy i ukraińscy nacjonałiści, stacjonujący w Biłgoraju i Tarnogradzie, to zrobili. Jeszcze konkretniej: spalili żywcem pięćdziesiąt osiem osób. W tym dwumiesięcznego Jasia, roczną Julcię, dwuletnią Marysię, czteroletnią Anię; Broniek i Marysia mieli po pięć lat, Janinka o dwa lata więcej, dzień wcześniej dostała prezent: ołówek i zeszyt; Wandzia skończyła osiem lat, a Kostek dziesięć (nie lubił swojego imienia, po ojcu je otrzymał, lecz ojciec też zginął, i mama, i siostry). Jeszcze jedna Jula, lat trzynaście, jeszcze jedna Ania, lat czternaście, jeszcze jedna Marysia, też czternastoletnia. Wszystkie te imiona są prawdziwe. Wszystkie dzieci prawdziwe: ono i ono, i ono... Dzieci z Szarajówki, zabite, „wyjęte” z życia, a ich imiona włożone do książki ze spisami zamordowanych wsi.

A jak wyglądały te imiona? Miały warkocze, piegi, uśmiechy szczerbate? Oczy czarne, oczy szare? Kołnierzyk wiązany, spodenki na szelkach? Fotograf z rzadka zaglądał do wioski. A wtedy biegły za nim dzieci jak za czarodziejem...

Czy imiona morderców trafiły do jakichś rejestrów oprócz tych u Pana Boga nierychliwego? Nie znamy ich.

Imion i twarzy niektórych esesmanów, tych na przykład z Auschwitz, ukryć się nie dało, pozostały fotografie, albumy z paroma setkami zdjęć. Bo obsługa obozu ceniła wynalazek fotografii bardzo i chętnie pozowała do zdjęć. Taki Karl Höcker na przykład miał swój prywatny album z Auschwitz. A w nim powklejanych kolegów esesmanów, roześmianych, śpiewających, w towarzystwie dziewczyn z administracji obozu, wszyscy podpisani. Jest też album ofiar, pokazujący więźniów, wagony, baraki, wszystko. I ten album wpadł w ręce Lilly Jacob, młodej więźniarki, węgierskiej Żydówki, ona go znalazła po wyzwoleniu obozu. Do Węgrów mam słabość... Węgierscy Żydzi stosunkowo późno trafili do Auschwitz, bo dopiero w maju czterdziestego czwartego, ale przecież w większości zdążyli na swoją śmierć. Ta Lilly miała osiemnaście lat. Nikomu nie chciała tego znalezionej albumu dać, wozila go potem, po wojnie, pod materacem w wózku swojej córeczki. Na procesie we Frankfurcie też nie wypuszczała go z rąk. Bo tam była fotografia jej kilkuletnich braci, zrobiona zaraz po tym, jak wysiedli z pociągu po morderczej podróży. I zaraz przed tym, jak zginęli w komorze gazowej. Stoją na rampie, dwóch chłopczyków w takich ładnych, jednakowych płaszczykach. Patrzą w obiektyw, czyli prosto w oczy swojej siostry, która przeżyła. Spojrzenia utrwalone na fotografiach są zawsze współczesne. Nawet jeśli ten ktoś dawno nie żyje, to i tak wciąż patrzy i patrzy, i to jest wstrząsające. Patrzy, jakby pytał: czy ja umarłem? Ciebie pyta, ciebie, który oglądasz te zdjęcia... I nie przestaje, nawet jeśli mu sto razy odpowiesz, bo umarli żywym nie wierzą.

To moje jedyne pamiątki, powtarzała Lilly i nikomu dotknąć tych zdjęć nie dała, co najwyżej je pokazywała, ewentualnie robiła kopie. Rozumiesz, mamó, nie było na nią silnego, który by jej ten album wyrwał. To były konkretne dowody na tych oficerów, tyle że i tak nie miały jakiejś nadzwyczajnej mocy sprawczej – większość esesmanów została ukarana, można by rzec, postawieniem do kąta. Bo co to jest kilka lat, czy nawet miesięcy (!) cywilizowanego więzienia? W dodatku i tak zwalniano ich cichaczem przed upływem tego czasu. Jednemu nawet dożywocie skurczyło się do ośmiu lat, wyobrażasz sobie? Skandal na całą historię ludzkości. Nie było odpłaty, nie było skruchy. „Nicht schuldig”, mówili o sobie jeden po drugim podczas procesu frankfurckiego (bo oprócz procesu norymberskiego, o którym wszyscy pamiętają, były jeszcze inne).

Tymczasem te ofiary, które pozostają bez zadośćuczynienia, skazane są na dalsze cierpienia, niestety. Gdy oprawca odchodzi wolny, cykl się nie zamyka i ofiara nie uwalnia się od bólu. Taki jest ten mechanizm, zbadany przez psychologów. Tak że szczęśliwiej jest może zginąć. I w tym akurat punkcie ci się nie udało, mamó. Przeżyłaś, a pod spodem twojego życia cały czas trwa praca cierpienia. W jakimś sensie coś w tobie stale umiera i umrzeć nie może. Taka mała śmierć siedzi w tobie i szepcze, cały czas cię straszy. Tamci żołnierze i esesmani, którzy zmienili bieg twojego życia, wrócili do swoich domów, do swoich dzieci, przy których się nie wspominało wojny, bo wojna to nie jest temat dla dziecka. Wojnę się odcięło równiutko przy skórze świadomości, bo tak było higienicznie. Dopiero z czasem, gdy synkowie i córki nazistów rośli, sytuacja nieco się komplikowała.

Kiedy byłam małą, zapytałam cię, czy ten Niemiec, który zabił twoich rodziców, nie napisał do ciebie listu po wojnie. Czy nie chciał na przykład przyjechać z jedzeniem, kiedy w polskim sierocińcu jadłaś chleb z musztardą. Albo żeby wziąć na wakacje któreś z was. Śmiałaś się wtedy bardzo i powiedziałaś, że on pewnie się boi. – Dlaczego? – dziwiłam się. – Przecież nikt się nie boi dzieci. – Nie dzieci, ale siebie się boi – odrzekłaś. I to mi wystarczyło, ponieważ było oczywiste: żołnierza, który zabija, wszyscy się boją, nawet on sam.

Mordercy z Soch nie zostali ukarani, nie było zadośćuczynienia, więc napisałaś w swoim wierszu: „nie ocalałam”. Bo między ocaleniem a śmiercią są różne stany pośrednie. Żyjesz w jednym z nich.

Lilly oddała album dopiero w 1980 roku, dopiero wtedy coś się w niej zmęczyło, coś odpuściło, i muzeum Yad Vashem dostało te zdjęcia. I Lilly powiedziała wtedy o esesmanach z Auschwitz z taką bezradnością: „Nie nienawidzę ich, bo oni muszą z tym żyć, z tym, co zrobili”.

Dobrzy ludzie często są tacy naiwni, że aż nie chce się stawać po ich stronie...

Mięso duchów

Szarajówka została spacyfikowana w odwecie za pomoc partyzantom, tak jak Sochy. Niemcy ścigali partyzantów i ich rodziny. Partyzant to był gatunek. Żona partyzanta, wiejska dziewczyna, i jej niemowlę to też byli partyzanci. Nawet Żydzi pasowali, kategoria była bardzo pojemna. I się wszystkich złapanych „partyzantów” wieszalo, rozstrzeliwało. Niemowlę wystarczyło rozdeptać. Można też było rzucić je w górę i trafić w locie. Takich rzeczy ludzie nie robią sami z siebie, ktoś im musi pomagać. Sam diabeł chyba na ramieniu siedzi i podpowiada...

W lipcu czterdziestego drugiego Himmler zabronił używania słowa „partyzant”. Wprowadził terminy „bandy” i „bandyci”, zarządził karę śmierci za wszelką udzielaną im pomoc, a także odpowiedzialność zbiorową. Rok wcześniej kazał wsie wspierające partyzantów palić do gołej ziemi. Chciał tak przerazić wieśniaków, żeby z własnej inicjatywy zabijali partyzantów albo przynajmniej na nich donosili. Każdy sołtys miał obowiązek składania meldunków o partyzantach – czyli od lipca o „bandytach” – na najbliższym posterunku. Takie instrukcje otrzymały wszystkie niemieckie jednostki wojska i policji w Polsce. Ponadto jeśli w jakiejś wsi, albo nawet na drodze, która do niej prowadzi, „bandyci” zabiją czy zranią Niemca, odpowie za to życiem ta wieś...

– Przypomniał mi się czeski film o Lidicach. Lidice to ta miejscowość niedaleko Pragi, tak samo podczas wojny spalona do gołej ziemi jak twoje Sochy.

– Przecież ja o tym wiem.

– Ale może nie wiesz, że w latach sześćdziesiątych ludzie z Lidic, ci, co przeżyli, przyjechali odwiedzić Sochy, zobaczyć takich samych tragicznych niedobitków... Tyle że ta ich wieś była jedna na całe Czechy aż tak srogo potraktowana, więc medialnie wypieszczona jest bardzo. Rozsławiona na cały świat ze względu na Heydricha, esesmańskiego zarządcę Czech i Moraw, bo to za zamach na niego Lidice zostały spacyfikowane. Wszyscy znają fotografie pięknego pomnika pamięci, tłum wyrzeźbionych dzieci, które tam teraz stoją. Każde zamordowane dziecko ma swoją figurkę... U nas były setki takich wsi, tysiące dzieci, więc się mówi ogólnie wszystko naraz. I to nie jest takie nośne. Bo gdy słyszysz: sto dziesięć wsi na Zamojszczyźnie, tysiące w całej Polsce i że Polacy wycierpieli po Żydach najbardziej ze wszystkich narodów, to niczego nie widzisz. Wszystko, co nami wstrząsa, musi być pojedyncze i mieć swoje imię.

A wiesz, że tego Heydricha Hitler bardzo nie żałował, powiedział tylko, że to głupota, żeby taki człowiek tak się narażał. Bo Heydrich lubił Czechów i sądził w swej pysze, że z wzajemnością. Dlatego pozwalał sobie jeździć bez obstawy i w końcu dwóch chłopaków z partyzantki go ustrzeliło, niedaleko Lidic właśnie. No i się skończyła sielanka, okazało się, że Czesi to też są podstępni Słowianie, przynajmniej niektórzy. I trzeba było im pokazać, gdzie jest ich miejsce, czyli poza życiem.

Ze dwa czy trzy lata temu nakręcono tę fabułę o Lidicach, zaczyna się wątkiem miłosnym

w stodole. A potem już sama tragedia. Najbardziej poruszająca jest ciężarówka z lidickimi dziećmi, których rodzice już nie żyli, jadąca do niemieckiego obozu w polskim mieście Chełmno. To taka ciężarówka z funkcją komory gazowej, auto-apokalipsa. Nagle owa ciężarówka zatrzymuje się i Niemcy wpuszczają spaliny do środka, tam gdzie te dzieci, i wyskakuje na zewnątrz. Jeden Niemiec leci w pole i wymiotuje. Pomyślałam cynicznie, że od tych spalin mu się niedobrze zrobiło, ale on wyciąga pistolet i przykłada do głowy. Zabił się. Następne ujęcie pokazuje przez tylne okienko twarze tych zamkniętych, krzyczących dzieci, bez fonii oczywiście. Widzowie ich nie słyszą, a i Bóg też nie.

Na pewno tego nie obejrzysz, mamó, nawet nie powinnaś. Ja wszystko oglądam, co dotyczy wojny, ale zdaje się, że jestem wyjątkiem wśród moich znajomych. Przede wszystkim kobiety w moim wieku, one już przeważnie unikają takich filmów i książek. Mówią, że co trzeba, wiedzą, więcej nie wytrzymają. Też tak miałam, ale się cofnęłam. Skoro postanowiłam owe opowieści prenatalne sformułować, uzupełnić je wszystkim, czego się nasłuchiłam w dzieciństwie i później, od ciebie, od innych, i postanowiłam przewlec słowa przez groby moich przodków, to muszę. I powiem ci, że już nie jestem taka wydelikaccona – czytam dokumenty, oglądam filmy i słucham prawie bez bólu, co mówią ci ocaleni, starzy teraz ludzie, dziecięcymi głosami. Gdy tylko pod wpływem jakiegoś bardziej okrutnego szczegółu włos mi się jeży na głowie, a w żołądku rośnie kawał lodu, natychmiast przywołuję się do porządku – bo to jest moja praca do wykonania, ważna dla ciebie teraz, gdy już zaczynasz zapominać, i dla moich dzieci, gdyby kiedyś przyszły mnie pytać. Na razie nie pytają. No cóż, teraz nie ma zwyczaju pytać o dawne dzieje rodziny, prędzej do kina się idzie albo – znacznie prościej – w Internecie się coś obejrzy, popijając piwko. Wychodzi na to, że historię zapisują reżyserzy filmowi, że to ich narracje stają się wersją ostateczną dla przeciętnego młodego obywatela...

– A ty wiesz, mamó, że w Lidicach wciąż ktoś kradnie z pomnika kawałki tych dzieci, to znaczy tych rzeźb, na złom? Ciągłe muszą tam coś lutować, doklejać... À propos kawałków dzieci, widziałam niedawno filmowy dokument o Tanzanii. To nie do wiary, ale w dzisiejszych czasach poluje się tam na albinosów, no wiesz, na dzieci, co się bez pigmentu urodziły.

– Poluje się? Jak to?! Kto?

– No, czarni, pozostali Tanzańczycy, sąsiedzi na przykład, którzy chcą zarobić. Polują na albinosów, jak się na dzikie zwierzęta poluje, żeby im żywcem odrąbywać nogi i ręce, na sprzedaż. Jak słoniom ciosy. Białe nogi i białe ręce są tam dobrze płatnym towarem, bo to jest „mięso duchów”. Na takie mięso jakieś szczególnie duże ryby dobrze biorą i można się szybko wzbogacić, jak się tych ryb nałowi. Nie, nie pamiętam, o jakie ryby chodzi, nie robiłam notatek, to późno w nocy pokazywali w TVP. Biali Murzyni, ci odmieńcy, tak są tam właśnie traktowani, jak złe duchy, które trzeba ściagać. Większość z nich ginie w dzieciństwie. Matki albinosów żyją w ciągłym strachu i te dzieci, gdy tylko się dowiedzą, że coś z nimi nie tak, również. Telewizja pokazała obóz dla „białych”, otoczony grubym, wysokim ceglany murem. Zamyka się bramę o szóstej wieczorem, żeby ich nikt nie zabił w nocy, żeby się mogli wyspać spokojnie. Ale i tak się boją, boją się już na stałe. O powrocie do rodzinnej wsi mogą tylko marzyć. Niektóre z tych dzieci już nie mają rąk. Chora na AIDS czarna matka jednego z „białych” chłopców, bohaterów filmu, usłyszała kiedyś od sąsiada,

że gdy tylko ona umrze, dzieciakowi odrąbią nogi. Cały czas o tym pamięta, więc żyje i żyje, stara się nie umrzeć za wszelką cenę. Chłopak pragnie zostać elektrotechnikiem. Na razie zrobił sobie z pudełka mały telewizor zabawkę, taką atrapę, na ekran przykleił zdjęcie z gazety. I tak ten nasz świat wygląda, cholera... Niestety, żadna kamera nie sfilmuje strachu tak, jak się go czuje. Pokazują tylko na przykład, jak nad dzieckiem staje czarna postać ze wznie-
sionym ramieniem. Nie pokazują wybuchu trwogi, który zmiata z oczu wszelki widok, i jak trwoga zamienia to dziecko w kamień.

– Mnie się takie palące iskry wbijały w skronie ze strachu, deszcz palących iskier, a potem sztywniałam...

– Pamiętam, opowiadałaś mi, że po pacyfikacji stale jeden sen ci się śnił, powtarzał się ciągle. To była czarna postać, czarna twarz, z jednym żarzącym się punktem na środku, jak-
by zapalonym papierosem w ustach. I ona się nad tobą pochylała, a ty budziłaś się z krzy-
kiem, tak cię to przerażało. Nie wiesz, kto to był? Namalowałaś go potem na jednym ze swo-
ich obrazów. Ciemnogrnatowy półprofil z czerwoną poświatą, taka mocno chropowata fak-
tura... Może tak ci się wrzeźbił w podświadomość ten Niemiec, który strzelił do twojej
mamy? Jego twarz – czarna plama... Może on papierosa miał w ustach, z taką jakąś nonsza-
lancją zabijał, mógł sobie zapalić przecież. Pamiętasz coś takiego?

– Nie. Furażerkę i lufę tylko.

– Chciałaś mi dać ten obraz, gdy się wyprowadzałam z domu, ale w życiu! Zawsze się ba-
łam tego obrazu, nigdy go nie wezmę, żebyś mi go przypadkiem w testamencie nie zapisała!
To twój strach, ja go nie chcę, mam dość tego dziedzicznego.

Nie zamykaj oczu

Strach jest tak naprawdę nie do opisanie. Mnie się kiedyś zdawało, że wszystko jest do opisanie. Tylko trzeba się wcześniej dobrze zastanowić. Mocno się wczuć w tę przerażającą rzecz, którą się ma na myśli, i zaciągnąć ją z powrotem w tamten czas, gdy się stawała (można też przypomnieć sobie inną, podobną historię), i się z nią utożsamić. Wtedy powinno dobrze pójść. Skoro na początku było Słowo, to powinno się znaleźć i potem. Ale niestety. W kwestii strachu to się nie udaje. Bo czy można ubrać w słowa pustkę, która wyje? Pustkę, która wyje, biegnąc na oślep? Pustkę, która wyje i biegnie na oślep, nie ruszając się z miejsca? Jak płonący łód parzy i ziębi zarazem? Od czegoś takiego słowa odpadają jak papierowe strzałki. Właściwie zanim doleczą, to się już spalą. Nie ma słów.

Dlatego ciocia Kropka nic nie pamięta. Tak postanowiło jej centrum dowodzenia. Pierwszego czerwca 1943 roku miała dokładnie trzy lata, cztery miesiące i dziesięć dni i gdyby chciała, toby coś odpomniała. Ale nie chce do dziś. Swoich rodziców nie pamięta. Tamtego dnia, pierwszego czerwca, nie pamięta. Następnym tygodni nie pamięta. Dopiero z późniejszego okresu powoli co nieco z pamięci się wysnuwa, pojedyncze nitki: jakaś jedna chwila, gdy leży na polu, już w Stolnikowiznie, i widzi wzlatującego w błękit skowronka, jakieś jedno miejsce, na przykład promień słońca błędzący po ścianie w domu babci. Barwne plamy, jak na jej gobelinach. Bo w dorosłym życiu Kropka tką gobeliny, piękne. Na jednym z nich, dość dużym, przedstawiona jest dolina pomiędzy Koszarką a Borczyną i widać dachy Soch. Koszarka i Borczyna – tak się nazywają wzgórza nad Sochami.

Kropka mówi, że ta niepamięć to od tego, że ją dziadek przykrył szynalem i wszystko zniknęło...

– Kiedy przeszliście na drugą stronę drogi, do domu dziadka Ferenca, w którym mieszkali też bracia waszego taty (Stanisław, ten, co był sołtysem, ze swoją piękną żoną Anastazją i czwórką dzieci, oraz Antoni, kawaler), kiedy tam przyszliście, powiedziałaś do Anastazji: „Ciociu, mama i tata są zabici, mama w zbożu, a tato na drodze leży”. Bardzo długie zdanie. Naprawdę dokładnie tak to powiedziałaś?

– Dokładnie tak.

– A oni wtedy akurat razem z drugim stryjem, Antonim, zwierzęta wypuszczali z obory i wynosili rzeczy z domu, żeby co się da przed spaleniem uchronić. Gdy to usłyszeli, wszystko rzucili. I pobiegli w pole. Wypuściłaś dzieci z rąk...

– Nieprawda, cały czas trzymałam je za ręce.

– Nieprawda, twoi kuzyni mówią, że wasz dziadek złapał Kropkę i pobiegł. Ile on miał lat wtedy? Siedemdziesiąt? Więcej? Złapał małą i pobiegł za sad. Tam był taki dół, w miejscu, gdzie kiedyś palili ognisko i suszyli len czy konopie do międlenia na przedziwo, w tym dole się położył z nią i przykrył grubym szynalem z pierwszej wojny. Kropka ani pisnęła. Niemcy szli tamtędy, jeden podniósł połę szynela i kopnął nogą leżące ciało. Powiedział: „kaputt”

i poszedł. Poszedł. I Kropka drugi raz przeżyła.

– Nieprawda.

– Uważasz, że dzieci były przy tobie. Że z nimi dwojgiem położyłaś się pod wozem na polnej drodze, a tuż obok leżały dwie inne rodziny, matki z innymi dziećmi. Stryjna Anastazja z dziewczynkami, Aniela z czworgiem, Janina z dwoma synkami. Wszyscy się modlili. Wszystko się paliło. Dobrze więc, nie wypuściłaś dzieci z rąk. Jeszcze raz to opowiedzmy twoimi słowami.

– Szłam ku drodze, Kropka po lewej, Jaś po prawej. Ja w środku. Nad głową Jasia palił się dach kowalów, ponad głową Kropki spojrzałam na tatę, który leżał. Potem przeszłam przez drogę, przez gościniec, a oni ze mną. Dziadkowie coś jeszcze wynosili z domu. Przed domem leżało dużo rzeczy. Powiedziałam im. Wtedy stryjowie zabrali nas do sadu. Tam były wielkie czereśnie, pełne owoców. Były już owoce... I wysoka trawa. I my w tej trawie: stryj Stanisław z dziećmi...

– Stasia, Julka, Tadek, Helcia?

– ...i stryjna Anastazja, ta piękna. I Antek, kawaler, czterdzieści dwa lata. Dziadek w dołku, przykryty szynelem z pierwszej wojny. Nie mógł być bardzo stary, miał czarny wąs, był węgierski w typie. On tam został, przeleżał w tym dołku do końca. Szłam dalej z Kropką i Jasiem, nie puściłam ich rąk. Za sadem na polnej drodze stał wóz, bez konia. Weszłam pod ten wóz. Stryja Stacha i stryja Antka, i kowala zabrali Niemcy. Odprowadzili z powrotem w stronę sadu i rozstrzelali. Tuż obok w życie leżały jeszcze kowalowa z rodziną i Władka Szawara, ładna, ładnie się ubierała, pracowała w Zwierzyńcu, może to była siostra tego Szawary, co się potem z Bronką ożenił? I jeszcze jej siostra, dwie siostry. Leżały obok tego wozu, pod którym leżałam z dziećmi. W pewnej chwili one zostały wywołane przez Niemców. Krzyczały i płakały, bo oni chcieli tę Władkę, wiesz... Ale ci Niemcy też nie byli tacy pewni, czy coś zdążą, jeden pokazał zegarek. Musieli przed samolotami zdążyć przecież, do lasu uciec. Siostry obstały Władkę, obrazami świętymi zasłoniły i ciałami. Obrazy miały. Ludzie niektórzy tak robili, obrazy pozabierali z domów, dla ratunku. Potem one, te dziewczyny, pousiadały na drodze poprzytulane i płakały. Wtedy przeleciał pierwszy samolot i drzazgi poleciały po tym wozie, gdzie byłam. Niemców już w tamtej chwili nie widziałam, już zniknęli. „Weź dzieci i przyczołgajcie się do nas, jak nas wystrzelają, to razem” – zawołała jedna z tych dziewczyn. Więc się przeczolgałam do nich. Kobiety, co leżały w życie, zostały poranione bardzo. Zboże się gięło, bo samoloty leciały strasznie nisko. Wciskałam twarz w ziemię, huk był taki, że wyrwał mi głos z płuc... Tak to było. Tak, właśnie tak.

A jednak Kropka coś pamięta. Poprosiłam ją, żeby zajrzała pod spód niepamięci. I wtedy mi powiedziała, że widzi siebie, jak leży z dziadkiem pod szynelem, w ciemności, tylko przez dziurkę od guzika wpada mgiełka światła. Dziurka jest duża, pewnie wyrobiła się od częstego zapinania i odpinania. Było widać przez nią brązowy piasek i kilka trawek. Dziadek szeptał, żeby się nie ruszała. Było jej bardzo niewygodnie tak się nie ruszać. Gdy się zrobił wielki huk, dziadek odsunął połę szynela i zobaczyli samolot. Leciał tak nisko, jakby spadał. Kropka była przerażona.

Tak bardzo się bałaś o brata i siostrę, że w swojej pamięci cały czas ściskasz ich ręce i masz ich przy sobie, cały czas.

Stasia sołtysówna, twoja stryjeczna siostra, która jak ty miała dziewięć lat, tak to pamięta: Janina dostała serię po nogach. Mąż Anieli biegł ścieżką do nas, bo była z nami jego żona z dziećmi. Zastrzelili go. Potem trzech Niemców stanęło nad nami leżącymi przy ścieżce. Jeden w hełmie, drugi w furazerce, trzeci z gołą głową. Mieli twarze czerwone i oczy, od ognia. Kazali wstać wszystkim i karabiny skierowali na stryja i tatę. Niemiec powiedział wyraźnie, słowo po słowie: „Banda obiad, banda wódka, meldung nie”. Bo tata był sołtysem, a nie donosił, jak należało, na partyzantów, jeszcze ich karmił. Niemiec strzelił tatusiowi w głowę. Antoniemu także strzelił w głowę. Leżącej Janinie także strzelił w głowę. Wszystkie dzieci widziały, okiem kula wyszła. A ta Janina dalej żyła. Czasem niektóry człowiek trzyma się życia nie wiadomo czym, szczególnie gdy ma małe dzieci...

W tym czasie u Bronki Nizio (po mężu Szawara), tej, co została poetką tak jak ty, wszystko się działo przy wozie, którym oni wyjechali z podwórka. Ale tylko paręnaście metrów przejechali. Tam stała ich stryjna na drodze przy domu (dom dwudziesty czwarty), ona czwórkę małych dzieci miała – Marynia, najstarsza, pięć lat, Jasio cztery. Jedno jeszcze przy piersi, to był Stasio, i Władzio, co dopiero zaczął chodzić. I ta ich stryjna mówi: „Weźcie to dziecko, bo ja nie dam rady z nimi wszystkimi”.

„Wzięłam tego Władzia...” – opowiadała Bronka, bo ja do tej Bronki pojechałam, żeby mi poopowiadała. Ona miała wtenczas piętnaście lat, więc pamięta najwięcej ze wszystkich. Teraz stareńka już jest, ale jak ona potrafi historie snuć!

„Wzięłam tego Władzia – mówi Bronka tym swoim ludowym językiem – a tego malutkiego wzięła moja mama. I troszka dalej w sadek podjechaliśmy tym wozem, bo słychać, kule lecą. Już ogień do nas dosięga, mama do taty mówi: jeszcze wyjeżdżaj, jeszcze kawałek, bo tu żar się robi, i widzimy, że już strzecha leci z ogniem. I wtedy jak raz Niemiec idzie, a my przy takiej krzywej trześni stanęli. Niemiec krzyczy, żeby uciekać, ale nie gdzieś stąd, tylko *nach Hause* i *nach Hause*, żeby z powrotem. A ojciec: panie, kiedy się pali wszystko! A mamusia mu mówi spokojnie: przywiąż tu konia, tu będziemy leżeć, nic nie poradzimy, trzeba będzie zginąć, kule lecą z tej i z tej... Do nas, do dzieci, mówi: skulcie się, a do taty: poprzykrywaj ich kocem, żeby ich nie poparzyło. Bo wszędzie leciały te słomy zapalone i gorąc straszny. A do stryjny: niech to dziecko cicho będzie, daj mu pierś, niech nie płacze, bo jakiś Niemiec idzie znów, to ten, co Magdeńczyńnych wybił, Józwę i Kasię, teraz tu idzie do nas. Ale ono skomli, ten mały, jak to dziecko... My poprzytulane do siebie mocno, wszystkie razem leżymy, stryjna ze swoimi dzieciaczkami, nasz Stasio z ojcem, ja przy mamie, a mama Marysię sobą zasłania. Ten Niemiec karabin na nas celuje, jeszcze to zobaczyłam, bo tak przytulona byłam do mamy pierś, potem oczy ręką zakryłam. Zaraz był strzał i usłyszałam, jak w mamie coś tak bulgotało, bulgotało, a to krew tak z niej schodziła. Potem drugi strzał, gorąco mi się zrobiło, ciemno, coś mnie zalało i nie słyszałam nic więcej.

Jakem się przebudziła, to dzieci piszczeli, a Marysia płakała, rękę mi z twarzy zdjęła, w rękę byłam raniona, co nią sobie oczy zasłaniałam. Marysia tylko: mamusiu i tatusiu, mamusiu i tatusiu, a Jasio, ten od stryjenki, woła: mamu, zawiń mi nóżkę, zawiń mi nóżkę. Ale już ta mama nie żyła i to przy piersi dzieciątko też. Jego, tego Jasia, w kolano gdzieś postrzelili, później umarł w szpitalu. Jakem się przebudziła, to jużem samolotów nie widziała nic, już po tym wszystkim było... Marysia tylko płacze: nie zamykaj oczu i nie zamykaj oczu, bo

nikt się nie odzywa, wszystkie wybite, wszystkie nie żyją, nie zamykaj oczu. Rzeczywiście, tylko te dzieci jęczeli. I nasz Staś też, strzelony trzy razy w pierś i w rękę, o wodę jęczał bardzo, ale nie było w co nabrać. Jakem się zwiedła, to poszłam tej wody szukać z siostrą, bo ona bała się zostać. I znalazłam u Skrzypów mleko, wyniesione było, w kubku stało, jak to możliwe? Przyniesłam, chciałam brata napoić, ale wymiotował, nie dawało się.

I tu jak raz wołają, że Niemcy wracają, żeby uciekać. Wracali Niemcy po swoich rannych, dwóch tu było postrzelonych, jeden ich w naszej pszenicy leżał na górze, pewnie chciał coś ukraść jeszcze, a wtedy nie zdążył, gdy samoloty przylecieli, i dostał. Ludzie zaczęli uciekać, a ja – cóż ja tu zrobię? Wzięłam Marysię, chłopaki z Szozdów, co przyszli tędy, wzięli Stasia pod pachy i ponieśli. Tego małego Władzia już nie daliśmy rady wziąć, został przy matce zabitej.

Nikiem na górę weszła, to mi krew waliła z tej ręki tak, że czarno mi się robiło. Do Szozdów szliśmy, żeby do szpitala dalej dojechać, do Biłgoraja, kolejką. Na tej górze to już zemdlałam i nie pamiętam, jak mnie do kolejki zaprowadzili, do Biłgoraja dowieźli. Marysię wzięła ta ojca siostra z Rudki, Hałasicha, a ja zostałam w szpitalu. I brat Stasio. Ale on tam dłużej był, bo mu się w te rany gangrena wdała. Tak mu ten doktor mówił, tak go cieszył, że dobrze będzie, że przeżyje, ale nie. Pojasek się nazywał ten doktor. Co on miał w tym szpitalu! Pełno rannych! A w szpitalu nic, żadnego życia nie było, i czym karmić tylu? Mnie posyłał, żeby szczaw zbierać na zupę, i prosił tych, co przyjeżdżali odwiedzać: ludzie, jak macie coś do jedzenia, to przywieźcie, bo ja cały szpital mam zawalony, i chirurgię, i zakaźny, a nie mam co dać jeść! Do kuzynki mojej z Lipowca mówi: patrz na te dzieci, jakie chore, mąki przywieź. I ja jej wyglądałam, tej kuzynki mojej, przy bramie, żeby się mleka napić, jak przywiezie co, bo obiecała, a woźny przy bramie mówi: dziecko, co ty tak czekasz i czekasz, wczoraj Lipowiec cały wysiedlili, już oni sami nie wiedzo, gdzie wiatr ich powieje... Potem mi ręka tak spuchła, że doktor nic uradzić nie mógł, i do Lublina mnie powieźli, żeby mi poprzerzynać i odłamki kości powybierać.

Jużem Stasia nie widziała, umarł mój brat Stasio...”

Szczęście

Czyli Marysi Nizio, siostry Bronki, żywej, i Stasia, zmarłego, nie wywieźli na zniemczenie, a tak się bał jej tata, że imię swoje zapomni. Ani ciebie nie wzięli, a mogli, ładna byłaś, ani Kropki, choć taka blondyneczka, prawie białe włosy miała i niebieskie oczy, prawdziwa Aryjka. Dzieci z Soch były niewiadomego przeznaczenia.

Te, co poginęły, to przypadkowo albo z powodu skłonności indywidualnych poszczególnego żołnierza niemieckiego, czy też policjanta. Szczególnie ci z Schupo to byli luzacy, tam żadnego porządku nie było. Ktoś z Wehrmachtu powiedział: „Dzieci nie zabijać”, bo ci z Wehrmachtu, oni chwilami jakiegoś kodeksu moralnego jeszcze się trzymać usiłowali, ale policja porządkowa to była zbieranina rozmaitych typów po byle jakim trzymiesięcznym szkoleniu. Co tu mówić o nazizmie, oni nie mieli pojęcia o jakiegokolwiek ideologii, byli poinformowani, co trzeba robić, i tyle. To żadni naziści, to właśnie byli ci zwykli Niemcy, co się nie nadawali do prawdziwego wojska, bo byli albo za starzy, albo za głupi, albo ułomni w innej mierze. Z dnia na dzień tam żyli, na Wschodzie, bez wyższych aspiracji i cieszyli się, że nie są pod Stalingradem, tylko pod Zamościem. Poza mordowaniem normalnie egzystowali, do kina chodzili, do knajpy, listy pisali do domu, w szachy grali. A czasem to się nawet nudzili. Więc niejeden chciał se spróbować, jak to jest do dziecka strzelić. Do dziecka to jednak przecież coś innego niż do dorosłego, w tym przypadku się trzeba trochę jakby przełamać... I oni się musieli sami tego nauczyć, sami od siebie. Bo chłopców z Hitlerjugend na przykład to na psach uczono. Wiesz, że w ramach szkolenia takie właśnie stosowano „socjotechniki”? Chłopak dostawał psa i go sobie miał, karmił, bawił się z nim, a potem musiał go zabić. Takie ćwiczenie amoralne, na hart ducha bardzo dobre, żeby chłopcy na mazgajów nie wychodzili. W Sochach jeden żołnierz się okazał mazgaj, ten, co płakał u Skórów na podwórku, gdy miał rozstrzeliwać. Jednak na tym podwórku dzieci nie było, najmłodszy człowiek przeznaczony do zabicia miał szesnaście lat, Janek Pieczykolan, i właśnie on uciekł. Pewnie z Wehrmachtu ten płaczący żołnierz był, nie z Schupo. Zaskoczyło go to zadanie.

W Sochach zabito w sumie czterdzieścioro pięcioro dzieci, a ile przeżyło, toby trzeba policzyć...

Ilu w ogóle mieszkańców zginęło, nie wiadomo do dziś. Stu osiemdziesięciu siedmiu? Dwustu? Więcej? Znalazłam informację i o trzystu. Kto miał policzyć tych zabitych tam na miejscu, skoro prawie wszyscy nie żyli... Ludzie z sąsiednich wiosek próbowali ustalić liczbę, ale to nie było łatwe. Wiadomo, że z Soch już o świcie niektórzy wyszli do pracy. Ktoś szedł do Zwierzyńca, w browarze pracował, ktoś do Szozdów, gdzie była kolejka wąskotorowa, więc i robota. Ale oni się potem znaleźli martwi, jak się okazało, pierwsi zginęli, na drodze. Jacyś soszanie jeszcze dawniej wyjechali do rodzin. Inni z kolei przyjechali tutaj do pracy w tartaku, na stawach rybnych albo tylko po to, by się schronić, bo puciekali ze swoich wsi przed Ukraińcami. To pamiętasz, wiem, strach się zawsze pamięta, a Ukraińców bali się i dorośli, i dzieci.

Policzyć ich wszystkich, tych, co zginęli, dopasować imiona i nazwiska do liczb to obsesja, której nie podzielają ludzie niebędący stamtąd. W tabelach i spisach zabitych jest mnó-

stwo błędów i nieścisłości i nic się już nie da z tym zrobić. Imię twojej mamy na przykład jest przekrecone, pomyłone, a i stryj Stanisław zapisany jest jako Bronisław.

Pozostaje wyrażenie „mniej więcej” zamiast modlitwy za konkretną duszę.

Miały szczęście te zabite i te niezabite dzieci soszańskie. Bo do obozów przesiedleńczych w Zwierzyńcu i Zamościu nie trafiły, gdzie głód był straszny, a wszy i świerzbowiec żywcem dzieci jadły. Wagonami na zachód nie pojechały, po drodze z pragnienia nie umarły. Nie znalazły się nie wiadomo gdzie, w szczerym polu porzucone, albo na przykład w niemieckim domu wychowawczym, z nowymi nazwiskami, bite za każde polskie słowo. Ani do Mordów pod Siedlcami nie jechały, jak Edek Markowicz z Kolonii Staszic, ani na Pomorze, by przez obcych być wykupione od strażników konwojentów za sto, sto pięćdziesiąt złotych, w najlepszym razie. Ani w Auschwitz od zastrzyku fenolu nie zginęły, ani na Majdanku zgniłej brukwi nie jadły. Oprócz Stefki.

Nie pamiętasz tej Stefki, była starsza ze cztery lata od ciebie, a to dużo w dzieciństwie, i mieszkała w domu osiemdziesiątym trzecim, po południowej stronie drogi. To było daleko od was, z kilometr. Miała dwie młodsze siostry i brata dwuletniego. Właśnie z nim, z tym Józiem, znalazła się w obozie, najpierw w Zamościu, po wysiedleniu Aleksandrowa. W Aleksandrowie mieszkała jej babcia i ona, na nieszczęście, wnuki przygarnęła po spaleniu Soch. A ten Aleksandrów był stale nękanym przez Niemców, ciągle kogoś wysiedlali stamtąd, na roboty wysyłali, i ludzie wciąż uciekali do lasu. Raz Niemcy zrobili obławę na dzieci pasące krowy w lesie.

„Nie pamiętam, co to był za dzień – wspominała Stefka – ale pamiętam, że z za każdego drzewa wychodził Niemiec z psem...” Było bardzo mokro, Niemcy wodę z butów wylewali i klęli strasznie, bili, kopali tych pastuszków, gnając ich przez łąki w kierunku wsi. Kazali wszystkim usiąść nad wykopanym dołem i czekać, do wieczora to trwało, Stefka była pewna, że nad własnym grobem siedzi. Potem był obóz w Zamościu, dopiero tam spotkała babcię z braciszkiem. Babcię zaraz zabrano, wtedy już sama z nim została. W baraku na podłodze z Józiem spali na gołej ziemi. Potem transport do Lublina, potem bieg w upał przez ulicę Krochmalną i dalej, z płaczącym z głodu i pragnienia dzieckiem na rękach. Stefka, zdyszana i przerażona, ucisza chłopczyka, szepcze coś, obiecuje, byle nie krzyczał, bo Niemiec ich zabije. On mamy wołał i ona też w myślach matkę wołała, czternastoletnia... Myślała, że nie dojdzie z tym dzieckiem. Ale doszła, na Majdanek. Przeszła te wszystkie etapy: rozbieranie, golenie do gołej skóry, łaźnię. Potem już poranek za porankiem taki sam. Pobudka na apel przed świtem, Niemki z pejcami i psami w drzwiach baraku, krzyki i bicie. Nigdy nie zdążyła na czas i zanim ubrała brata i siebie, zanim oboje z pryczy się wygramolili, zawsze parę pejców na plecach miała, wszyscy szybciej biegli, a ona z tym dzieckiem nie mogła nadążyć. Niemki czekały na nią w drzwiach jak na deser, lubiły ją bić.

Igranie z przerażeniem dziecka daje takim bestiom wiele radości. Bo dziecko ma bliżej do krawędzi otchłani i boi się zawsze ostatecznie. Wiadomo przecież, że przemoc, okrucieństwo to potężny afrodyzjak, i nie znają prawdziwej rozkoszy ci, co nie igrają ze śmiercią drugiego, nie patrzą, jak się ona rodzi w kimś i dojrze. Jaka jest najpierw nieśmiała, niewierząca w siebie i jak potem rośnie i przerasta tę pojedynczą ofiarę, i wtedy katom jest najprzyjemniej. Patrzenie na śmierć, którą się samemu zadaje, in statu nascendi, to jest dopiero wycieczka zagraniczna, to jest dopiero ekstremalna przygoda egzystencjalna. I zawsze dobrze się

kończy – bo się ze śmiercią wygrywa, zabijając. Zwycięzca bierze wszystko i pozostaje z poczuciem nieśmiertelności.

Podobno taki jest mechanizm psychologiczny. Ale czy możemy to wiedzieć na pewno? Intelpekt słabo działa w rejonach, w których króluje namiętność. Brakuje słów, by opisać okrucieństwo oprawcy, brakuje słów, by opisać mękę ofiary. Nie udało się to chyba w żadnej z wielkich ksiąg ludzkości. Skoro nie Słowo było pierwsze, to nie ono jest kluczem do tajemnic.

A więc te Niemki co rano urządzały sobie zabawę ze Stefką, która przebiegała z Józiem na rękach pomiędzy nimi, osłaniając go i kuląc się pod uderzeniami pejczów. Prawie by z głodu tam we dwoje umarli, woda z brukwią czy zgniłymi kartoflami nie nadawała się do jedzenia, czasem jakaś litościwa dusza kawałek bułki pod ubraniem dla małego przyniosła i wtedy Stefka karmiła go tak, żeby nikt nie zobaczył. Bułka to był przed wojną chleb z pszenicy, w odróżnieniu od tego z żyta. Stefka pamięta kobietę, co pracowała w pralni, ona te bułki dawała. Aż Stefka zachorowała i w jakiś bardzo wczesny ranek, po ciemku jeszcze, potajemnie wywieziono ją z tym braciszkiem z Majdanka do szpitala Jana Bożego w Lublinie. Stefka gorączkę miała, na pace jakiegoś samochodu leżeli pod stertą pościeli do prania i czekali; ktoś, kto przechodził, wrzucił do auta siatkę z bułkami. Dwa dziecięce kościotrupy, większy i mniejszy szkielecik...

– Odratowali ich?

– Tak. Szczęście w nieszczęściu to jest czasami największe w życiu szczęście.

Potem, po wielu perypetiach, ta Stefka wróciła do Soch. Okazało się, że w tym samym czasie ich matka pod drutami stała i błagała obozowych wartowników, by ją wpuścili do środka choć na chwilę, pozwolili dzieci zobaczyć, a ich tam już nie było! A jak Stefka dorosła i urodziła swojego synka, to nazwała go Józek, tak jak ten jej braciszek miał na imię, bo się do niego przywiązała matczynym przywiązaniem, a nie jak siostra. I ten wzór w głowie jej został. A wiesz, że ten Józek syn to w Warszawie mieszka? Dziennikarzem jest z zawodu, prowadzi wydawnictwo, które wydaje historyczne książki i czasopismo dla nauczycieli historii. On jedyny co jakiś czas o tragedii Soch przypomina w gazetach ogólnopolskich. Co ciekawe, to wydawnictwo, które prowadzi, należy do Niemca! Paradoks dziejów...

Pustka

Hitler wpędził Niemców w nałóg zabijania na masową skalę. „Czystka etniczna”, jaką Niemcy zafundowali Europie, głównie Żydom (przy okazji zniknęła połowa europejskich Cyganów) i Słowianom, była z pewnością widoczna z kosmosu. Nałóg jest zawsze autodestrukcyjny i wynika z wielkiego pragnienia, z wielkiego psychicznego braku. Freud mówił o popędzie śmierci, który swoim zwyczajem połączył z erosem, bo dla niego nasz świat to jedno wielkie łóżko, na którym przewala się ludzkość, wyczyniając rzeczy okropne i perwersyjne. Współcześni psychologowie wołają więcej wieloznacznej abstrakcji. Mówią o pustce, nazywają ją pustką podstawową, która zamieszkuje ego i ssie nas od środka, nawet nie wiemy kiedy. Prawdopodobnie, rodząc się, wraz z wodami płodowymi połykamy też kroplę nicości. Która jest gęsta, lodowata, czarna. Pierwszy oddech dziecka wyzwala krzyk, który nie jest okrzykiem szczęścia, lecz płaczem utraty, wołaniem wstecz, tęsknotą i strachem. Potem stopniowo wszystko się układa, chociaż przecież nie każdemu. Niektórzy chodzą z tą pustką niezabliżnioną i cierpią na egzystencjalne mdłości, robią sobie krzywdę taką czy owaką, usiłując uciec przed tą nicością, tym strachem, którego nie rozumieją. Wszelkie uzależnienia temu służą, żeby zamiast owej samotrawiącej się pustki poczuć przyjemność. Najlepiej na stałe, bo zbyt długie przerwy powodują, że strach wraca z jeszcze większą siłą. Zadawanie śmierci niewątpliwie syci człowieka, ale też podnieca głód zabijania, i tak w kółko, jak to w uzależnieniach – im bardziej pada śnieg, tym bardziej pada śnieg, mówił Kubuś Puchatek, który pewne zawilości tego świata upraszczał w sposób brawurowy.

A co ciebie ratowało? Owa „pustka podstawowa” została ci odsłonięta jednym szarpnięciem, jednym strzałem. Dwoma. Zasłona się rozdarła, gdy ojciec i matka zginęli na twoich oczach. Śmierć podeszła tak blisko, że zmieniła cię w kamień prawie. Depresja jest otwartym przyznaniem się psychiki do tej pustki w ego. Czyli w twoim wypadku nawracająca depresja. Płacz, jakby to można było wypłakać. Leżenie w łóżku, jakby to można było wyspać. Wolałaś spać, bo liczyłaś na to, że kiedyś obudzisz się we właściwej jawie, w której będzie wesoło. I za którymś razem się udawało. Za którymś razem, jeszcze zanim otwarłaś oczy, wiedziałaś, że to jest ten dzień, ten dobry. Wstawiałaś i zaczynałaś malować obraz. Albo pisać wiersz, jeden, drugi. Czasem kilkanaście. Wiersze wymiatały z duszy wszystko, co niepożądanie. To było jak „czystka duchowa” i budowanie z chaosu. Autoterapia przez twórczość. Słowa w zdaniach tworzyły sensory, a o nic więcej nie chodzi w życiu, tylko o sensory, prawda? Wiele małych, jeden duży, wszystko jedno. Jakikolwiek sens zamyka ten koszmarny przebieg, który wieje i wyje, gdy pustka się otwiera w nas. Ten sens ją zamyka i przerabia na przytulne mieszkanie na pewien czas. Bo, niestety, ta emocjonalna próżnia wraca i znów zaczyna dyktować warunki...

Mamo, nie ma mowy, żebyś wszystko dokładnie pamiętała, bo trauma dezintegruje pamięć. Niczego linearnie nie powiążesz, choćbyś chciała. We współczesnej psychologii uważa się, że wydarzenia traumatyczne nie wytwarzają wspomnień, lecz aktualia. To znaczy, że wszystko dzieje się tu i teraz, bez względu na typowe przemijanie. Czyli żyjesz sobie nor-

malnie dalej, wszystko niby prawidłowo się przemieszcza z przyszłości do przeszłości, ale na drugim planie coś się zacięło i się powtarza. Jak na winylowej płycie, efekt zadrapania, igła gramofonu skacze w tył na pewnym wybranym odcinku utworu. I stąd napady paniki, które w ogóle nie są związane z bieżącą chwilą. Albo nagłe poczucie opuszczenia, gdy siedzisz w domu pełnym ludzi. My, reszta rodziny, w tym samym pokoju, telewizor gra, a ty nagle jakbyś na pustym polu stała w nocy pod bezdennym niebem. Patrzymy na ciebie, a twoje oczy jak puste ekrany. Dlatego tak się dzieje, że kiedyś, dawno, to co ci się przydarzyło, nie zostało tak doświadczone i przyswojone, jak by należało. Można powiedzieć: oczy tego nie uznały za swój widok, świadomość tego nie wchłonęła. Tak jakby kawałek twojego życia stanął w jakimś czasowym gardle i nie dawał się przełknąć. Nieważne, ile lat minęło, to wciąż pozostaje po tej stronie czasu.

Dlatego teraz musimy o tym mówić. Żeby to zatrzasnąć wreszcie w przeszłości. Żebyś nie krzyczała w nocy, tak jak krzyczał Staszek Korona. Ten Staszek z waszej wsi, też ocalony, on niedawno umarł – na starość nie pamiętał już żadnych faktów, ale sam dziecięcy strach pamiętał. I ten strach go nocami budził i kazał uciekać z domu. Dlatego musimy to wyrozmawiać, przerozmawiać na wylot. Żebyś na koniec miała wreszcie spokój. Żebyś tego, broń Boże, ze sobą na tamten świat nie zabrała. I żebym ja też mniej się bała w swoich snach. Mamo, nawet nie wiesz, jakie przez to miałam dzieciństwo... Uszkodzone w pewnym sensie. Urodziłaś mnie dwanaście lat po wojnie i w cieniu tej wojny rosłam. Cień wojny jest taki, że nie znika nawet na równiku w samo południe. A w nocy przybiera kształt koszmarów. Nieraz budziłam się złana zimnym potem, bo mi się śniło, że mnie Niemiec goni.

– Twoi rodzice mówili do ciebie „Reniu”. Ładnie. Terenia-Renia. Ty Renia, ja Ania. Brzmi ciepło i się asonansuje. Nawet jest między nami jakieś podobieństwo. Ale ja nigdy nie byłam taka ładna jak ty w młodości. Moje koleżanki mówiły, że wyglądasz jak francuska aktorka. Nawet trochę przypominałaś tę aktorkę, która grała w *Starej strzelbie* Roberta Enrica główną bohaterkę, mieszkającą w słynnym francuskim Oradour. Oradour-sur-Grane to takie urocze prawie miasteczko – kamienne domy, brukowane uliczki zniszczone podczas wojny. Nawet w niemieckim dowództwie tamtejszego dystryktu ktoś kogoś za spalenie tej miejscowości zganił, karać chciał, bo się przecież Francji takich rzeczy raczej nie robi. W dodatku to była pomyłka geograficzna, bo nie o to Oradour chodziło, ale o inne, niedalekie, Oradour-sur-Vayres. Wyobrażasz sobie? Zamordowali sześćset czterdzieści dwoje ludzi, zamienili w popiół ich gniazda, bo się nie znali na mapie! Widać po paru latach precyzyjnej wojny zaczynał się ujawniać nieporządek, a może i ukryte szaleństwo, które często siedzi w człowieku i uruchamia się, gdy rzeczywistość potwornieje.

W latach siedemdziesiątych to szło w Polsce, a ty właśnie wtedy byłaś u szczytu urody. Tak jak Romy Schneider, którą w tym filmie zgwałcili, a potem spalili miotaczem ognia naziści.

– Nie mów „naziści”, my tak nie mówimy.

– Dobrze, Niemcy. Niemcy ją spalili. Miała duże oczy i idealnie sklezione czoło. Wysokie brwi, jak ty. Mały, zgrabny nos. Ty też masz zgrabny nos, zawsze ci zazdrościłam. I włosy długie do ramion, rozpuszczone. Absolutnie cudowna. Po tym gwałcie stoi pod ścianą jakichś zabudowań w podartej bluzce, z tymi włosami teraz w nieładzie, a ów nazista, Niemiec, strzela do niej płomieniem. Niewiele pamiętam z tego filmu, tylko ten gwałt, a potem

jak ona krzyczy razem z ogniem i zmienia się w płonąca pochodnię, a potem w klęczący węgiel... Uwielbiałam tę aktorkę. Była Austriaczką, nie Francuzką, szkoda. Bardzo nieszczęśliwa w życiu, syn jej zginął jako chłopiec nastoletni w takim okropnym wypadku, przechodził przez ogrodzenie i pręt go przebił. Patrz, jak ty długo żyjesz, mamó. I my, twoje dzieci, też już dość długo żyjemy. Koniec lepszy niż początek, można powiedzieć, co?

Nie patrz tak na nich, nie patrz...

– Ten chłopiec koło twojego domu w Sochach... Pamiętasz go? To był żydowski chłopiec, pewnie z lasu, z jakiejś ziemianki. Albo z obozu w Zwierzyńcu uciekł. To było na rok przed pacyfikacją. Od Koszarki biegł. Skoro wasz dom stał po północnej stronie drogi, a chłopiec przebiegł obok ciebie, to musiała być Koszarka. Pamiętasz to?

– Tak, dobrze pamiętam, ten chłopiec po zboczach przez pole kartofli biegł, mógł mieć dwanaście, trzynaście lat. Biegnąc, co chwila się schylał. Co on tam robił, kiedy się tak schylał? Pomyślałam, że się w coś bawi. Dopiero gdy się zbliżył, dotarło do mnie, że on zrywa z czubków krzaków te małe owocki i napycha sobie nimi usta. Biegnie, schyla się i podnosi garść do ust. I zaraz znowu tak samo.

– Wiesz, że te owocki trujące są, nie wolno ich jeść.

– I nagle pokazały się za nim dwa wielkie psy, a za psami dwóch Niemców. Napisz małą literą, tak się po wojnie pisało, po wojnie się pisało „niemcy” małą literą...

– Ale to nic nie da, mam, napiszę ich małą literą, a program komputerowy i tak na dużą poprawi. A gdzie wtedy stałaś, kiedy on biegł, ten chłopiec z Koszarki?

– Gdzie stałam? Na drodze. Między naszym domem a kowala. Te psy jakby spadły z góry. Wzgórza wokół wsi sprawiały, że horyzont był bardzo blisko, tuż ponad głową, jak na małej planecie. Cokolwiek się zbliżało do wsi, spadało dosłownie z nieba, nagle. Chłopiec przebiegł drogę i zniknął za domem dziadka...

– Ferenc?

– Ferenc, przecież dziadek Ferenc był z Soch, a dziadek Mielnik ze Stolnikowizny. Na podwórku dziadka Ferenc ten chłopiec dobiegł. Razem z jazgotem tych psów wpadł tam. Zniknął za furtką. A potem zaraz ci dwaj Niemcy. Tumult, wrzask, szczekanie.

– A strzały słyszałaś?

– Nie pamiętam nic więcej, miałam osiem lat. Nic mi nie opowiadano, dzieci nie miały nic wiedzieć. To był poranek, słońce świeciło, wyszłam przed dom i wtedy to widziałam.

I jeszcze raz kiedyś widziałam coś niezwykłego koło domu. W biały dzień srebrnoczarny śnieg z jasnego nieba. Biegałaś po podwórku, po ścieżce, i łapałaś w dłonie spadające płatki. Wiatr je przywiewał, płynęły i opadały, płynęły i opadały, a na niektórych widać było dziwne znaczki. Kładły się na dłoni i przyglądałaś się im tak samo jak w zimie śniegowym gwiązdom. Te jednak nie topniały, ale się rozpadały, w popiół, w pył się zmieniały. Dopiero potem twoja mama ci powiedziała, że Niemcy w Zwierzyńcu synagogę podpalili, a płatki, które spadały z nieba, to były drobiny świętych ksiąg żydowskich. Zwierzyniec jest blisko, nawet dziecko tam zajdzie, a dla wiatru to jeden krok, jeden dmuch. Więc księgi w chmurę zamienione bez wysiłku przywiał wiatr i nad lasem, nad Sochami roztrwonił. Jakby ze zwojów Tory, ze stronic Talmudu oddzieliło się w ogniu to, co duchowe tam było, nieważkie, i odfrunęło...

Kiedyś, nie pamiętasz, czy zaraz potem, a może nawet przedtem, byłaś z swoją mamą w Zwierzyńcu i widziałaś tych Żydów, których księgi spłonęły. Siedzieli na placu, smutni bardzo, z tobołkami, z dziećmi, które płakały. Patrzyłaś na nich i potem w twojej głowie obraz spadających płatków spalonych ksiąg nałożył się na ten widok. I odtąd masz ich na ekranie pamięci siedzących na placu, obsypywanych popiołem, który leci z nieba, jak w zadymce znikających, coraz bardziej szarych.

„Nie patrz tak na nich, nie patrz – powtarzała twoja mama, kiedy szłyście koło nich tamtędy – bo im jest bardzo przykro...”

Tak mi przed laty opowiadałaś i ja tak to zapamiętałam.

Cały czas się cieszę, że nie byłaś żydowską dziewczynką, która jakimś cudem przetrwała, choć i twoje ocalenie było szczęśliwym trafem. Bo żydowskie dziewczynki miały piętnaście razy mniejszą szansę na ocalenie, ktoś to policzył. Dlatego na przykład ta w Kowlu, która na ścianie w synagodze wydrapała list do swojej mamy, Dobcia Kagan, musiała zginąć. Także ta, którą wyprowadził z domu na warszawski Umschlagplatz żydowski policjant, kiedy jej mama wyszła do sklepu – pojechała do Treblinki. A tak grzecznie mówiła do niego: „Ja wiem, że pan jest dobry, niech mnie pan nie zabiera, moja mamusia wyszła na chwilę, zaraz wróci i mnie nie będzie, niech mnie pan nie zabiera”.

Natomiast dziewczynka z filmu dokumentalnego Mariana Marzyńskiego *Nigdy nie zapomnij klamać* prawdopodobnie była tą piętnastą, uratowaną; wołała do esesmana, który ją złapał w bramie: „Nie zabijaj mnie, jestem małą dziewczynką, nie zabijaj mnie!”. A on, chociaż miał pistolet, powtarzał: „Cicho! Przestań! Przestań mówić!”. Ona jednak nie przestawała, widocznie taka była z natury, może na co dzień nieznośna i kłótniwa, w domu pewnie też jej się buzia nie zamykała, więc teraz tak bez przerwy: „Nie zabijaj mnie, nie zabijaj”. A ten Niemiec tylko: „Nie krzycz! Przestań! Cicho!”. A ona: „Jeśli mnie zabijesz, to nigdy mnie nie zapomnisz, nie zapomnisz, nie zapomnisz”. Tak oboje stali, esesman i dziewczynka, jakby im się zaciął ów prosty mechanizm zabijania i ginienia. Stali naprzeciwko siebie i krzyczeli, jedno przez drugie, przerażeni tym, co ich spotkało. W końcu on powiedział: „Uciekaj”. I nie strzelił. Nie mógł jej zabić z tego samego powodu, z którego właśnie zabić ją mógł. Ze strachu.

Drugie szczęście Hioba

Ja już to wszystko raz wiedziałam. W polskiej socjalistycznej szkole nie robiono tajemnicy ze zbrodni Hitlera. Dzieci powinny były mieć świadomość, od jakich rzeczy uwolnili nas żołnierze radzieccy i kto jest naszym odwiecznym wrogiem. Dużo czytałam i świadomość mi się rozszerzała do chorych rozmiarów.

Wszyscy mamy wrogów, to oczywiste. Choćbyś była dobra jak sam Gandhi, to nic nie pomoże. „Czy masz już swojego wroga?” – może to powinno być inicjacyjne pytanie w życiu każdego dziecka? Od takiego szarpnięcia budzi się właściwa świadomość. Mało kto wie, że w szkołach Trzeciej Rzeszy dzieci miały w programie nauczania antysemityzm, w ramach przedmiotu o rasach ludzkich. Nic dziwnego, że taki germański gówniarz na widok potwornie wymęczonych i wygłodniałych ludzi (Żydów i nie-Żydów!), idących w kolumnie, w „marszu śmierci”, czyli w drodze z obozu do obozu, taki gówniarz rzucał kamieniami i spluwał. Zresztą ich mamusie robiły to samo... Byli zaprogramowani, byli „w procesie” zainicjowanym przez owo ideologiczne szarpnięcie, ich emocje owijały się wokół wroga, którego otrzymali w ramach państwowego przydziału i który budował ich tożsamość na zasadzie twórczej negacji.

Bóg też ma swojego wroga, którego być może sam stworzył, walczy z nim i negocjuje na przemian. Może to z jego powodu zbudował nasz świat, którego używa jak tarczy obronnej. Wszyscy pytają: *Unde malum?* Skąd zło? A przecież to proste: stąd, że Bóg ma wroga. Najdobitniej to widać, gdy zabija się dziecko. Wagony dzieci. Wtedy już nie ma żadnego wytłumaczenia. Każdy widzi, że to nie może być ludzkie, człowiek sam z siebie nie mógłby tego robić. Sam z siebie może to zrobić tylko ktoś o wiele większy.

Ja już to wszystko raz wiedziałam, najpierw z twoich opowieści... Urodziłaś mnie w pięćdziesiątym siódmym roku (dom w Sochach miał numer pięćdziesiąt siedem...). Nasze mieszkanie w Rybniku było twoim pierwszym domem – po tamtym spalonym. Znów miałaś rodzinę – całkiem nową. Jak w historii Hioba – dostałaś z powrotem to, co straciłaś, tylko w innej postaci i innej konfiguracji: teraz ty byłaś matką, nie dzieckiem. Bardzo dziwne szczęście. Trudno do niego tak od razu przywyknąć. Obce się wydaje i nietrwałe.

Zawsze gdy czytałam Księgę Hioba, miałam wrażenie, że Hiob tylko udawał, że się cieszy z nowego życia, niczego mu przecież w sensie dosłownym nie zwrócono... Nowy dom, nowe dzieci... Ile czasu trzeba, by się z nimi zrosnąć? Czy mogą zastąpić tamtych umarłych? Czy przepaść rozpachy daje się zacerować? To tak, jakby wyrwać komuś ziemię spod nóg, przczołgać go przez piekło, a potem postawić na Księżycu i powiedzieć: baw się dalej, nic się nie zmieniło. Ależ wszystko się zmieniło! Łącznie z tym, że ziemski Hiob umarł, a narodził się księżycowy. Hiob z Księżycy okazywał radość z Księżycy wziętą. Była ona w istocie maską żałoby po sobie samym.

Gdy dostałaś od Boga nowy dom, miałaś dwadzieścia dwa lata, ale tak naprawdę wciąż

dziewięć. Można by to zapisywać z kreską ułamkową czy z ukośnikiem, jakoś tak: 22/9. Dwadzieścia dwa na dziewięć, gdy wychodziłaś za mąż, po trzech miesiącach znajomości z tatą, błyskawicznie. Potem 23/9, dwadzieścia trzy na dziewięć, gdy ja ci się urodziłam, 27 sierpnia (pod takim numerem zamieszkaliśmy w Rybniku...). Gdy miałaś trzydzieści trzy na dziewięć, dostałaś krwotoku i operowali cię w szpitalu w Warszawie (twój tata zginął w wieku trzydziestu trzech lat). Przed operacją uczesałaś się w dwa warkoczki, bo w razie gdyby się coś nie powiodło, chciałaś iść na tamten świat jako dziewczynka. Wciąż ten sam mianownik. Mijające lata sprowadzały się do tego mianownika o wartości dziewięć. To co nad kreską, było zmienne, reagowało na kalendarz, kolejne wydarzenia, bieżące emocje. To co pod kreską, trwało niezmiennie.

Gdy się pojawiłam w twoim życiu, byłam jakimś rozwiązaniem, byłam przeciw z siebie. Mogłaś mnie wciągnąć pod kreskę i opowiadać jak dziewczynka dziewczynce. Byłam również twoim dalszym ciągiem. Który jakimś cudem się kontynuował, na Księżycu.

Ocalałaś. Wszyscy ocaleni muszą dawać świadectwo. Porzuceni pomiędzy światami, w wyrwie pomiędzy starym i nowym życiem, budują most ze słów, księżycową autostradę... I tam mieszkają; nawet jeśli mają jakiś inny, bardziej konkretny adres, numer telefonu, pracę i koligacje rodzinne, to i tak są pomiędzy, bez oparcia. Ty dawałaś świadectwo mnie. A gdy miałaś trzydzieści trzy lata, czyli po prawie ćwierćwieczu od pacyfikacji, szczęśliwie przeżyłaś ową operację, rozplotłaś warkocze i zaczęłaś pisać wiersze o tamtych wydarzeniach.

A ja? Miałam przez to wszystko jakby dwie matki. Pierwszą: dorosłą kobietę, za którą tęskniłam, gdy wychodziła do sklepu, której się bałam, gdy wpadała w gniew, z której byłam dumna, bo nikt nie miał ładniejszej pani za matkę na całym podwórku. I drugą mamę miałam: małą dziewczynkę, której na wojnie zginęli rodzice, wciąż przerażoną i samotną, która kiedyś cierpiała głód i musiała pracować u złej ciotki, takiej, co biła i kazała nosić wiadra z wodą pod górę. Dla niej pójście po wojnie do domu dziecka było, o paradoksie, największym szczęściem. To właśnie ta mama dziewczynka nieraz kładła się na tapczanie w dzień i płakała nie wiadomo dlaczego.

Wyobraź sobie, dziecko patrzy. Dziecko patrzy na matkę, która wciąż płacze. Jest bardzo zajęta, nic nie widzi, nic nie słyszy, bo jest bardzo zajęta płakaniem. Ma twarz ciemną i mokrą i oczy spuchnięte, nie zwraca się do dziecka jak do dziecka, tylko jak do dorosłego: „Powiedz mi, powiedz, co ja mam robić? Co robić?”. Albo przeprasza: „Jestem chora, jestem taka chora, ale to minie...”. Albo odwraca się do ściany, a wtedy dziecko zostaje całkiem samo na świecie.

Ciągle cię coś bolało. Łatwo się męczyłaś, w każdym sklepie było ci duszno, kupowałaś byle co, byle szybko, a ja rozpaczałam, że nie tę sukienkę chciałam, nie te buty, lecz te drugie, te, które na regale stały wyżej... Ale już zapłacone, już wychodzimy, nie wytrzymasz ani minuty dłużej, bo tu nie ma wentylacji. Nie znosiłam tamtych ubrań, tamtych zakupów i tamtych moich dziewczyńskich rozczarowań. Miałam piętnaście lat, gdy się nauczyłam szyc na maszynie, i wtedy skończyła się ta estetyczna udręka...

Aż kiedy zachorowałaś na serce, wreszcie było wiadomo, że jest konkretna przyczyna tych samopoczuć złych, w sercu właśnie. Choć dla lekarzy owa choroba była „o nieznannej etiologii”... My w domu jednak przecież wiedzieliśmy, że etiologia to Sochy pierwszego czerwca. Tam twoje serce stanęło, a potem gdy ruszyło, już nie było zdrowe. Moja mała mama, nieraz

tak o tobie myślałam. Bywałam matką swej matki. Często czułam, że wymagasz szczególnej opieki. Pamiętasz, jak odgrażałam się, że kiedy dorosnę, to znajdę tę złą ciotkę, która kazała ci nosić wiadra z wodą pod górę, znajdę ją i podpalę na niej spódnicę? Bardziej niż ty nienawidziłam Niemców, czułam w sobie gotowość do walki. Podczas zabaw zawsze byłam rycerzem z długim linałem w roli miecza, partyzantem z patykiem karabinem, Indianinem z łukiem zrobionym z wieszaka. Nakręcałam się na dzielność. Obiecywałam, że kiedyś napiszę książkę pod tytułem *Nasza mama sierotka*, żeby wszystkie dzieci się dowiedziały. To były te emocje oczywiste. Jednak pod spodem było coś nieoczywistego, co płynęło w przeciwną stronę i powodowało tarcie, hamowanie, opór. Nie rozumiałam tego, nie wiedziałam, co to konflikt psychiczny, samosprzeczność. Byłam dzieckiem podległym matce, musiałam jej słuchać, a zarazem matkowałam jej i bywałam większa od niej. Czułam stale, jakbym miała pod górkę w tej miłości. „W drugą stronę kołysanka nie śpiewa” – napisałam w wierszu, gdy już byłam licealistką, wprawiającą się w twórczości własnej, gdy wewnętrzne oko zaczynało działać w służbie autoanalizy...

No bo jak dziecko ma utulić w matce dziecko? Jak ma się ustawić w tej scenie, jak układać ramiona, jakie kwestie wypowiedzieć? Wyobraź sobie dziecko patrzące na matkę, która wciąż płacze... Przyklękałam przy łóżku tuż obok twojej mokrej twarzy, która wydawała mi się nagle o wiele większa, i głaskałam cię niezgrabnie po włosach, mówiłam: „No, nie płacz, już nie płacz”, żałując, że nie jesteś lalką, o ileż byłoby łatwiej z lalką! Mama była żywa, ale jakaś obca, jej łzy niepojęte i gęste jak rtęć. I ciężkie. Łzy matki są dla dziecka zbyt ciężkie. Dzieci nie powinny nigdy ich oglądać, jeśli komuś zależy, by miały poczucie bezpieczeństwa. To co się wtedy czuje, jest wbrew zwykłemu biegowi rzeczy, jest nienaturalne, przykre, wstydlive, powodujące egzystencjalne mdłości i zimny strach. W drugą stronę kołysanka nie śpiewa.

Czasami odczuwam ciebie w swoim ciele. Geny są przecież jak depozyt przekazywany z pokolenia na pokolenie. Może więc ciało mam nowe, ale szwy, rodzaj ściegu, podszewka i wewnętrzne kieszenie są „tamte”. Bywam własną matką, tobą, w lustrze, gdy mijam je w biegu, kątem oka łapię twoją postać i spojrzenie. Zamieram na ułamek sekundy, bo twoje istnienie we mnie przenika mnie jak dreszcz. Nic więc dziwnego, że tamta dziewięcioletnia Renia, która wciąż żyje w tobie, jest naszą wspólną sierotą.

Nie chciałaś tam wracać...

Nie chciałaś tam wracać, więc nigdy nie jeździliśmy na groby dziadków, jak normalni ludzie. Nie mogłabyś tak po prostu wsiąść w pociąg i pojechać na Wszystkich Świętych do Soch. Pojechać i wziąć się do porządkowania mogiły, wyskubywania chwastów, mycia krzyża... Nawet sobie nie wyobrażam, że mogłabyś się pochylić ze szmatką, aby kamień obmyć, tabliczkę z imionami odświeżyć, a potem się wyprostować, by w niebo spojrzeć, w małe listopadowe słońko, co świeci blado jak przez pończochę. A potem znów się pracowicie pochylić. Nie wyobrażam sobie tego. Widzę tylko dziewczynkę, którą byłaś wtedy, gdy twoi rodzice zginęli, jedno po drugim, a ty na to patrzyłaś. A potem wzięłaś za rękę młodszego brata i jeszcze młodszą siostrę i powiedziałaś: „Zostaliśmy sierotami”. Tymi słowami jakbyś zakończyła bajkę, którą do tej chwili opowiadało wam życie. Odtąd miała się zacząć inna historia, o kimś innym. Sieroctwo to określony status społeczny, na wsi bardzo dotkliwie odczuwany. Sieroca dola. Smutek, głód, ciężka praca, wielka, niepojęta samotność. Właśnie to ci się dostało. Byłaś w szoku, więc nawet się nie obejrzałaś za matką, która leżała w zbożu. Poprowadziłaś młodsze dzieci drogą, na której leżał ojciec. Musieliście przejść obok niego. Leżał na plecach, w swojej nowej marynarce w jodełkę. Cały maj było chłodno, wiały wiatry, więc się tak ubrał o świcie, żeby mu ciepło było w razie czego. W tej marynarce była dziurka z jednej strony, tamtędy wleciała kula. Spojrzałaś szybko. Miał zamknięte oczy. Poruszył grdyką, jakby przełykał ślinę. Ale musieliście iść. Nie było takiej siły, która by was zatrzymała. Tu już był nieświat i niezycie. Musieliście iść na drugą stronę drogi, tam dzia-
dek, stryjowie, kuzynki, trzeba im było powiedzieć, że mama i tata nie żyją.

Bałaś się wracać do Soch, bałaś się, że gdy staniesz na drodze pomiędzy domami, na osi tamtego świata – to ów świat znów zacznie się kręcić, zapłoną dachy, ludzie będą krzyczeć, karabiny maszynowe wypluwać pociski, a samoloty zrzucać bomby.

Potem się to wszystko zapomniało, bo trzeba było normalnie wykonywać młodość i dorosłość. Nauka, małżeństwo, własne dzieci, praca, obsługiwanie umiarkowanego peerelowskiego ubóstwa. Nie było czasu myśleć, czy już by się dało pojechać, czy nie, wytrzyma się te Sochy, czy nie wytrzyma. Potem się okazało, że zaczyna się groźny okres historyczny – stan wojenny w Polsce. Potem obalenie muru zazdrości pomiędzy radzieckimi a amerykańskimi Niemcami, rozpad ZSRR. Depresję miałaś wtedy na okrągło, bałaś się, że znów będzie wojna, o jeździe do Soch nie było mowy...

A potem lata dziewięćdziesiąte – okazały się wojenną dekadą i dały serwisom informacyjnym krwawą miazgę do pożarcia. W Jugosławii, tam gdzie Włosi, Niemcy, a nawet Polacy lubili jeździć na wakacje, nagle zaczęły się tak krwawe jatki, że nie pasowały do nowoczesnego, humanitarnego profilu Europy. Wzajemne rzezie Hutu i Tutsi w tym samym czasie to bardziej zrozumiałe, Afryka na wpół dzika jest... Ale my? U nas? Nam? Tutaj, pod nosem? Coś takiego? Maczugami zabijać? Brzuchy ciężarnym kobietom rozpruwać? Dzieci do ognia wrzucać? Pływać we krwi w tych czasach, w środku Europy? Gdy demokracja, klimatyzacja, nanotechnika, genetyka, nagrody Grammy, dezodoranty, naukowe granty, lasery, klony, ko-

smiczne promy? Bałkańskie nacje przypomniły swoje racje, wyszarpnęły je sobie spod spodu, spod cywilizacyjnej cienkiej pozłoty, z historycznej podświadomości, hodowanej jak w lochu kudłaty, sfilcowany, starą krwią śmierdzący niedźwiedź. Wtedy też depresja wróciła i na okrągło leżałaś w łóżku. Ludzkość cię przerażała.

A na koniec wieku, niemal dokładnie ze wskazówkami zegara, zamknięcie epoki masowych masakr w naszej nowej Mekce, czyli nowojorskie spektakularne widowisko z wieżami WTC. Przy okazji symboliczna pionizacja śmierci na antypodach, w warunkach ponowoczesnych. Wtedy wszyscy mieliśmy depresję, w końcu jesteśmy Euro-Ameryką, nie? Ale przecież to żaden koniec, nowy wiek dwudziesty pierwszy płodzi kolejne wojny, które rosną, rosną...

Kiedy, powiedz, kiedy był dobry czas, aby wracać do Soch?

Czytam o tych Hutu i Tutsi w 1994 roku. I czytam o rzeziach ukraińskich na Wołyniu w 1943 roku. To musi być bardzo silny wzorzec u ludzkości, takie wyrzynanie sąsiadów. Czytam o tych Niemcach, którzy mordowali Żydów w obozach zagłady. Ileż nowych książek teraz wyszło o ludobójstwie! Jakby wojna, oddalając się w czasie, wracała do nas po spirali...

Relacje kobiet, relacje dzieci. Oczy mi się rozszerzają. Czuję, że ogarnia mnie panika. Nie mogę usiedzieć, może kawę sobie zrobić. Idę do kuchni, podnoszę pokrywkę z garnka i jem coś, nie wiem co. Szybko i dużo, jakbym była głodna. A przecież nie jestem! Napycham sobie instynkt przetrwania? Może jednak lepiej kawa? Kawa po siedemnastej oznacza w moim przypadku bezsenność do czwartej rano... Dowiadujesz się takich rzeczy i mogłabyś spać? – pytam sama siebie. Chciałabym spać. Snem bez snów, na wszelki wypadek. Muszę wyjść z domu, coś mnie wygania na słońce. Ludzi zobaczyć, normalnych ludzi, jak sobie chodzą tu i tam, bez broni. Koc sobie kupię na przykład, pojedę do centrum handlowego i kupię sobie taki lekki, puszysty koc, bo mi marzną nogi podczas czytania na kanapie. Bardzo jest mi potrzebny koc. A może zajdę też i po sweter? Dziwnie mi zimno, gdy czytam to wszystko... Oni, Żydzi, ludzie, dziewczyny, dzieci, wtedy, ci, których Niemcy złapali i wywieźli do Treblinki, swoje swetry, sukienki, pończochy, chustki, majtki, staniki, wszystkie rzeczy, składali w takie zgrabne węzełki, buty wiązali sznurówkami w pary, żeby się nie pomieszały, a potem wchodzili do tunelu, który Niemcy nazywali drogą do nieba. I biegli do celu.

– Ale dlaczego ty piszesz „Niemcy” dużą literą? Pisz tak, jak się po wojnie pisało, małą.

– Już ci mówiłam, że to nic nie da, ale dobrze, mamo.

W Niepolsce

Był taki denerwujący film pod tytułem *Polana wśród brzeziny*, francusko-polsko-niemiecki film, ze starą Anouk Aimée w roli głównej. Jako francusko-amerykańska Żydówka, po latach wraca ona do Auschwitz, by się przejść po swoich dawnych śladach. Gdy trafiła do obozu, miała piętnaście lat. Czyli minęło pięćdziesiąt pięć. Minęło, ale nie minęło. To nie był artystycznie dobry film, był także niemiły dla Polaków (producent był polski, ale reżyserką Francuzka żydowskiego pochodzenia). Ani jeden Polak nie jest tam sympatycznie przedstawiony. „Nigdy nie wrócę do Polski”, mówi w tym filmie inna z byłych więźniarek, francuska Żydówka, wydana Niemcom przez legalny rząd swojej francuskiej ojczyzny. „Nigdy nie wrócę do Polski”, powtarza twardo. Zupełnie jakby ona kiedykolwiek była w Polsce! Auschwitz to nie jest Polska. To kawałek niemieckiej skóry, przetransplantowany, przyszyty do polskiego ciała, do polskiego miasta. Dalej w tym filmie Anouk Aimée mówi do Zbigniewa Zamachowskiego, który gra krakowskiego Żyda strzegącego pamięci Holocaustu, że to dziwne, iż po tym, co się stało, zakłada się tu pseudożydowskie restauracje. Rozmowa się toczy około roku 2000, gdy Europa i Ameryka pełne są restauracji pseudożydowskich, pseudoarabskich, pseudomeksykańskich, pseudowłoskich, pseudotureckich, pseudochińskich. Także w Niemczech mnóstwo jest różnych knajp różnych narodów, o co więc chodzi?! Przecież to – TO straszne – nie TU się stało... Nie w Polsce. To złudzenie geograficzne. Wielka Zagłada miała miejsce w Niemczech, krew wsiąkła w niemiecką ziemię, dym z krematoriów szedł w niemieckie niebo. Wszędzie były Niemcy wtedy. Nie podrzucajcie nam ofiar pod drzwi... Uff. Strasznie się denerwuję, bo czuć mi politykę w kinematografii. Która przecież jest teraz nauczycielką historii! Eksterioryzacja zbrodni – taka była właśnie niemiecka polityka, jak widać, bardzo skuteczna do dziś. Tak samo jak walka o etos żołnierski Wehrmachtu, która trwa do dziś, skoro wciąż żyją najmłodszy rekruci z lat czterdziestych. Ci się bronią, póki życia!

Kurt Tucholsky, pacyfista, już w 1931 roku powiedział dobitnie: żołnierze są mordercami. Ktoś go niebacznie zacytował w niemieckiej telewizji w 1989 roku przy okazji dyskusji o Bundeswehrze i się zaczęło. Ogólnoniemieckie sumienie postawione w stan gotowości! Przecież to niemożliwe, żeby dziewiętnaście milionów żołnierzy było zbrodniarzami! Chodziło o Wehrmacht właśnie, poprzednika Bundeswehry. Rzec się oparła o Trybunał Konstytucyjny...

Oczywiście, że niemożliwe. Tak samo jak niemożliwe się wydaje zabicie takich milionów ludzi w tak krótkim czasie... Jednak rzeczy niemożliwe się wydarzają. Jeśli uznamy, że tylu Żydów i Słowian unicestwiono, to musimy im przydzielić jakąś adekwatną liczbę zabójców, nieprawdaż? Moim zdaniem najlepiej by było, żeby Niemcy zabrali do siebie te wszystkie swoje obozy, które zostały po nich w Polsce. Żeby się już więcej nikomu nie myliło. Żeby Amerykanie nie mówili „polskie obozy śmierci”, bo ja wtedy czuję wściekłość tak silną, że sama mogłabym te baraki przenosić. A co to za problem w dzisiejszych czasach, skoro się klasztory i pałace przenosi na inne kontynenty, czyli jest to technicznie możliwe. Się rozkłada na części, się foliuje, numeruje i ładuje w kontenery. To czemu by nie poprzemienić Au-

schwitzu, Majdanka, Stutthofu, jaka to robota? Prawie same baraki! I komory gazowe. No i jeszcze piece krematoryjne. A te góry butów, góry okularów, co zostały, to się da posegregować bez problemu, to się da łatwo załadować do towarowych pociągów. A gabloty z ekspozycją, na przykład strojów więziennych i wierszy obozowych, to w ogóle drobiazg...

I jeszcze żeby jakimś cudem te miliony duchów pomordowanych ludzi, których z wszystkich krajów Europy Niemcy nam tu zwieźli, też się zabrały na Zachód. Lżej by się tutaj od-dychało...

Kiedy w zeszłym roku przyjechałam na Majdanek, było wcześniej rano i sama chodziłam po tym olbrzymim terenie. Pogoda była słoneczna, ale zimna. Wchodziłam do kolejnych baraków, w których podobno nawet po pięciuset więźniów się mieściło w czasach prosperity, i nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że tam cały czas ktoś jest. Słyszałam kroki za sobą i ogłądałam się, zaniepokojona, ale oczywiście nikogo nie widziałam. Pochylałam się, by dokładniej przyjrzeć się lalkom, które odebrano dzieciom podczas „powitania”, i zamierałam, bo miałam wrażenie, że ktoś patrzy na mnie. Rozglądałam się wokół, ale nikogo nie było, tylko fotografie na ścianach. Fotografie dzieci i nastolatków, które tam poginęły. A na przeciwnej ścianie personel, kolejni obozowi komendanci, lekarze i „opiekunki”. Sfotografowałam te zdjęcia. Nie wszystkie, wybrałam tylko portrety tych, którzy na pewno tam byli w czerwcu i lipcu 1943. Bo gdyby pacyfikacja Soch przebiegała według stałego modelu, to po pobycie w obozie przejściowym w Zwierzyńcu najprawdopodobniej trafiłabyś właśnie tutaj, tak jak ludzie z innych zamojskich wsi. I spotkałabyś tych właśnie Niemców. I oni byłiby postaciami z twojego życia, musiałabyś na nich patrzeć dzień po dniu.

Hermann Florstedt, komendant od stycznia do października 1943 roku, przystojny pan, bardzo nordycki, na zdjęciu patrzy nieco w górę, z leciutkim grymasem ust, wyrażającym... ironię? Bije od niego inteligencja.

Heinrich Rindfleisch, lekarz SS od marca 1943; *Rindfleisch* to znaczy po niemiecku „wołowina”. Okulary, cofnięty podbródek. Niepewny siebie. Może nie był okrutny? A jeśli był, to ze strachu.

Drugi lekarz, Max Blancke, zaczął pracę na miesiąc przed możliwym twoim przybyciem. Brunet o mięsistych ustach, polubiłabyś go w pierwszej chwili, uderzająco podobny do Tomaszka za młodu. Czoło, uszy, oczy, podbródek, wszystko. Jakiego Tomaszka? No, Tomaszka N., mojego chłopaka ze studiów, pamiętasz, nie chciałaś mi wybaczyć, że za niego nie wyszłam. Jednak gdybyś spotkała doktora Maxa B., czyli miałabyś w biografii Majdanek, nie mogłabyś po latach poznać Tomaszka, bobyś zapewne nie przeżyła, ja bym ci się nie urodziła i nie przyprowadziła go do naszego domu.

Erich Muhsfeldt, szef krematorium od listopada czterdziestego pierwszego, czyli od początku chyba. Bardzo „zadomowiony” w obozie. Zrobił sobie w budynku krematorium (betonowym) pokój prywatny i łazienkę z wanną. Sfotografowałam tę wannę, jest kamienna, jak te prosektoryjne. Twarz Ericha na zdjęciu wygląda jak twarz trupa, który niespodziewanie otworzył oczy.

Bardzo czysto w tym krematorium i cisza kompletna. Otwarte piece, a z nich wystają po-długne łopaty do wsuwania ciał w ogień. Na takiej łopacie wjechała do pieca żywa dziewczyna. Zapamiętał to nastoletni chłopak, który odwoził bryczką na teren obozu pijanego es-

esmana. Mieszkał ten chłopak obok lagru, a ten esesman się upił u jednego folksdojczka i trzeba go było dostarczyć. Dziewczyna była żydowska, ze świeżego żydowskiego transportu, który akurat zajechał. Niemcy chcieli ją zgwałcić. Uciekała. Ów pijany esesowiec pomagał ją złapać. Potem związał ją i wrzucił do ognia. „Do dziś dnia mam w uszach jej krzyk – wyznaje chłopak (już po wojnie, w ankiecie pod hasłem «Przeżycia, których nie można zapomnieć» – to mnie najwięcej przeraziło”.

Robię teraz za ciebie różne rzeczy, mamó, żebyś ty nie musiała. Zbieram informacje o pacyfikacjach, fotografuję po kolei wszystkie nagrobki na soszańskim cmentarzu, w końcu sama tam pojechałam. Przecież połowa tych zmarłych to moi krewni, a druga połowa powinowaci... Rozmawiam ze Staszka, twoją stryjecznią siostrą, wtedy także dziewięcioletnią dziewczynką, i z Bronką Szawarą rozmawiam, wtedy piętnastoletnią. Ona też pisze wiersze o Sochach. Czy wiesz, że ma już osiemdziesiąt osiem lat? No i jeżdżę do obozów, by robić zdjęcia dziecięcych ubranek i krematoryjnych retort. Ty sobie fotografujesz kwiaty, parkowe ławeczki i wieżyczki na dachach willi w Sopocie, a ja się pochylam z aparatem nad lalką ze zmiażdżoną twarzą, bez ręki, lalką w obozowej gablocie. I popielniki fotografuję, i obozowe pola, trawą porośłe. I tak jest sprawiedliwie. Robię to z twojego powodu, bo ty nie jesteś w stanie. I dla moich dzieci, żeby wiedziały. Ale nieraz już nie jestem pewna, czy ma to sens.

Też miałaś taką lalkę z twarzą z masy plastycznej. Nawet kilka. Tata przywoził z miasteczka gotowe twarzyczki, a mama dorabiała resztę. Wypychała brzuszki, włosy z przędzy zaplatała w warkoczyki. Śliczne sterczące warkoczyki. Wszyscy te lalki podziwiali. Mnie też szyłaś w dzieciństwie zabawki. Pamiętam jamnika z ciemnoszarej tkaniny, z uszami lamowanymi żółtą włóczką. Czyli miałaś po swej matce ten talent...

Sterczące warkoczyki miała także tamta lalka w rękach trzyletniej dziewczynki o blond lokach związanych niebieską kokardą. Dziewczynka ścisnęła lalkę, matka ścisnęła dziewczynkę, esesman wyrwał dziewczynkę matce, matka nie puszczała. Esesman nazywał się Traub. Obóz nazywał się Auschwitz. Zastrzelił je. Z bardzo bliska.

Lalka z pewnością została zabrana do magazynu. Może podobna była do tych, które fotografowałam na Majdanku? Rzeczom łatwiej się było uratować niż ludziom.

W magazynach Auschwitz na przykład było mnóstwo rzeczy. Między innymi 115 063 ubranka dziecięce. Liczby się liczą... Wszystkie ubranka wpisywano do ksiąg ewidencyjnych, zanim pociągami odjechały do Niemiec, bo kraj ten był w potrzebie. Wózki niemowlęce też odjechały. Puste. Od krematorium do dworca kolejowego jechały prowadzone po pięć w szeregu. Pochód trwał godzinę. To była godzina w dniu 9 lipca 1944 roku.

Hasiór mógł o tym wiedzieć, kiedy tworzył swoją sławną instalację – dziecięcy wózek wypełniony ziemią z zatkniętymi w nią płonącymi świeczkami. I właśnie dzieciom Zamojszczyzny zadedykował swoje dzieło! Widziałam ten wózek około roku 1994, kiedy przypadkiem byłam na urodzinach Hasióra w jego domu w Zakopanem. Stał ten wózek – pusty, bez ziemi i świeczek – gdzieś na uboczu, w kącie za drzwiami. Jakby nieczynny, już „wypotrzebowany”, wyeksploatowany medialnie, opisany do imentu w pracach studentów... Skorupa tylko.

Nigdy do Auschwitz ani na Majdanek nie pojechałaś...

Majdanek, sala piecowa. Firma Topf, produkująca piece, miała już gotowy projekt gigan-

tycznego silosa do kremacji, który planowano zastosować w kolejnych latach. Zwłoki miałyby być spuszczone po pochylni wprost do centralnego pieca na dnie konstrukcji. Nie wiem, dla kogo to wymyślili pod sam koniec wojny, gdy już przecież większość Żydów była spalona. Nawet tych zakopanych wcześniej w ziemi powyciągali i spalili. W swoich fabrykach chmur... No tak, były jeszcze przecież plany na pozostałe miliony Słowian... Inżynierowie pracowali dalej; tak się skupili na swoim wynalazku, że świat dla nich przestał istnieć. To normalny stan twórczego umysłu, tylko dzięki temu istnieje postęp. No i wymyślili coś naprawdę praktycznego. Gdyby wojna trwała nadal, spuściliby do takich silosów, jak do brzucha Molocha, resztę ludzkości, bo byłoby to fizycznie możliwe.

Jestem na Majdanku samiotka, jest wtorek rano. Mam w uszach ciszę, masową ciszę. Ona napiera na mnie ze wszystkich stron, aż nie mogę oddychać. Zaraz za krematorium były doły, pewnego dnia w listopadzie czterdziestego trzeciego roku zastrzelono w tych dołach 18 400 osób, Żydów. Słownie: osiemnaście tysięcy czterysta, w jeden dzień, trzeciego listopada. Esesmani stali na krawędzi z bronią. Zabijali warstwami. Okazuje się, że tak jest szybciej, więcej niż czterystu na godzinę. Matki z dziećmi musiały wchodzić na drgające jeszcze ciała z poprzedniego odstrzału, brały te dzieci na ręce i unosiły je wysoko, żeby się one nie potopiły we krwi, której doły były pełne.

Trzymały w górze swoje dzieci, pomiędzy dwiema śmierciami.

Ja myślę, że te doły po prostu podeszły wodą gruntową, tak jak w Łomazach, gdzie zabijani Żydzi pływali w czerwonej wodzie, która się wyjawiała po wykopaniu – no bo jak inaczej? Przecież w człowieku nie ma tyle krwi, żeby wypełnić dół jak basen.

Kiedy szłam przez kolejne pomieszczenia budynku krematorium, kompletnie sama, w promieniu pół kilometra na pewno nie było żywej duszy, właściwie biegłam, nie szłam, serce miałam w gardle. Tak bardzo się spieszyłam, że gdyby nie rozum, tobym stamtąd uciekła, wołając ratunku. Tamta stara groza w tych ścianach siedziała. Jakaś wysoka pustka patrzyła za mną. Okrążyłam piec, zaszłam je od tyłu, tam gdzie popielniki. Popiołem ludzkim wzbogacano kompost do użyźniania ogrodów w okolicy.

Chodzę i chodzę, ale myślę tylko o tym, żeby wyjść stamtąd. Zaraz, natychmiast, na powietrze. Jednak przecież postanowiłam zwiedzić cały obóz, po to tu przyjechałam, więc tłumaczę sobie, że przecież tutaj tylko trupy ginęły. Ale coś mi we mnie nie ufa i podpowiada: A tamta dziewczyna? A to dziecko dwuletnie, które się zgubiło? Które się pętało, głodne, po placu obozowym, obsmarkane, płakało za matką, a akurat ktoś wiózł wózkami trupy do spalania. Złapał dzieciaka i dorzucił...

Ludzie nieraz nie mogą wytrzymać, jak dzieci płaczą.

Spalenie żywcem. Lepiej nie myśleć. W stodołach, w domach, w kościołach – podczas okupacji na terenie Polski działały się dziesiątki, setki takich historii. W zamojskich wsiach starsze kobiety młodszym radziły na ziemię paść od razu, bo lepiej od bicia kolbą zginąć niż w ogniu... Niemcy zaganiali mieszkańców do pomieszczenia na tyle solidnego, żeby się nie rozpadło pod naporem tłumu, i podpalali, a potem pilnowali, żeby nikt się nie wydostał. Musieli niesamowicie wyglądać, gdy tak patrzyli w ogień, a on odbijał się w ich źrenicach. Prawdopodobnie nie słyszeli strasznych krzyków i walenia w drzwi uwięzionych ludzi, boby chyba puciekali.

Tak mówili potem, że słyszeli, ale nie słyszeli. Dopiero dłuższy czas musiał minąć, żeby do ich uszu dotarło to straszne wycie. Wieczorem szczególnie, w samotności, gdy nie było przy nich nikogo, kto by coś mówił albo robił, zajmował ich czymś. Z tej pustki, która była umiejscowiona za plecami w górze, zaczynało wiać zimne powietrze, najpierw zimne, aż nagle zmieniało się w gorące. I wtedy zaczynało wyć. Zatykanie uszu nic nie dawało, bo to wycie było zapisane w środku głowy. Dziś powiedzielibyśmy dla ułatwienia, że na twardym dysku mózgu, który jest jak komputer...

A tak na marginesie, gdyby Niemcy mieli w latach trzydziestych takie komputery, jakie dziś są dostępne dla każdego, kto ma wolny tysiąc złotych, to nie taką byśmy wojnę widzieli.

Wyskoczyłam z tego krematorium, gdy tylko mój wewnętrzny przewodnik spuścił mnie z oka, i pomyślałam dla uspokojenia nerwów, że przecież tamto krematorium zostało, zdaje się, zniszczone przed nadejściem frontu wschodniego, a to jest rekonstrukcja, tak jak część baraków.

Ale nie łaźnia.

Ale nie komora gazowa.

Te się ostały, są, jak były, na pewno. Dotykałam desek budynku, choć smołowanych, to i srebrzystych od starości. Po wyjściu stałam na zapleczu baraku, w którym mieściły się niskie, wybetonowane pomieszczenia komór gazowych i łaźni. I pomyślałam, że są na nich ślady rąk ludzi, którzy tu byli wtedy. Dotykam tego samego, w tym samym miejscu, patrzę na to samo. Reszta to kwestia czasu.

I wtedy dostrzegam zbliżającą się postać na rowerze. Widzę czarny mundur i czapkę. Zamieram. Stoję pod ścianą, sama, na zapleczu komory gazowej, a uliczką obozową nadjeżdża strażnik więzienny. Skąd tu taki? Czy zrobiłam coś nie tak? Co to za teatr absurdu?

On się zatrzymuje, rosły, barczysty, o jasnej twarzy, kompletny nordyk. Czeka w napięciu. Gdy odzywa się do mnie, to w pierwszej sekundzie dziwi mnie, że po polsku, a zaraz potem sobie uświadamiam, że już go dziś spotkałam, szukając baraku wysiedlonych; skierował mnie tam.

– I co – pyta on – dużo tego oglądania, co?

– Dużo i trudne – odpowiadam. I zaraz dodaję: – Czy pan wie, że w tym mundurze wygląda pan z daleka jak esesman albo żandarm? Nie mogliby wam uszyć czegoś w innym kolorze, żeby się nie myliło?

On się uśmiecha:

– Koledzy mówią, że raczej jak strażak.

Zawraca rower i jeszcze ręką pokazuje widoczne za ogrodzeniem nowe osiedle.

– A ci tam – mówi, sadowiąc się na siodełku – to na dołach spaleniśkowych się pobudowali, na cmentarzu mieszkają.

I odjeżdża, a ja czuję ulgę, że odjeżdża.

Hans Perschon, kierownik komór gazowych od lipca 1942 do września 1943 roku. Uszy tak odstające, że wyglądają jak naderwane. Diabły mają takie uszy, tylko wyżej umieszczone. Twarz przestępcy prostaka. Wyobrażam sobie, jak przez małe, zakratowane okienko

z „pokoiku” esesmanów ocenia stan zagazowywanych właśnie kobiet z dziećmi. Bo jest na Majdanku przy komorze gazowej takie pomieszczenie, około siedmiu, ośmiu metrów kwadratowych, z którego był podgląd do komory gazowej, na wysokości głowy. Esesman patrzył, czy ofiary jeszcze się ruszają, czy już są „spiochy”. Obsługa śmierci często lubi sobie pożartować... Stoją tam dzisiaj dwie butle z gazem, na pamiątkę, podobne do takich z acetylenem, jakie ciągną za sobą spawacze. Ale w tamtych był tlenek węgla, czad. Od czadu dobra śmierć. Podpływała rurkami, poprowadzonymi wzdłuż ścian przy podłodze. W rurkach były otwory. Zasypiało się i budziło na tamtym świetle bez gwałtu. Gdzieniedzie piszą, że to nieprawda, że czad w takim stężeniu powoduje okropne cierpienie. Jednak jeśli trzeba wybierać w śmiertelnym sklepie, tobym sobie chyba wybrała taką właśnie śmierć, spośród tych dwóch. Bo do drugiej komory wrzucano cyklon B, kwas pruski, taki granulat, po którym pozostały niebieskie ślady na ścianach i suficie. Ogromne niebieskie plamy na szarym betonie. Najpierw wielkimi nawiewnicami podnoszono temperaturę w komorze, bardzo. Bo kwas pruski wchodzi w reakcję dopiero przy siedemdziesięciu pięciu stopniach Celsjusza. Tego nie wiedziałam. Całe życie tego nie wiedziałam. Nie wiedziałam, że najpierw uwięzieni ludzie prawie się ugotowali w takim powietrzu, a dopiero potem przez okienko w suficie wsypywano cyklon.

I zaczynało się drugie piekło.

Lepiej nie mówić.

Jakże często używa się form bezosobowych czasowników: uduszono, zamordowano, zabito. Jakby to wszystko nie konkretni ludzie robili, ale jakieś ogólne zło. Powiedzmy sobie – ten Perschon to robił, ten Hans. Jego twarz widzieli w okienku umierający. I pewien sześciolatek żydowski pomyślał na jego widok, że tak wygląda gojski szatan. Perschon i Himmler to robili, tyle że Himmler na odległość, z dystansu. Himmler, który jeszcze we wrześniu trzydziestego dziewiątego, obryzgany mózgiem podczas egzekucji odbywającej się pod jego patronatem, wpadł w histerię, bo to nie był odważny żołnierz. Nieprędko oprzytomniał. Rankiem, po nocy spędzonej na rozmyślaniu o swej słabości, wstał i zarządził dystans. Większy dystans pomiędzy egzekutorem a ofiarą. Udoskonalenie procedury było konieczne, by nie wypaczać charakterów tych dzielnych młodych mężczyzn, którzy przecież po zwycięskiej wojnie wrócą do cywila i będą musieli normalnie żyć.

Rozbryzgane mózgi to dynamiczny obraz powtarzający się w tej wojnie szczególnie często. Na Majdanku wartownicy, którzy trafiali w głowę więźnia z daleka tak celnie, że mózg rozbryzgiwał się na wszystkie strony, dostawali dodatkowe dni urlopu, żeby dłużej pobyli sobie z rodziną. Podczas egzekucji, gdy się zdarzyło takiemu strzelcowi ustawić niebezpiecznie blisko, bywało, że mózg ofiary brudził mu mundur.

Już nie pamiętam, kto to wspomina, tyle tego przeczytałam... Ktoś wspomina, że widział, jak mały chłopiec się zgubił w tłumie Żydów idących rzędami na śmierć. Podszedł do żołnierza i prosząc o zaprowadzenie nad rów, wziął go za rękę. Żołnierz odprowadził dziecko na miejsce i zastrzelił. Potem koledzy zauważyli, że rękaw munduru ma cały ubłocony mózgiem, i rechotali, że taki gapa, strzelać nie umie, że ma swojego Żydka na rękawie...

W Sochach trzyletni brat Stasia Popowicza dostał właśnie w głowę. Staś, pamiętasz, krowy zapędzić miał do sadku po drugiej stronie drogi i bał się strasznie, bo Niemców zobaczył,

jak schodzą z góry. Ale się potem okazało, że się znalazł po właściwej stronie, bo przeżył. Stamtąd widział, jak podchodzą Niemcy, rękawy mają podwinięte do łokci... i podpalają jego dom (czterdziesty siódmy), rozstrzelują mamę, tatę, dziadka, siostry i malutkiego brata, którego kula trafiła w głowę, tak że cała się rozpadła, a mózg rozbryznął się na kilka metrów.

– Ale, mamó, nie będziesz tu teraz płakała???

– Jak to jest, kiedy się dostaje kulę w głowę?...

– Tak to jest, jakby szklanka pękła, podobno. Mówił to ktoś, kto dostał w głowę i żył jeszcze trochę. Zapytany, odpowiedział. Że to tak, jakby szklanka pękła.

Lubią też żołnierze kopać w głowę. Głowa dziecka pęka za pierwszym kopnięciem wojskowym butem, jak mały melon. To porównanie mam z relacji wspomnieniowych Afrykanów Hutu, chyba z książki Wojciecha Tochmana. Jeden z nich, osadzony w więzieniu, tak to ujął: „jak melon”.

Wszyscy próbujemy te doświadczenia opisać słowami. Co chwila wtrącając, że to nie do opisanania. Nie do opisanania z żadnej strony: z punktu widzenia ofiary, świadka ani zabójcy. Irracjonalne, ale prawdziwe, rzecz można.

Dobrze, że ich nie pomieszczyli, katów z ofiarami, w tym muzeum na Majdanku, że ich zdjęcia wiszą na przeciwległych ścianach... A może jednak niedobrze. Bo muszą na siebie patrzeć. Tak całą wieczność patrzeć jedni na drugich. Szczególnie główna nadzorkczyni, Elsa Ehrich, patrzy z takim zimnym uśmiechem. Tak zimnym, jak ogień jest gorący. Zdaje się, że cała jej postać jest na jakimś zdjęciu w książce, którą gdzieś mam, razem z grupą dziewczynek więźniarek.

Obok niej Louise Danz, piękne czarne oczy, ale usta zacięte. Musiała się podobać chłopcom w szkole, gdy była panienką. Uroda i inteligencja razem – to już pół wygranej na loterii życia.

Hermine Braunsteiner, zdaje się najstarsza wiekiem nadzorkczyni, wyglądałaby sympatycznie, jak jakaś ciocia Gienia, którą się w każdej rodzinie znajdzie, gdyby nie górna warga. Wszystkie one, te kobiety z nadzoru, mają ciekawą górną wargę. Ciekawe, co by powiedziano na taką cechę antropologiczną w instytucie naukowym Himmlera, Ahnenerbe? Czy może mieć to związek ze skłonnością do okrucieństwa?

I jeszcze dwie nadzorkczynie z tego czasu, kiedy mogłabyś tam być, na Majdanku. Nie wolno mi pominąć żadnej, bo nie wiadomo, która mogłaby się znaleźć blisko ciebie, gdyby nie drobna zmiana w planach, jakieś rozluźnienie w działaniach pacyfikacyjno-wysiedleńczych Niemców. Jeszcze więc Hildegard Lächert, o drobnej, ponurej twarzy, też w sumie niebrzydka.

Mój aparat, robiąc zdjęcia, wydaje dźwięk, jakby połykał te obrazki. Tak mi się to od razu kojarzy. Widocznie napięcie, które czuję, ożywia, antropomorfizuje wszystko wkoło. Tej Hildegardy bym ci nie życzyła. Jeżeli już, to najpoczciwiej wygląda Elizabeth Knoblich, jest przeciętna do szpiku kości. I tylko ona jedna ma pełne wargi...

Eliza, Luiza, Herminia, Hilda, Elżbieta – spolszczę te imiona, żeby brzmiały mniej demonicznie. Posłuchaj tych imion i ciesz się, że tych kobiet nie spotkałaś, choć czekały na ciebie

w tamtym miejscu. Dziewczynki z obozu nazywały je katkami. Katka jako żeńska forma słowa kat.

Jednak wysiedlenia Soch nie było, była tylko eksterminacja, prawie wszyscy mieszkańcy zostali rozstrzelani, co ich uchroniło od ciężkiego życia za drutami.

Z wyjątkiem Stefki. Stefka Skórówna z Soch, dom osiemdziesiąty trzeci, miała czternaście lat i braciszka dwuletniego, gdy trafili razem na Majdanek. Ale to już wiesz... Tak jakbym jej śladami tam poszła, jej ścieżkami chodziła, jej widoki oglądała. Wpatrywałam się w okrągłe odpływy wody na dnie ocalałych kamionkowych koryt, które zostały po umywalni, jakbym się łączyła z jakimś jej spojrzeniem, które tam zostało. A może to pralnia była i Stefka nigdy tam się nie znalazła? Nie wiem. Te koryta, w takim okropnym brązowym kolorze, przypominającym mięsne popłuczyny, one tak po prostu tam leżą pod gołym niebem teraz...

Prezydent

Na Zamojszczyźnie były paramilitarne wioski „czarnych”, czyli nasiedleńców niemieckich – ukradzione Polakom dostatniejsze wsie, w których gospodarzyli wyposażeni w broń i umundurowani na czarno Niemcy z Besarabii ze swoimi rodzinami. W takiej wiosce urodził się 22 lutego 1943 późniejszy prezydent zjednoczonych Niemiec, Horst Köhler. To był Skierbieszów, opróżniony z rdzennych mieszkańców późną jesienią czterdziestego drugiego, nocą. Dano im dwadzieścia minut na ubranie się i spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy. Potem furmankami zawieziono ich do obozu w Zamościu. Lasami ich wieziono, bo drogą już jechali ci niemieccy osadnicy, w tym rodzice Horsta, Köhlerowie. Dzień się jeszcze nie przechylił, jak do otwartych domów weszli nowi właściciele. Weszli w czyjeś kąty, napalili w czyichś piecach, nakarmili czyjeś zwierzęta i spać się pokładli w tych samych łóżkach, z których w nocy wyrwano tamtych. Horst w brzuchu swej matki (była mniej więcej w szóstym miesiącu ciąży) zapewne także zasnął. W izbie, z której jeszcze nie uleciał śmiertelny strach. W domu dużym i bardzo ładnym, z gankiem, w środku wsi.

Ten dom należał do rodziny Węclawików, których stamtąd wygnano. Ostatecznie Węclawikowie trafili do baraków w Auschwitz. Żona Czesława Węclawika też była w ciąży, tak jak matka Horsta, urodziła w obozie. Jej dziecko zostało zaszpilowane, to znaczy otrzymało zastrzyk fenolu w serce. Ona też zaraz umarła po takim samym zastrzyku (barak numer 25, otoczony wysokim murem, okna zakratowane bez szyb, gołe prycze bez słomy). Miała dwadzieścia jeden lat, jasne oczy, prosty nos, pełne usta i na imię Zosia. Ładna była. To był początek zimnego maja 1943, gdy z dzieckiem na ręku weszła do bloku śmierci. Zabijał podoficer SS Hans Nierzwicki.

Ktoś powiedział, że jej dziecko niemiecki lekarz wrzucił do rozpalonego pieca na jej oczach, ale Czesław, mąż Zosi, tego nie potwierdza, nikt nie chce, żeby tak było. Niech więc to będzie inne dziecko innej kobiety.

Tych Węclawików ze Skierbieszowa było w Auschwitz więcej, nie wiem więc, czy akurat Zosia była gospodynią w tym domu, który objęli Köhlerowie; nawet jeśli nie, to mieszkała w sąsiedztwie. W obozie zginęła setka dzieci ze Skierbieszowa. Żeby coś poczuć, a nie tylko przyjąć tę liczbę do wiadomości, trzeba by usłyszeć ich imiona i jak wołają: „mamo” tuż przed zaszpilowaniem. Było to słycać w sąsiednich barakach.

Generalplan Ost... Himmler kierował jego realizacją z Berlina, Odilo Globocnik z Lublina (jego nazwisko wszyscy tam pamiętają). Oryginał tego planu zaginął lub został zniszczony. Pozostały szkice i wzmianki w innych dokumentach. Już 7 października 1939 Hitler polecił Himmlerowi w specjalnym dekrete umacniać niemieckość poprzez masowe wysiedlenia Polaków i Żydów. Najpierw w Poznańskim, potem na Pomorzu. Część tych wygnańców trafiła na Zamojszczyznę i doczekała kolejnych wysiedleń albo i śmierci podczas pacyfikacji. Czyli śmierć tylko trochę na nich poczekała i inne miejsce wybrała.

Ktoś ze Skierbieszowa wspomina, że mieszkańcom dano aż godzinę, a nie dwadzieścia minut, na spakowanie się. Potem spędzono półtora tysiąca osób na plac i otoczono kordonem esesmanów; drugi kordon otaczał wieś. Przez kilka godzin, na mrozie, trwało sprawdzanie listy nazwisk; ewidencja dawała Niemcom poczucie siły, porządku, słuszności i ogólnie sensu wszelkich działań. Kto liczy, ten panuje nad liczonymi, prawda? Nie wiem, czy kogoś tam zastrzelono na miejscu w Skierbieszowie. Do obozu w Zamościu wysiedleni pojechali furmankami; na każdej siedział Niemiec z karabinem. To musiała być bardzo długa kolumna furmanek, która jechała bardzo długo.

Mogłabym o tym Skierbieszowie tak się nie rozgadywać, w końcu to czterdzieści kilometrów od naszych Soch. Jednak robię to specjalnie dla dzieci prezydenta Köhlera, żeby mogły wstawić brakujące dane w puste miejsca swojej pamięci. Wątpię, żeby studiowały one wojenne dzieje Zamojszczyzny, skoro nawet nauczyciele historii w Niemczech o tym nie wiedzą... To co robię dla siebie i ciebie, robię też dla nich. Ponadto ten Skierbieszów to jest szczególna wieś, bo wychowywał się tam przed wojną jeszcze jeden prezydent, polski prezydent, Ignacy Mościcki. Rozminęli się więc obaj prezydenci w czasie, ale nie w przestrzeni... Zupełnie jakby tam był jakiś czakram, który dał tym chłopcom siłę ducha z politycznym ukierunkowaniem.

Wśród tamtejszych wysiedleńców był lekarz, Zygmunt Węclawik, zapewne spokrewniony z mieszkańcami ładnego domu z gankiem w centrum wsi. Znalazłam jego wspomnienie w takiej starej książce, którą od wujka Jasia dostałam, *Czas niewoli, czas śmierci*. Ów lekarz ze Skierbieszowa tak opisuje przybycie do obozu w Zamościu: „Wysadzają nas na placu. Jest już zupełnie ciemno. Cały dzień bez łyżki gorącej zupy. Podwójna ściana kolczastego drutu. Wewnątrz kolczaste zwoje. Te same baraki, w których Niemcy wykończyli kilkanaście tysięcy radzieckich jeńców. Jedni odeszli, przybyli następni. Ciche pochlipywanie kobiet przeszło w zbiorowe zawodzenie. Za nami zamknęła się kolczasta brama”.

W tym obozie rządził wtedy słynny esesman Artur Schütz, wcześniej bokser. Dzieci zabił jednym ciosem.

W Zamościu odbyła się segregacja. Wśród siedmiuset osób, które wywieziono stamtąd przed Bożym Narodzeniem 1942 roku do obozu Auschwitz-Birkenau, było czterdziestu ośmiu skierbieszowskich chłopców w wieku dziewięć-czternaście lat; zginęli uśmierceni zastrzykiem z fenolu. Pominę tu dziewczynki oraz dorosłych ze Skierbieszowa, między innymi owych Węclawików z ładnego domu w centrum wsi, ale może o tych chłopcach prezydent Köhler i jego dzieci powinni wiedzieć, bo to ich rodzinna historia. Nikt sobie miejsca narodzin nie wybiera, ale z pamięci się go wyrzucać nie powinno. Czterdziestu ośmiu to ilościowo jakby dwie klasy szkolne, według dzisiejszych standardów. Nie szkodzi, że wieś rodzinna Horsta (a wcześniej tych czterdziestu ośmiu chłopców) tymczasowo Heidenstein się nazywała. Bo który Niemiec wymówiłby polskie słowo Skierbieszów?

Ale i Köhlerowie musieli z Heidenstein uciekać rok później, w obawie przed partyzantami, bo to był okropny rok, ten 1943. Wszyscy zabijali wszystkich, strach i głód podminowały Generalplan Ost. Sochy już nie istniały, ty byłaś już sierotą... Dodam jeszcze tylko, że w 2004 roku Horst miał sześćdziesiąt jeden lat i właśnie wtedy został prezydentem Niemiec. Jego pierwszą zagraniczną podróżą była wizyta w Polsce, kraju urodzenia. Nie pojechał

wtenczas do Skierbieszowa, bo i po co, nic przecież nie mógł pamiętać z czasów niemowlęstwa i niczemu nie był winny. Pamiętał natomiast, żeby powiedzieć: „Nie uważam się za wypędzonego. Wypędzeni zostali Polacy, w których domu moi rodzice zostali wtedy zakwaterowani”. To są słowa, które padły podczas wywiadu, jakiego udzielił Horst Köhler „Frankfurter Allgemeine Zeitung” w 2007 roku.

To bardzo ważne, że pamiętał, aby to powiedzieć.

Debellacja. Pięknie brzmiące słowo. Oznacza wysiedlenie połączone z eksterminacją. Czyli na przykład wojsko wchodzi do wioski, wygania ludzi z domów, opornych morduje, pokornych segreguje: mężczyźni powyżej czternastu lat (która matka powie, że jej czternastoletni syn nie jest już dzieckiem?) i młode kobiety (również i te czternastoletnie) pojedą na roboty do Niemiec; małe dzieci oddzieli się od matek, ciemnowłose na przykład się zabije albo pośle za druty, jasnowłose, czyli ładne, o nordyckich cechach, się wynarodowi (jeśli przeżyją transport); starsze kobiety się zostawi na przykład albo też za druty pośle, albo się je zastrzeli, spali w stodole, cokolwiek; zwierzęta gospodarskie, zapasy żywności, nawet zboże siewne i sadzeniaki się załaduje na ciężarówkę, jako zaopatrzenie dla wojska; wieś się spali częściowo lub całkowicie albo się ją zachowa dla siebie, czyli swoich osiedleńców. Debellacja, czyli koniec.

Debellacja, wysiedlanie ludności i osadnictwo podczas wojny, jest wbrew prawu międzynarodowemu, ale zdaje się, że nikt nie osądził Niemiec za ten błąd w sztuce wojennej. Niemcy z Besarabii, tacy jak na przykład rodzice Horsta Köhlera, „etniczni” Niemcy, zwani też czarnymi, bo takie mieli mundury, wędrowali po okupowanej Europie i też byli jak bezdomni. Ale nie bezbronni. W esesmańskiej obstawie, urzędowo zaopatrywani w zagrabione mienie żydowskie i polskie, mający do pracy w gospodarstwie robotników przymusowych, których nawet jedzeniem nie częstowali. Bo Polacy musieli mieć swój chleb do jedzenia i swoje konie do roboty w polu.

We własnym mniemaniu owi „Besarabi” zapewne szczęśliwi nie byli. Żyli w strachu, zostali go w domach, do których się powprowadzali, bo tam wtenczas strachu było tyle, że i pojechał z wypędzonymi na śmierć, i pozostał z tymi, co po nich nastali. Bali się tak, że spać nie mogli. Zbierali się nocami na posterunku i tam siedzieli całymi rodzinami. Mieli wartowników do pilnowania. Trochę ich poginęło w wyniku partyzanckich ataków na „czarne” wsie. Rachunki krzywd jednak były takie, że za zabicie jednego Niemca mogła pójść z dymem cała polska wieś, razem z dziećmi. Z niemowlęcia Horsta, urodzonego w Skierbieszowie, wyrósł prezydent silnych Niemiec. Soszańskie niemowlęta trafiły na cmentarz.

Okno

Dzieciom w Sochach starano się tej strasznej wojennej wiedzy oszczędzić, ale one i tak się dowiadywały. Przez oczy, przez uszy i przez skórę czuły. Opowiadałaś mi, pamiętam, że spałaś pod oknem, a to okno było jakby punktem przerzutowym. Nieraz w nocy tuż przy sobie słyszałaś szepty, krótkie zdania. A nad głową wędrowały chleby i oranżada. Leżałaś bez ruchu, udawałaś, że śpisz. W ciemności po te szare bochenki i szare butelki wyciągały się szare ręce.

– Tata te rzeczy podawał, miał sklep przecież, a w sklepie towar. Jak by mógł odmówić. Tata podawał, a mama jęczała: „Jezu, pozabijają nas, Jezu, pozabijają nas”. To byli „bandyci”. Czyli partyzanci. Byli bezwzględni, gdy chodziło o żywność.

– Nie, mamu, to nie mogli być partyzanci, partyzanci by weszli do środka, do sklepu. Oni by nie wyciągali rąk zza okna. Mieli broń i słuszność po swojej stronie.

– W takim razie to musieli być Żydzi.

– Ale we wsiach już ich nie było, Niemcy wywieźli wszystkich.

– Jednak przecież jakieś niedobitki po lasach siedziały, po dołach.

Prawda, ludzie stamtąd twierdzą, że im też się pomagało. Ale po cichu, każdy dom miał swoje sprawy i się o tym nie gadało. Bronka Szawara tak mi mówiła: „A te partyzanty to były ludzie nasze, te, co wioski im wysiedlali, a oni do lasu uciekli, nasze ludzie i Żydowie nasze, oni przychodzili potem w nocy, żeby im co dać jeść, mleka, chleb upieczony, nieraz mama cały chleb oddawała...”. Pamiętasz, że tak, że chleb i oranżada były i dla Żydów. „Jezu, pozabijają nas” pasuje równie dobrze i do tego wątku. Za karmienie „bandytów” i za karmienie Żydów czekała śmierć taka sama. Mówiłaś, że do pewnego czasu (zanim ich wszystkich wywieźli) przychodził do was Boruch, który od taty jaja odkupował. Bo we wsi ludzie często jajkami płacili, za naftę, za karbid, chleb, cukier, sól. A tata musiał mieć przecież żywy pieniądź na nowy towar, który ze Zwierzyńca czy Szczebrzeszyna woził. Boruch miał taki szeroki kosz, do którego ostrożnie te jajka, po dwa w każdej ręce, wkładał. Dziś twierdzą niektórzy, że lubelscy chłopcy to byli wyjątkowi antysemitami, że przez nich dużo Żydów zginęło... Wiesz coś o tym? Nic nie wiesz. Moja prawda przeciwko tej drugiej, powtarzasz.

I dodajesz, że są na to drzewka w Ogrodzie Sprawiedliwych. Wiesz, niektórzy dziś mówią, że te sześć tysięcy drzewek nic nie znaczy, a i one są oszukane... Nie mówmy więc o wszystkich, mówmy o poszczególnych. O poszczególnych ludziach, poszczególnych zdarzeniach. Jeden zabił, drugi uratował. Jeden z serca, drugi ze strachu, trzeci dla zysku. Są tacy, co twierdzą, że podczas wojny nikt nie jest winien. To oczywiście nie jest prawda. Ale też i nie jest to szczere kłamstwo. Podczas wojny dwa plus dwa niekoniecznie równa się cztery, kij miewa więcej niż dwa końce, białe nie jest białe, czarne nie jest czarne i szare też nie. Bo zobacz, ci ludzie, którzy po lasach się kryli, niekoniecznie partyzanci, zbiegowie z rozmaitych wysiedlanych wsi – było ich całe mnóstwo! – oni musieli przecież coś jeść!

Nocą przychodzili pod okna chałup, dostawali, co było można dać...

– Kiedyś w biały dzień jacyś do domu wpadli.

– Nigdy mi o tym nie opowiadałaś.

– Nie wiem, zapomniałam. Tego dnia taty nie było, pojechał na targ do Szczepieszyna. Kazali się nam na podłodze położyć, głowy nie podnosić, cicho być. Ja na łóżku leżałam. Bardzo się starałam być cicho, ale tak się trzęsłam, że sprężyny pode mną dzwoniły. Zabrali ze sklepu cały towar, zabrali wszystkie pieniądze. Powiedzieli, że jeśli choć słówko piśniemy, to wtedy... I pokazali, jak się gardło podrzyna. Gdy już poszli, wciąż leżeliśmy jak skamieniali. Dopiero jak tata przyjechał, to nas zobaczył. Mama płakała strasznie i Kropka też. Ja uciekłam do kąta i dalej dygotałam, trzymając się kołyski. Aż się ta kołyska sama kołysała.

– Gdzie był Jaś, nie pamiętasz?

– Nie pamiętam, pewnie z nami. Potem tata pytał nas, kto to był, jak wyglądał. Ale mama tylko płakała, głową kręciła i nic nie wiedziała. Tata nowy towar wyładował i poustawiał na półkach. A pieniądze odtąd nie leżały już w szufladzie, lecz ukryte były w podstawce żeliwnego krzyża, który stał na stole w kuchni. Mama chowała je także w moich lalkach, lalki miały kieszonki na pleckach...

No tak, odróżnisz to partyzantów prawdziwych od nieprawdziwych? Od jeńców, dezertorów, a przede wszystkim pospolitych bandytów, których każda wojna bez bólu rodzi tysiące? Choć słowo „pospolity” nigdy mi nie pasowało w tym kontekście. Legitymacji przecież od zbójów, co stanęli w progu, nie poprosisz, prawda? Jedni i drudzy mają broń, jedni i drudzy są głodni. Głodny człowiek nie jest nikim innym, jak tylko głodnym człowiekiem, dopóki się nie naje. Więc gdy wpadali i kazali sobie dawać z komory jajka, chleb, wódkę, pieniądze, buty, kurtkę, to nikt nie myślał, że to „obrońcy”, tylko bał się, żeby mu gardła nie poderżnęli na odchodnym. Za tę „pomoc” Niemcy się mścili i rozstrzeliwali całe rodziny, całe wsie. Bo chłopskie dobra to były ich kontyngenty. To z kolei rodziło odwet partyzantów, tych prawdziwych, partyzanci się mścili na Niemcach i potrafili na przykład wioskę osadników zaatakować, pozabijać „etnicznych”, przejąć inwentarz. I dalej znowu Niemcy w odwecie wyruszyli z ekspedycją karną, puszczali z dymem kolejną polską wieś. Obłąd przyczynowo-skutkowy. Ludzie na wsiach zagrożeni byli ze wszystkich stron i okradani na wszelkie sposoby, bo to oni stanowili pierwsze ogniwo łańcucha pokarmowego.

Henryk Grynberg ironizuje sobie w swojej *Żydowskiej wojnie*, że polski chłop z ciemnoty pomagał od czasu do czasu i Żydowi, bo grzech nie pomóc... Czyli, jak rozumiem, gdy w tej ciemnocie jakieś się okienko otwarło, to wtedy nie pomagał, bo ujrzał obraz straszny – jak przychodzi komisja albo sąsiad, co to się z nim o miedzę spiera, i znajdują żydowskie dziecko u niego, a wtedy zabijają z tym dzieckiem także jego własne i do tego wszystkich w domu. Albo biorą ich wszystkich do żydowskiego obozu, żeby razem zdechli.

Pytanie, dlaczego Polacy jak jeden mąż nie ratowali Żydów, jest z tej samej niemej puli co pytanie: dlaczego tysiąc Żydów prowadzonych przez dziesięciu Niemców szło na śmierć bez sprzeciwu. Jest w tej puli więcej pytań równie drażliwych, ale odpowiedź jest jedna – bo strach zawęża świadomość. U prawie wszystkich ludzi. Oczywiście, polscy szmalcownicy,

polscy folksdojcze, sąsiedzkie porachunki, podłe uczynki, pogromy. Ale, Jezu, przecież sami Żydzi już sił nie mieli, aby sobie nawzajem współczuć... Co się działo w warszawskim getcie? Teatrzyki były, kabarety, kawiarnie, bogatym wiodło się dobrze, gdy tymczasem na ulicy umierali biedni bracia Żydzi, dzieci opuchnięte z głodu...

Jednak dobrze by było pamiętać, że antysemityzm, rozniecony na nowo przez Niemców, był chorobą całej Europy. Tak łatwo się skupiać na podstępnych Polakach, pod niemiecką okupacją spontanicznie, indywidualnie denuncjujących Żydów... A co powiedzieć o państwowych antysemityzmach wojennych, popartych rządowymi ludobójczymi ustawami? Skutecznie działały na Węgrzech, w Rumunii, we Francji Vichy. Rumuni masakrowali żydowską ludność w zgodzie z dyrektywą w tak barbarzyński sposób (Żelazna Gwardia), że „członkowie SS musieli interweniować w celu ochrony Żydów”; bilans zabitych w faszystowskiej Rumunii to ćwierć miliona Żydów, w tym dziesiątki tysięcy dzieci. To są dane z najświeższych publikacji; teraz się bardzo dokładnie analizuje masowe zabijanie, oddziela się ludobójstwo od zwykłej masakry, od czystek etnicznych, żeby się nie myliło. Francja Vichy skrupulatnie wyszukiwała wszystkich niefrancuskich Żydów, by zaspokoić niemieckiego smoka i odwrócić jego uwagę od tych francuskich, wynajdując ofiary nawet na terenach nieokupowanych, żeby mieć zapas, ekwiwalent... Taka swoista polityczna przebiegłość, antysemityzm w ramach filosemityzmu. Można od takiego absurdu dostać pomieszania rozumu... Właśnie we Francji 16 i 17 lipca 1942 roku wyłapano około dziewięciu tysięcy Żydów, w tym cztery tysiące dzieci. Przetrzymano ich w dramatycznych warunkach na zamkniętym torze kolarskim przez pięć dni, po czym deportowano; większość dzieci zginęła w Auschwitz. Znowu te formy nieosobowe: wyłapano, przetrzymywano, deportowano... Francuski premier ówczesny, Pierre Laval, sam zaproponował Niemcom, że dostarczy również dzieci, te całkiem małe i te nastoletnie, bo nie wiedział, co by miał z nimi zrobić, kiedy ich rodzice zginą (większość były to dzieci urodzone we Francji, pisze o tym wszystkim Midlarsky, współczesny specjalista od ludobójstwa)...

Podczas drugiej wojny praktycznie prawie cała Europa była pułapką na Żydów, bo tam gdzie nie było jawnej eksterminacji, ograniczano im lub wręcz uniemożliwiano imigrację.

Z dziećmi zawsze problem

Z dziećmi zawsze problem. Ojców i matki normalnie się pozabija, ale co z dziećmi? No bo co można zarzucić małemu dziecku tak wprost? Nawet zmyślić nic wiarygodnego się nie da. O co oskarżyć dwulatka? Powiesz, że to twój wróg? Że ma współników? Dywersant? Partyzant? Na szkodę państwa działa? Śmiechu warte. Żadna zwykła polityczna hipokryzja nie pasuje. Dziecko jest jak kosmita, ono jeszcze nie wie, na jakiej ziemi żyje, dopiero co się zjawilo, nic nie rozumie... Zanim poszczególni sadyści, na przykład z SS, pokazali zwykłym żołnierzom Wehrmachtu, że można, a nawet trzeba te małe zabijać, że żadne preteksty nie są konieczne i nikt ich nie oczekuje, trochę czasu zeszło.

Takie wydarzenia w Białej Cerkwi na Ukrainie... Zobaczyłam je na filmie o historii Wehrmachtu, na bazarze kupiłam ten film, opakowanie paru płyt DVD. W sierpniu 1941 roku SS rozstrzelało ośmiuset tamtejszych Żydów. Normalnie, strzałami w kark, nad rowem. Za wsparcie operacyjno-logistyczne odpowiedzialny był generał VI Dywizji Wehrmachtu, Walter von Reichenau. Miły starszy pan. Na dokumentalnych zdjęciach widać, jak dzieli się kanapką z prostym żołnierzem.

Po tych Żydach zostały niezabite dzieci. Dziewięćdziesięcioro. Może parę więcej. Najstarsze miały po dwanaście lat. A te co miały trzynaście? Czternaście? Piętnaście? Dobre pytanie. Te już zginęły, jako dorośli. Dobra odpowiedź. W tym filmie mówią, że w szkole je zamknięto, cicho tam siedziały. Nie, większość płakała. Na podłodze, w łachmanach, niektóre nagie. Wśród odpadków, brudnych pieluszek, w niewiarygodnym smrodzie. Jak długo tam przebywały? Ktoś je karmił? Nie wiadomo. Sceny wyrywania ich matkom? Pominęto. Czy myślały, że matki wrócą po nie? Dzieci w przyszłość nie wierzą, teraz to dla nich zawsze. Oficer, któremu spadł na głowę ów kłopot, nazywał się Helmut Grosskurt. Miał okulary, wysokie czoło, wyglądał prawie jak doktor. Możliwe, że stawał w progu sali jednej, drugiej i patrzył w rozterce, jak te dzieci pełzają, siedzą, stoją, chodzą... Czy uczą czegoś o dzieciach w szkołach wojskowych? Nie uczą. Uporczywie domagał się jakiejś decyzji w tej sprawie ów Grosskurt, oficer, któremu spadł na głowę ten kłopot... Co z tymi dziećmi robić? Bo one tam płaczą, zabijać, nie zabijać, sytuacja niezręczna: wojsko, żołnierze, a tu takie przedszkole, jedno z drugim nie wygląda dobrze. I płacz słycać bez przerwy.

No i wreszcie generał się odezwał. „Raz rozpoczętej operacji nie należy przerywać”, napisał w liście do oficera. *Grundsätzlich*, z zasady. To był von Reichenau, miał charakter.

Dzieci w Białej Cerkwi przestały płakać.

Jak zostały zabite, w filmie nie mówią. A powinni, bo w przypadku dzieci jest to szczególnie istotne. Film nadzwyczaj jest grzeczny, choć dokumentalny. Zbrodnie Wehrmachtu przedstawia z grubsza, w dużym uproszczeniu. Oficer Grosskurt zanotował: „Podjęte przez nas działania odpowiadały okropieństwu wyrządzonemu przez wroga”. Ale co to miało znaczyć? Tego konkretnie nie wiemy.

„W każdej jednostce znajdują się jacyś dranie”, powtarzają po latach porządni żołnierze.

Około pięciuset tysięcy drani na dziesięć milionów tych, którzy byli na Wschodzie, takie są szacunki co do Wehrmachtu. To chyba nie tak wiele... No, ale to nie są całe rachunki, trzeba dodać Waffen-SS, tam procent „drani” musiał być znacznie większy!

W każdej jednostce znajdują się jacyś dranie....

Jeden kapitan Wehrmachtu – gdzie to było, w Serbii czy w Rosji? W Serbii. W każdym razie na pewno nie na Zachodzie. Ten kapitan się zirytował i zastrzelił rolnika, a potem jego żonę. Najpierw ich zaprosił do siebie (do siebie – w ich własnym kraju...), o coś pytać chciał, ale się zirytował, bo gadają jedno przez drugie, bo dzieci ich krzyczą, a w ogóle co to da?... Więc się kapitan zniechęcił, strzelił do ojca. Cisza. Do matki. Druga cisza. Dziewczynka jeszcze i chłopiec zostali. On ma jakieś dziesięć lat, ona jest trochę młodsza, w twoim wieku wówczas. A także niemowlę. Strzał w kark chłopca, zaraz za progiem, sprawę ucisza raz jeszcze. Dziewczynka – jej oczy ogromne patrzą, no i to dopiero jest hałas... Więc strzał – i oczy zamknięte. Na koniec niemowlę zostało, noworodek prawie, teraz już niczyj. Krzyczy ono, jak to niemowlę, z powodu samego życia, bezrozumnie. „Zabrać to zwierzę”, zawołał kapitan i chwycił za nogę to coś, i przez drzwi na śnieg wyrzucił.

„Takich rzeczy normalnie nie robiliśmy”, szeptali ze zgrozą generałowie Wehrmachtu w Trent Park w Anglii, gdzie ich internowano w czterdziestym czwartym. W pięknej wiejskiej rezydencji mieszkali, w pojedynczych pokojach, w bilard grali, pili brandy przy kominku i czekali na koniec wojny i trybunał wojskowy. Pili brandy przy kominku, palili cygara, książki czytali, filmy oglądali, spacerowali, a ubrania szył im londyński krawiec, który raz na czternaście dni przyjeżdżał wziąć miarę z panów... Tymczasem pili brandy przy kominku i opowiadali sobie to i owo z frontu walk, które stoczyli. To i owo o milionach ofiar. Że podsłuch był w każdym pokoju, nie wiedzieli chyba, a może zapomnieli, w rajcu czujność się traci. Sto tysięcy stron zapisków z tych podsłuchów przeleżało w brytyjskim archiwum do niedawna, w tajemnicy przed resztą ludzkości... To się nazywa angielska dyskrecja...

Wszyscy oficerowie wyszli stamtąd bez szwanku. Jakies drobne niedogodności, wyroki pozorowane, chwile na refleksję dane... Historia lubi postraszyć swoich generałów, ale nie jest skora do karania ludzi, którzy mogą się przydać jeszcze, prawda? Sprawiedliwość natomiast znaleźć można w słowniku pod literą „s”.

A wiesz, że w książeczkach żołdu żołnierze Wehrmachtu mieli wypisane dziesięć przykazań prowadzenia wojny, w których „sumienie człowiecze i obywatelskie” także znajduje promienne odbicie?... Na przykład pierwsze przykazanie: „Żołnierz niemiecki po rycersku walczy o zwycięstwo swego narodu. Okrucieństwa i niepotrzebne zniszczenia uważa za niegodne siebie”.

Dalej mógł żołnierz przeczytać inne szlachetne zalecenia, w rodzaju: nie wolno zabijać przeciwnika, który się poddał (dotyczy to również partyzantów i szpiegów); nie wolno się znęcać nad jeńcami i zabierać im niczego poza mapami i bronią; zabrania się używać pocisków dum-dum; Czerwony Krzyż jest nietykalny; ludność cywilna jest nietykalna; żołnierzom zabrania się grabieży oraz samowolnego niszczenia historycznych pomników i budynków służących modlitwie, sztuce, nauce...

Ech! Łza się w oku kręci... Gdzie ci chłopcy malowani, gdzie te cudne wojny, aźby się

chciało przeżyć je osobiście!

Chyba każdy żołnierz dostawał żołd, prawda? I by pokazać taką książeczkę kwatermistrzowi, musiał ją wziąć do ręki? Bo pewnie trzeba było coś tam wpisać w rubryczce. I żołnierz się nieraz natykał na owe przykazania, jego oko nieraz się prześlizgnęło po tym pięknym poemacie wojennym... Tak, ten bardzo cywilizowany tekst pasował do idei żołnierzy Kulturträgerów. Cóż. Okazało się, że był jak tekst dramatu przygotowywanego w teatrze wojennym, tekst, który upadł podczas prób i nikt go nie przydepnął, ażeby uniknąć pecha.

„Rizaty, rizaty”

– Dzieci nie miały nic wiedzieć, ale się dowiadywały. To najgorsze, czego ty się dowiedziałaś, co to było? O tych Ukraińcach, tak? Jeszcze przed spaleniem Soch...

– Pod piecem stałam i słuchałam, kiedy krewni z Ruszowa, ci, co przed Ukraińcami puciekali do nas, do Soch, opowiadali. Pokotem na podłodze spali, bo nasz dom nie był duży, ale zanim posnęli, mówili historie tak straszne, że ja tam pod piecem lodowaciałam. Wszyscy jak w transie byli, jak porażeni, nikt już nie widział, że się dzieci pałętają, że wszystko słyszą. Że się im niechcący wnętrzości piekła pokazuje. Przy piecu stałam i myślałam tylko jedno: żeby mnie ten piec schował, żeby mnie ten piec schował, bo ja już tego nie wytrzymam. Znikały mi sprzed oczu postacie przy stole wokół lampy naftowej pochylone, a te w mroczniejszych kątach izby, których płomyk nie objaśniał, te jeszcze szybciej znikały. I zamiast cieni na ścianach pokazywały się studnie pełne utopionych dzieci, głowy siekierą odrąbane, ręce odpiłowane, oczy wyłupane, piersi odcięte, i te głosy słyszałam straszne: „wychodyty, lackije mordy” i „rizaty, rizaty”. Kiedy potem wojna do Soch przyszła, to była tragedia, ale tych Ukraińców bałam się tak, że i dziś, stara kobieta, uciekłabym przed nimi choćby do pieca...

– No tak, ale przecież nieraz ukraińska matka dziecko polskie z pogromu uratowała, bandytom nie oddała. Na przykład Stolarczukowa w Zamliczkach, która dziewczynkę sąsiadów Barańskich, w oborniku przez męża Stefana znaną już po wszystkim, do siebie wzięła, choć swoich trójkę miała. A jak przyszli bandyci, też Ukraińcy, żeby jej to dziecko odebrać, to tak mocno je trzymała, że wyrwać by się nie dało. Oni jej mówią, żeby im dała tę dziewczynkę, że nic jej nie zrobią, że tylko wezmą za nogi i przerzucą przez dach domu, a ona nie puszczała, i tak parę razy.

Mamo, ja się przyjaźnię z niejedną Ukrainką, dlatego nie umiem tak po całości, mówmy o pojedynczych ludziach, o pojedynczych przypadkach... Jeden Ukrainiec na przykład ratował polską sąsiadkę z dzieckiem, sam się narażał, a drugi człowieka do drzwi przybił gwoździami i taką mu to radość sprawiało, że aż mu oczy błyszcząły, aż mu żyły na gardle grały. W Kisielinie na Wołyniu znalazł się taki Ukrainiec, co własnych dzieci siedmioro ustawił na podwórku według wzrostu i pozabijał. Bo żona Polka, bo z matki Laszki były... To co on w głowie miał... tego się sobie w żaden sposób nie da wyobrazić. Matkę swych dzieci też niejeden mąż Ukrainiec zabił, jeśli była Polką, nagle obcość krwi więzy rodzinne przeżerała i wszystko się rozpadało...

Straszny rok, ten czterdziesty trzeci, wszyscy wszystkich zabijali, przecież miesiąc po spaleniu Soch była ta słynna rzeź wołyńska, jedenastego lipca, piekło na ziemi. Oni tam dzieciom straszne rzeczy robili. Dzieci jedynie chwilowo są niewinne, prawda? Taka logika jest dopuszczalna. Winy tylko czekają, żeby dzieci podrosły i wzięły je na siebie. Ma się pozwalać, aż wróg dojrzeje i się rozpleni? Najrozsądniej jest pozabijać w krwawym szale. W krwawym szale zabija się tak, jakby się samemu miało przebóstwić, albo raczej przedziablić. Ukraińcy potrzebowali wtedy na gwałt ojczyzny niepodległej. Z samym diabłem by ślub wzięli, żeby swego dopiąć. I wzięli. Bo chwila była jak najlepsza na ślub z diabłem. Za dusze Ukra-

inców obiecał on ciało Ukrainy oddać w ich ręce, całe...

- Boże, co wtedy ludzie opowiadali!
- Opowiadali, a potem pozapisywali ku pamięci, bo nikt by dziś w to nie uwierzył.

Mnóstwo Ukraińców służyło w Waffen-SS. Ukraińców i innych przysposobionych nazistów, adoptowanych germańskich synów Rzeszy. Pod koniec wojny już prawie połowę tej formacji stanowili obcokrajowcy. Himmler to był fantasta z naukowym zapleczem. W Instytucie Anatomii, któremu patronował, uczonego antropolog, zdaje się, że to był August Hirt, dowiedział, że w toku dziejów germańskie krwinki przedostały się przez Ukrainę i Skandynawię ku Bałtom i dalej. Himmler to kupił, bo mu to wzbogacało wizję wielkiej SS, panującej w całym europejskim imperium. Dziś tylko miłośnicy tego okresu historii pamiętają, że oprócz ukraińskich, węgierskich, estońskich, francuskich, szwedzkich i norweskich istniała nawet muzułmańska dywizja Waffen-SS! To byli Bośniacy, którzy czuli się – jakimś dziejowym cudem – spadkobiercami germańskiej tradycji i też pragnęli krwi. Ładne sobie sprawili czapeczki na wojnę, hitlerowskie fezy... Sam Hitler zaś miał ich w głębokiej pogardzie, jego rasizm był przecież krystaliczny. Tak samo zresztą jak Ukraińców miał gdzieś, gardził nimi za ich dzikość, a proklamowanie niezależnej Ukrainy uważał za bezczelność i zignorował to. Ale ich morderczy szał w sprawie polskiej i żydowskiej jak najbardziej uważał za przydatny historycznie. Najpierw mieli się Ukraińcy przydać do pracy w diabelskiej kuchni, a potem sami byliby na deser, po zjedzeniu innych Słowian. Gdyby Ukraińcy znali Hitlera bliżej, może by się bardziej powściągali z tym mordowaniem.

Hitler korzystał z każdego, kto chciał lub chcieć musiał i w imię wyczekanych ideałów był w stanie cyrograf podpisać. A miał ich wszystkich za nic, tych ze Wschodu, tych wszystkich Bałtów, Ukraińców, Bośniaków, Rumunów, Węgrów, którzy sobie wyobrażali Bóg wie co. Nawet i czarniawych, fertycznych Włochów – którzy antropologicznie, doprawdy, w niczym nie są podobni do Rzymian, od których Rzesza wzięła nazwę – nie szanował. On tylko potrzebował masy uderzeniowej.

Himmler natomiast był subtelniejszy, czuł się kapłanem ekspandującego państwa, uważał swoich najemników za dobre tworzywo budowania Pangermanii. Obaj fantaści planowali zmienić etniczną strukturę Europy Środkowowschodniej w czasie znacznie krótszym, niż żyje jedno pokolenie! Ostplan zakładał zaledwie kilkanaście lat – w tym czasie mieli się ob sprawić z tą robotą... To równie dzikie jak odwracanie biegu rzek, tylko że w tym wypadku to były rzeki krwi.

W Sochach ludzie czuli przerażający strach przed Niemcami, a przed Ukraińcami upiorny...

Podludzie w podwiosce

Ta akcja nazywała się „karna ekspedycja”. „Karna ekspedycja” poprzedzona była prowokacją, teatrem z udziałem dwóch niemieckich konfidentów przebranych za partyzantów, którzy kupowali – skutecznie – broń we wsi.

Podczas okupacji sołtysi okolicznych wsi co tydzień spotykali się na naradach i Niemcy wiedzieli, że się tam w tych Sochach coś dzieje, u sołtysa jakieś spotkania są, ktoś z lasu, z AK się pojawia, jeść dostaje... Nikt się wtenczas nie mieszał w czyjeś sprawy domowe, szczególnie z innej wsi, za dużo by tego było, im mniej się wiedziało, tym lepiej, ale oczywiście było dla wszystkich, że ten Ferenc jest w kontakcie z partyzantami. Sołtys z Szozdów ostrzegał sołtysa z Soch, brata swojego dziadka, Stanisława Ferenca, żeby zważał, by się coś złego nie stało. No i w końcu się stało, jakichś dwóch w biały dzień przyjechało wozem do Soch broń kupować. W ten sposób Niemcy się utwierdzili w przekonaniu, że Sochy to partyzancka wieś. Leśni potem jednego z tych dwóch zabili, to jakiś folksdojcz był.

Ale sossanie do dziś o tym za bardzo nie opowiadają. To nie były rzeczy do dyskusowania wtedy i dziś też nie są. Chłopi to ludzie powściągliwi, każdy pilnuje swojego obejścia, a jak coś postanowi, to się z tym nie obnosi, tylko robi, co uważa. Zresztą kto miałby kultywować konspiracyjne wspomnienia, skoro tylko gromadka wdów z dziećmi przy życiu została, na zgliszczach.

Jak kara, to kara. Dlatego z Soch nie wysiedlono nikogo. Mieszkańcy wychodzili z domów, trzymając dokumenty tożsamości, których nikt od nich nie chciał, a to już był zły znak. Mój dziadek cofnął się do domu po pudełko z pieniędzmi, miał nadzieję wykupić rodzinę, gdyby trafili za druty w Zwierzyńcu. Został na ścieżce. Pudełko z pieniędzmi przepadło. Niemcy niczego nie chcieli, tylko zemsty. Atmosfera strachu przed partyzantami była już w tym czasie mocno nakręcona – w roztoczańskich lasach siedziały nie tylko bandy zwykłych rabusiów i hien wojennych, ale także liczne już i sprawnie działające oddziały AK i Batalionów Chłopskich, które organizowały antyniemieckie akcje, skoki na ciężarówkach, na transporty żywności i paliwa, na pociągi przewożące osadników. Potyczki na drogach dojazdowych do miasteczek i wsi kończyły się źle dla Niemców, a wsie „czarnych” stale żyły w napięciu i militarnej gotowości. A jak źle dla Niemców, to i źle dla polskich chłopów. Bo zemsta spadała właśnie na nich. No a potem partyzanci mścili się za tę zemstę i tak w kółko, spirala zemsty. W odwecie za Sochy trzy dni później partyzanci spalili wioskę „czarnych” osadników, Siedliska.

Strach jest dobrym suflerem zbrodni; Niemcy w Sochach chcieli tylko pozabijać i spalić, aby mniej się bać. I żeby ich się bano bardziej. Nie zastosowali jakiejś szczególnej metody, poza tą, którą podyktowało geograficznie dogodnie usytuowanie – wzgórze wokół doliny, idealne dla stanowisk karabinów maszynowych. Podwórka, zabudowania gospodarcze, drzwi domów widoczne jak na dłoni. I jedna droga, prosta jak strzeł, przez środek wioski.

Gdy czytałam – albo słuchałam – opowieści o tamtych wydarzeniach, miałam wrażenie, że

jacyś mało dokładni byli ci Niemcy, że się nie przykładali, tak jak w innych razach. Niejednokrotnie kogoś ranili, a gdy chcieli dobić, to też nie wychodziło, i zostawiali człowieka na powolne konanie w mękach albo spalenie żywcem. Zdruzgotana szczeka albo wypłynięte oko, a życie wciąż żywe. Tymczasem oni szli sobie dalej i strzelali dalej, szczególnie zawzięci nie byli, robili swoją robotę, zabijali zwyczajnie, tak jak krowa je trawę. Im więcej o tym myślę, tym mocniej się utwierdzam w przekonaniu, że jest lepsze i gorsze zło, a nasza rodzina miała szczęście dostać się pod koło lepszego złego losu.

Że jeden za włosy podniósł dziewczynkę? No i co z tego, skoro ją z powrotem postawił, o ścianę nie roztrzaskał. Ci żołnierze szli i robili, co do nich należało. To co mieli w rozkazach wujka Globocnika i oberwujka Himmlera. Byli nawet jakby znudzeni, co chwilę jakaś wioska do spalenia... Akurat akcja w Sochach była ulgowa, bo chwilowo nie było planu wysiedlania, tylko sama eksterminacja. Takie tam międzyzabijanie.

Ukarąć podludzi w podwiosce trzeba było. Bo partyzantów-bandytów-Żydów wieś popiera, bo partyzantom-bandytom-Żydom pomaga. A kto pomaga partyzantom-bandytom-Żydom, ten sam jest partyzantem-bandytą-Żydem.

Brat dziadka, czyli mój stryjeczny dziadek, był sołtysem, a więc osobą, dziś by się powiedziało, publiczną, i od razu kulka w łeb. „Panie, ja nic nie winien”. *Bandit*. Zabić. Jego brat, Antoni, kawaler. *Bandit*. Zabić. Dziecko: „panie, co to dziecko winne?” – pif-paf.

Furia mordowania? W żadnym razie. Okrucieństwo – takie sobie. Nawet słynna partyzancka fobia, którą propaganda niemiecka podsyciała od pierwszych dni wojny w szeregach i na górze od września 1939, jakaś mi się zdaje w tym przypadku oswojona, nieostra, jakby rutynowo przeżywana. „Robota jak każda inna”, rzecz można w przypadku tego oddziału Schupo, który przyjechał wykonać zadanie. A jeśli nawet na szyi jakiegoś kaprała pojawiły się grube żyły i poczerwieniał on na twarzy, wrzeszcząc: „Banda, obiad!”, „Banda, wódka!”, to nic wielkiego, zapewne taki miał on akurat temperament na co dzień.

Wywłóczka, niedaleka, mniejsza wieś, tam jednak było więcej roboty, bo trzeba było mieszkańców posegregować i zdecydować, kto się do czego nadaje, kogo odstrzelić, a kogo pognać do Zwierzyńca, do obozu. Zabijanie i palenie to podstawy, reszta wymagała już działań decyzyjnych. Tak więc łamanie tylko jednego przykazania, akurat piątego, to była prosta sprawa, sprowadzała się do żołnierskiej solidarności w zabijaniu i żmudnego chodzenia od domu do domu, strzelania i dobijania oraz podpalania. Sochy to była więc praca u podstaw – czyli łatwizna wojenna. A skoro jeszcze w planie były samoloty, to połowa roboty robiła się sama! Zastanawiam się, jakież to fantasta zagłady wymyślił sześć (dziewięć?) nurkujących sztukasów na te kilkadziesiąt chałup? Na tę dolinkę wążutką? Jakież rozrzutny projektant „ekspedycji karnej”? Do bomb montowano wtenczas takie rurki, które powodowały przejmujący świst podczas spadania, a gdy samolot obniżał lot maksymalnie, włączały się specjalne syreny, mające przerażać, tak zwane trąby jerychońskie. Owe sztukasy były jak jeźdźcy Apokalipsy wpuszczeni między domki z kart...

Archiwum Państwowe w Lublinie posiada pismo – meldunek dzienny, wysłany dalekopisem – Komendantury Niemieckiej Policji Porządkowej z dnia drugiego czerwca z informacją o pacyfikacji *Banditenortschaft Sochy*, która w walce ogniowej została spalona, a walkę tę wspierało z powietrza lotnictwo niemieckie. Mieszkańcy zostali zlikwidowani.

„Policja wojskowa i oddziały specjalne z Zamościa przejrzały miejscowość bandytów, So-

chy, 27 kilometrów od Zamościa. Podczas walki miejscowość zapaliła się. Przez wkraczające do walki siły powietrzne wieś i ludność zostały unicestwione (*Bevolkerung vernichtet*)”.

Zero krwi, same eufemizmy, stylistyczna pieszczota.

To wszystko posprawdzał jeszcze w latach dziewięćdziesiątych Władysław Sitkowski ze Zwierzyńca, zresztą też poeta! On się Sochami jakoś szczególnie przejmował. Gdyby nie on, toby wszystko razem z poszczególnymi ludźmi umarło, prawie żadne relacje na piśmie by się nie ostały. Dopilnował ten człowiek, ponamawiał ocalonych do wspomnienia, pospisywał, zmobilizował, pomagał. On jest autorem zbiorowej pamięci soszańskiej. Ja jemu osobiście zawdzięczam, że mój album rodzinny pełen jest żywych twarzy i losów moich bliższych i dalszych krewnych. Nie mam pojęcia, dlaczego akurat Sochami się zajął, może i jakaś jego rodzina tam żyła?

Popatrz, mamó, jaka z ciebie się teraz dziewczynka zrobiła. To przez tę chorobę. Masz znów wielkie oczy i warkoczyk. Tyle że siwy. I wydajesz się taka bezbronna. I nie krzyczysz na nikogo. Ojej, jak ty krzyczałaś nieraz, gdy byłaś dorosłym człowiekiem! Wiesz, że ja się często bałam ciebie, gdy byłaś moją mamą? Teraz jest tak przyjemnie być razem, teraz ja jestem dorosła, a ty mała i słaba. Bywam zła na ciebie, to normalne, zmienił się układ sił. W pewnych typowych sytuacjach, na przykład gdy zgubisz klucz albo powtarzasz jakieś głupie ploty usłyszane w sklepie. Ręce opadają, że można w takie bajki wierzyć.

Miny nawet robisz chwilami jak zupełnie dziecko. Taka jedna sprytna minka, gdy chciałaś, żeby ci powiedzieć, gdzie jest pudełko z czekoladkami. Przecież tobie nie wolno. No, ale ty tylko chcesz wiedzieć, gdzie one leżą. „No, ale po co ci to wiedzieć?”, zapytałam. „A bo chcę”, odpowiedziałaś i tak na mnie spojrzałaś wtedy, że zobaczyłam małą dziewczynkę, ciebie kiedyś, a może siebie kiedyś? Wszystko jedno, jakąś dziewczynkę, taką, która myśli, że nikt jej intencji nie odgaduje...

Gdy i ja znów będę dzieckiem, chciałabym, żeby moja córka miała do mnie serce, ale to jest trudne i wymagać tego nie można. Widzę po sobie, jak wiele cierpliwości trzeba mieć, gdy rodzice z dziećmi zamieniają się rolami. W dodatku towarzyszy temu jakiś dziwny egzystencjalny niesmaczek, bo uczucia zmieniały wektor i pod prąd płyną, wbrew dotychczasowemu nurtowi zdarzeń.

Ten czas

Wojsko, każde wojsko, to kaci w drodze. Mają prawo, mają misję krwawą. Przeistoczeni, natchnieni, nie z tej ziemi. Współczesne czy niedawne masakry szokują nas, bo ta groza dyszy w nasze plecy, fizycznie wręcz czujemy, że mogłyby się i nam przytrafić. Nie wierzymy już naiwnie, że wojna to rzecz zamknięta w historii, bo ludzie zmądrzeli. Jak takie atrakcje, jak gwałcenie kobiet i rozbijanie dzieci o ścianę, miałyby pójść do lamusa?

„I tak się stało, że nie tylkośmy bojar, chłopów, niewiast wysiekali, ale nawet niemowlątka u piersi matek w pół przecinali i tak być musiało”, wyznawał w liście spod Moskwy na początku szesnastego wieku polski nadawca, chyba z *Pamiętników* Paska to mam. Od początku ludzkości tak jest... Kiedy się kołyska cywilizacji kołysała, a Homer pisał *Iliadę*, co włożył w usta Agamemnona? Nakaz dla żołnierzy, by dzieciom w łonach matek nie przepuścić („Niech dzieci z łona matek na łup śmierci idą”). Gdy przychodzi TEN CZAS, nie ma zmiłuj...

Dusza człowiecza nie jest monolitem, w sytuacjach skrajnych wychodzą na jaw jakieś jej niespodziewane aspekty, jakieś dzikie instynkty się objawiają, straszne twarze nasze-nie nasze się pokazują, obce oblicza prezentują... Morderczy rzeźnicy z plemienia Hutu po masakrach mówili, że to nie oni zabijali, ale demony. Oni przecież znali tych Tutsi, bo to byli ich sąsiedzi z wioski. Wcześniej wieczorami razem siadywali na ławkach pod domami i patrzyli na zachód słońca, pijąc coś i gawędząc. Jednak gdy przyszedł TEN CZAS, wtedy musieli ich zabijać. Musieli rozszarpywać na strzępy te ładne dzieci Tutsi, musieli obcinać okrągłe piersi i wąskie nosy tym pięknym kobietom Tutsi, gwałcić je maczugami nabitymi gwoździemi, wywlekać jelita i płody z ich brzuchów. Szał masakry. Euforia przekraczania granic. Organizmiczne zło. Co się stało? Oni nie wiedzą. Wiedzą demony...

„Masakra” to jest teraz ulubione słowo nowej polszczyzny, dalekie i przeinaczone echo okrutnego pierwotnego znaczenia. Masakra, masakryczny – można tak mówić na przykład o pogodzie: „Masakrycznie zimno dzisiaj...”, i o wakacjach: „Na plaży było dzisiaj tyle ludzi, że masakra...”.

Nieraz myślę: po co wracać do tej jednej spalonej i zbombardowanej wsi, do Soch, skoro na ziemi spłonęły ich wcześniej i później tysiące? Bliżej czy dalej, w Afryce czy w Azji... Choćby nie tak dawne amerykańskie naloty dywanowe na wioski afgańskie u stóp twierdzy górskiej Tora-Bora. Mieszkańcy ginęli, uznani za partyzantów, podobnie jak na Zamojszczyźnie. Propaganda wojenna działa dzisiaj identycznie, metodą konsekwentnego odczłowieczania wroga codziennymi kłamstwami, powtarzanymi z głębokim przekonaniem przez polityków i dziennikarzy. Bombowce B-52 zrzucają bomby, które rozrywają gromady ludzi na strzępy. Podmuch wybuchu miążdzy wnętrzności. Wnętrzności nie tylko ewentualnych terrorystów, ale również ich żon i dzieci, a także tych, którzy ich przyjęli pod swój dach. Dachy odleciały i domy zmieniły się w popiół. Podobnie jak w Sochach. W dwudziestym pierwszym wieku także po masakrze wyrывa się złote zęby z ust zabitych, złoto to złoto, wędruje

ono z rąk do rąk, tak jak podczas okupacji niemieckiej kilkadziesiąt lat temu. O tym się nie mówi w telewizji, a ja o tych zębach wyczytałam, czy nie w *Efekcie Lucyfera* Philipa Zimbardo?

Słowo „nazizm”

Stutthof gorszy od Birkenau. Birkenau gorsze od Auschwitz. Auschwitz gorszy od Dachau i Buchenwaldu. Są piekła jaśniejsze i ciemniejsze, mamó. W jednym piekle strzelają w głowę, darowując ci śmierć jako moment metafizyczny, który łatwo przeoczyć podczas tak błyskawicznej transgresji, w innym wprasowują ci śmierć w żywe życie i godzinami wyjesz na granicy, a właściwie w otchłani swego ciała. Jean Améry, intelektualista niemiecki, Francuz z wyboru, z przeznaczenia Żyd, który był torturowany przez hitlerowców, a potem osadzony w Auschwitz, ów Améry pisze, że każde cierpienie – jak gaz – wypełnia dokładnie całą duszę człowieka, bez względu na stężenie. To kluczowe zdanie, myśl, z którą nie mogłam się początkowo zgodzić, ale potem musiałam. Bo czy boli cię ząb czy urwana noga, czy umarło ci dziecko, czy amputowano ci człowieczeństwo – jesteś figurą bólu i nie ma miejsca na nic innego.

Nie chcesz słowa „naziści”, bo odsyła w niebo abstrakcji. Albo w piekło, oczywiście. W każdym razie konkretny zbrodniarz znika z pola widzenia, bo słowo „nazizm” odpuszcza winy pojedynczym osobnikom.

„Nie bił mnie nazizm, bił mnie porucznik Praust z pomocnikami”, powtarza Améry. On też słowa „nazizm” nie tolerował, bo nazizm nie ma twarzy, tylko mundur i emblematy. Mundur mu tego nie robił, nie wyłamywał mu ramion i nie emblematy go katowały, tylko porucznik Artur Praust, ktoś z konkretnym nazwiskiem, urodzony w... spokrewniony z... pracujący w... W tym wypadku na gestapo. Taką miał pracę ten Praust, zgodną ze swoim temperamentem. Dziś powiedzielibyśmy – zgodną z profilem osobowościowym. I nie było „nazizmu” w sali tortur – był niejaki Praust: niski, mówiący chrapliwie z berlińskim akcentem gestapowiec po pięćdziesiątce, który znęcał się nad trzydziestoletnim pisarzem z Wiednia. Czy ktoś tego Prausta skazał po wojnie? Co się z nim działo w ogóle? Nikt nie wie, rozplątał się w morzu nazizmu... Za to Améry pozostał człowiekiem złamanym, nie wytrzymał do końca swojego życia, samobójstwo popełnił, tak jak nasz Tadeusz Borowski, też pisarz i więzień Auschwitz... Nieraz trauma spycha życie wciąż do tego samego punktu na osi czasu i powoduje, że tamta teraźniejszość nigdy nie przemija i nawet pisanie książek nie pomoże.

Jeden jedyny wyrok na „naziście” był naprawdę adekwatny do zbrodni. Tylko że nie Niemcowi się przytrafił, bo Niemcy to jednak szczęściarze historii... W straszny sposób zginął generał armii węgierskiej Ferenc Szombathelyi, dowódca grupy „Karpaty”, walczącej po stronie nazistowskich Niemiec. Po wojnie skazano go w Budapeszcie na dożywocie, bo uznano, że był odpowiedzialny na masakrę w Wojwodinie, gdzie żołnierze węgierscy przez trzy dni mordowali mieszkańców, Serbów. Zginęły ich tysiące. Ile dzieci? Nie mam pojęcia. A byłam tam dopiero co, w 2012 roku, na festiwalu poezji w Nowym Sadzie, stolicy Wojwodiny, jednak o szczegóły nikogo nie spytałam, za to oglądałam pomniki... Serbowie bardzo chcieli dostać w swoje ręce tego generała i się udało, Węgrzy wydali go wraz z dwoma innymi generałami. Tamtych Serbowie powiesili, ale Szombathelyiego wbili na pał. W 1946 roku! Nawet już w listopadzie 1946. Taka śmierć! To gorsze od ukrzyżowania. Wbijanie na

pal, bałkańska specjalność... No, nie tylko bałkańska, wyżej na mapie też obecna, na przykład Polacy i Ukraińcy przez wieki sobie nawzajem tę pieśczętę fundowali. A sprawa z tym węgierskim generałem wyszła na jaw dopiero w latach dziewięćdziesiątych, zemsta była bowiem tak dzika, że historia Europy przez dziesięciolecia nie była w stanie tego publicznie z siebie wypluć.

Wypalona dolina

Nadleciały samoloty. Z samolotów posypały się bomby, a potem pociski z kaemów. Raz jeden, raz drugi, raz trzeci samolot ze straszliwym wyciem obniżał lot i prawie że brzuchem ocierał się o zboże, które kładło się od podmuchu, a maszynowa broń pokładowa siekła ciała, martwe i żywe. Pytałam wujka Jasia, co on pamięta. On pamięta samoloty, co tak latały, jakby ćwiczenia sobie robiły, z lotniska pod Zamościem przyleciały. W komin sterczący jak strzelili, to się komin rozpadał. Od tego huk Jaś uszy zatykał, wcześniej nie wiedział, że jest na świecie aż taki hałas. Przecież traktorów nie było wtedy na wsiach ani pił tarczowych, nawet radia od wojny nikt w domu nie trzymał. Tylko mówienie ludzkie się słyszało, głosy zwierząt, co najwyżej pioruny w burzę. Ale ten huk samolotów, lecących nad samą ziemią, to było, jakby grzmot nie cichł, tylko zbliżał się, natężał, twardniał, aż się stał jedną wielką skałą huku.

Może było po jedenastej, gdy samoloty odleciały. I cisza zapadła. Te trochę ludzi, co przeżyło, leżało. Dzieci nie płakały, ranni nie jęczeli, bo cisza była silniejsza. Przez pewien czas cisza miała taką moc, że nikt ani pisnął. Wreszcie zaczęli wstawać, ostrożnie, bo się bali, jaki świat zobaczą, gdy się podniosą. Najpierw popatrzyli w niebo – było puste. Potem popatrzyli wkoło siebie – nie poznali. Bo po czym można poznać nic? Nic bowiem nie zostało, wypalona dolina, na dnie zwęglone, dopalające się belki. I tych parę kominów, które przetrwały.

Wtedy dopiero jeden płacz, jeden krzyk wyrwał się z ust ocalałych.

– Ale ty wiesz, mamó, że te samoloty to było wielkie szczęście? Gdyby w planie nie było tego nalotu, Niemcy mieliby dużo więcej czasu i wybiliby was absolutnie wszystkich, byłiby na pewno dokładniejsi i okrutniejsi. Tyle ładnych dziewczyn było w Sochach, zgwałciliby niejedną. Odważyliby się na więcej niż samo zabijanie i palenie, bo tak bywało w innych wsiach. Szczególnie że tym razem nie wysiedlali ani nie brali na roboty do Rzeszy. Mieli ukarać, a karanie daje wiele ciekawych możliwości...

– Pamiętam kozę, jak chodzi po sadzie.

– Przeżyła ta koza? Jak to?...

– A nie wiem, pasła się, dziadkowy sad nie spalił się. Stryjna Anastazja odnalazła kozę, wydoiła ją. Jedną miała szklaneczkę, taką malutką, na dwa łyżki, do wódki chyba. Kolejno podawała dzieciom mleko do wypicia. Kiedy mnie podała, spróbowałam, ale nie dawało przełknąć, bo gardło było jak z kamienia. Wyplułam. Oddałam szklaneczkę. Dużo dzieci jest, powiedziała stryjna do mnie, nie dam sobie rady, musicie iść do Tereszpolu. W Tereszpolu byli jeszcze inni krewni, stryj Michał, ten, co potem wyjechał do Malborka, i dalsza rodzina, jakaś Jagusia, panna, nie pamiętam już.

Nic na to nie odpowiedziałas, bo nie mogłaś, przez to ściśnięte gardło. Poszłicie we czworo. Bo szedł z wami jeszcze Tadek, syn Anastazji, niósł Kropkę. Znałaś tę drogę, bo tamtędy na nauki przedkomunijne do kościoła w Tereszpolu chodziłaś. To było siedem kilo-

metrów, przez Szozdy.

– Poszliśmy ku Szozdom na Tereszpol, przez dopalającą się wieś, czy raczej po-wieś, bo tylko belki leżały, belki się dopalały, czasem spadało coś jeszcze nie wiedzieć skąd. Mijaliśmy ciała leżące pośród tych płonących belek. Wiele ciał, dużych i małych, ale niepodobnych do nikogo znajomego. Patrzyliśmy na te trupy i wszystkie zdawały się obce, nie wiadomo skąd się tu wzięły, na tym pogorzeliisku, które też nie wiadomo skąd...

– Jaś mi opowiadał, że w pewnej chwili musiał przejść obok martwego dziecka. A przy tym dziecku płonąca belka. I to dziecko to był taki widok, że Jaś bał się go bardziej niż ognia. „Nie wiem, kto to był, czyje ono było – powiedział – ale tak się starałem nogi stawiać, żeby go nie dotknąć i zarazem nie sparzyć się płonąca belką, bo byłem boso. Przejście pomiędzy nimi było cudem”. Ta scena mu się śniła przez długie lata, z krzykiem się budził. Nie śmierć rodziców go dręczyła, nie pożar całej wsi, ale to dziecko i płonąca belka, i on, który musi je przekroczyć. Potem zeszliście z gościńca i szliście przez pola, ścieżkami. Na wysokości Szozdów zobaczyliście Niemców, zbiórkę mieli po akcji.

– Ja tego nie pamiętam...

– Już się ładowali do samochodów, wracali do jednostki, była pora obiadu. Schowaliście się w lasu. Nie pamiętasz tego? Jaś mi o tym opowiedział. Czyby was zastrzelili, jakby co? Może. Wtedy byliście pewni, że tak. Gdy tylko odjechali, toście się podnieśli i biegiem do Tereszpola. I to wszystko po cichu, bez słów, jakby było coś, co za was wiedziało, co trzeba robić. A ten Tadek miał ile lat?

– Czternaście? Tak mi się zdaje, czternaście.

– On was prowadził i nic nie musiał wam mówić. A w Tereszpolu to pamiętasz, gdzieście poszli?...

– Na plebanię do księdza. Posadzili nas przy stole i dali po kromce chleba ze smalcem. Ale nie mogłam nic przełknąć.

– Przez to gardło.

– Pewnie dlatego. Dorośli rozmawiali między sobą. Raz po raz jakieś zdania... „Najmłodsze by wzięła ta pani, co ma uschłą rękę, ta, co pracuje w biurze parafialnym, na wychowanie”.

– Kto to powiedział?

– Kto, nie wiem, ale Kropka tak się mnie wtedy złapała i nie puszczała, jak kociak wbiła pazurki. I wtedy udało mi się powiedzieć, że nie. Że Kropki nikomu nie dam. I czekaliśmy na dziadków Mielników ze Stolnikowizny. Przecież na pewno przyjadą. Wezmą nas. Więc nas zaprowadzili do domu tej Jagusi i spaliliśmy na sianie.

– Co to za Jagusia?

– Już nie pamiętam. Młoda. Jakaś rodzina może. Dwa tygodnie tam byliśmy, tak mniej więcej. Na pogrzeb wioski nas nie zabrali. Nawet mnie. Słyszałam, jak powtarzali w kuchni na dole: nie można jej zabrać, bo ona jeszcze w szoku, prawie nie mówi. Jak wrócili, to słyszałam, że gdy chowali naszych rodziców, z trumny krew trysnęła. Mieli trumnę rodzice, bo w Szozdach był uczciwy znajomy taty, który za dawny dług trumnę załatwił. Nie mógł już pieniędzy oddać, ale trumnę, taką skrzynię dużą dla dwojga, zamówił czy zrobił. I mama

z tatą razem w tej jednej byli pochowani.

– Jak to możliwe, że krew trysnęła? Przecież to było po dwóch czy trzech dniach już, bo zanim wszystkich zwieźli, zanim wykopali te doły...

– A nie wiem, ale tak ludzie mówili. Że tak się stało.

– Może doszło do krwotoku wewnętrznego, wtedy dużo krwi się zbiera w jakimś miejscu i wstrząśnięcie, obrócenie ciała tak właśnie może skutkować. Jeśli twój tata dostał kulę w prawy bok, to pewnie w wątrobę, ona jest mocno ukrwiona... A twoja mama gdzie miała ranę, bo mi nie mówiłaś nigdy, a powinnam to wiedzieć: gdzie ten Niemiec strzelił?

– W usta.

W Tereszpolu czekaliście dwa tygodnie na przyjazd dziadków Mielników ze Stolnikowizny. Bo zanim ktoś tam pojechał z wiadomością o tragedii – przecież gazet ani radia nie było – zanim się dowiedzieli, że dziećmi Józi nie ma się kto zająć... To czterdzieści kilometrów, a jeździło się tylko końmi albo rowerem. No, Niemcy mieli ciężarówki i motocykle, dla nich to były krótkie dystanse.

Helena i Józef, rodzice twojej mamy. Dziadek Józef Mielnik to ten, co miał wąsy płowe, do góry podkręcone. Dziadek Józef Ferenc to ten z czarnymi wąsami, co nigdy nie posiwiął. Dziadkowie ze Stolnikowizny wsiedli na wóz, pożyczony, i przyjechali po was do Tereszpolu. Wsadzili was na ten wóz i zawrócili do Soch, żeby zobaczyć spalony dom i ocaloną piwnicę. I co w tej piwnicy zostało.

Zostały poduszki, pobrązowiałe od żaru. Jedna nadawała się do zabrania, choć dymem przeszła bardzo... Ta poduszka przechowała się aż do twojego ślubu, babcia ci ją dała jako jedyne wiano... I rower taty ocalał. Władek, brat mamy, potem tym rowerem jeździł. I kochuch taty, też był na Władka dobry. I zegarek, taki porządny, srebrny, z dewizką – Władek go odziedziczył. Potem gdy woził cię na ramie tego roweru, zawsze powtarzał: „To twojego taty ten rower”. A gdy oglądałaś zegarek z dewizką, też mówił: „To twojego taty ten zegarek”. Jakby się tłumaczył z tego majątku, który na niego spadł... Albo z samej tylko uczciwości tak mówił do małej dziewczynki? W piwnicy była też ukryta metalowa puszka z pieniędzmi (po nią szedł twój tata, nie doszedł...), co się z nią stało? Nie wiesz.

Wsadzili to wszystko na wóz i pojechaliście.

W płaczu zakłętą

Dzieci nie potrafią wyrażać emocji słowami. Nie znają jeszcze leczniczej mocy słów. Dzieci się miotają w rozpacz, duszą się strachem, dławią się łzami, życie psychiczne jest dla nich żywołem o wiele bardziej niż dla dorosłych, którzy mają już jakieś punkty odniesienia, jakieś uniwersum. Dziecięca przestrzeń poznania jest ciasna i gdy wypełni ją opresja, dziecko jest jak w żelaznej obręczy – nie ma dokąd uciec.

– Płakałaś przez rok, codziennie, godzinami. Przestać się nie dawało, jakbyś była w płaczu zakłętą. Ale że człowiek, człowiek dziecko, ma tyle łez! Skąd one się biorą?

– Wystarczyło głowę pochylić, a zaraz lały się z oczu, jakby tam był przepelniony pojemnik, jakieś źródło niewyczerpane, co ten płacz cały czas zasilalo od środka. Aż coś się zaczęło dziać niedobrego z oczami. Nie że popuchły, poczerwieniały, to zwyczajne było, ale zaniewidziały. Najpierw wszystko się rozchwiewało, rozdwajało, a potem rozmazywało. Nie mogłam czytać.

– No ale przecież robiłaś jakieś przerwy w tym płaczu, przecież coś jadłaś, dokądś chodziłaś.

– Mało jadłam, zresztą nie było co... Chodziłam – za jedzeniem. Z takim koszyczkiem, od drzwi do drzwi, bez słowa. Stawałam na progu, a ludzie wiedzieli, o co chodzi. Wkładali jajko, kartofel, kawałek chleba, jak kto miał co dać... Nie mówiłam nic, ale jak szłam przez wieś, to jeszcze bardziej płakałam, bo pomiędzy domami, w których mieszkaly inne dzieci ze swoimi żywymi matkami i żywymi ojcami, jeszcze bardziej chciało mi się płakać. Zapadał zmrok, wracałam ku zakrętowi drogi – dom dziadków w Stolnikowiznie stał na zakręcie drogi – a po obu stronach widziałam okna, za którymi paliły się lampy i widać było chodzące postacie, małe i duże. I wtedy fala płaczu wzbierała jeszcze większa i zalewała te okna z matkami i ojcami. Gdybym nie płakała, tobym się chyba tym płaczem udławiła. Aż mi babcia powiedziała, że jak nie przestanę płakać, to osłepnę. Musiałam się oduczyć płakać, a nauczyć mówić. Jednego razu wróciłam do domu, postawiłam na stole ten koszyczek i zaczęłam mówić. Powiedziałam, że więcej nie pójdę po domach prosić. Mówiłam i mówiłam, w kółko tę jedną rzecz, że to jest, babciu, taki wstyd, taki wstyd dla mnie, że ja już tego wstydu nie wytrzymam dłużej. I nie zapłakałam. Słowa mnie zajęły.

– Dlaczego cię ta babcia posyłała na żebry do wsi...

– Nie było co jeść. Zimny piec rano i puste garnki to była nasza codzienność. Wtedy już głód był wielki, ludzie czekali na wiosnę, na pierwsze trawki, lebiodę, mlecz... No i partyzanci, coraz ich więcej było, oni też się na wsiach żywili, nieraz gwałtem.

Czytałam, że Hans Frank wprowadzał „stan wyjątkowy”. To były takie półroczne, od lipca do grudnia, rolnicze rozporządzenia karne „dla ochrony zbiorów” (dla Rzeszy). Za niewywiązanie się z dostaw bydła czy zboża, za nielegalny ubój i wszystkie inne uchybienia groziła kara śmierci i była wykonywana natychmiast. No a żywienie partyzantów było okrada-

niem Rzeszy. Normy kontyngentowe co roku podwyższano i rozszerzano zakres produktów. Zapłata, nawet jeśli była, to poniżej kosztów, bardzo często płacono wódką. Kropka jadła ścianę. Wydłubywała kawałeczki wapna. Jadła też węgielki spod pieca, brała je do buzi i ssała jak cukierki. Najmłodsza z rodzeństwa, urodzona podczas wojny, nigdy się porządnie nie najadła. A po pacyfikacji to już i matki nie miała, która by dopilnowała... I taka nieduża została, nie urosła, jest z was najmniejsza – Kropka.

Szczęśliwi ci, którzy mieli jeszcze krowę, kurę. Babcia Mielnikowa nic nie miała, tylko waszą trójkę, co jej z nieba spadła, razem, rzecz by można, z popiołem po spalonym domu jej córki Józi... Ale nie było aż tak źle jak kawałek dalej, na Białorusi, tam dzieci puchły z głodu, rodzice byli na froncie albo w partyzantce, albo zabici. Mnóstwo tych dzieci tułało się po drogach, po obcych, trafiało do dięskich domów. „Jedliśmy park – opowiada ktoś Swiętłanie Aleksijewicz, reporterce, w książce *Ostatni świadkowie*. – Wpadliśmy do parku i jedliśmy sosnowe gałazki, korę z drzew, liście. Człowiek może zjeść wszystko”. Okupacja na Białorusi to zapomniana tragedia, jak łódź zatopiona w morzu historii drugiej wojny.

Kiedy byłam mała, przechwalałam się na podwórku: „Mojej mamy rodziców to Niemcy zabili w czasie wojny, a twojej mamy?”. Albo przy stole w przedszkolu, gdy jakieś dziecko wybrzydzało, jeść nie chciało, bo w zupie „pływają tłusciory”, namawiałam: „Jedz, we wojnę toby dzieci wszystko zjadły z głodu, nawet ziemię by zjadły”. Po latach już dokładniej wiedziałam, jak było. Że po pacyfikacjach wsi dzieci zrywały pieczone jabłka ze spalonych drzew, że jadły wróble, psy, koty. U Aleksijewicz też o tym ktoś opowiada, że takie jabłka z pożaru się jadło. I ziemię. Jedna z tamtych niegdysiejszych dziewczynek wspomina, że podczas blokady Leningradu na bazarach sprzedawano ziemię do jedzenia. O smaku oleju słonecznikowego albo powideł. To była ziemia ze spalonych magazynów żywności. Ziemia w pięciu smakach... Ta dziewczynka – miała wtedy dwanaście, trzynaście lat – mówi, że jej rodzinę stać było tylko na najtańszą ziemię, tę spod beczek ze śledziami. Słona była i pachniała rybą. Jakiś upiorny spożywczy ersatz... A my w dzieciństwie nie chcieliśmy „tłusciórów”, słoniny w zupie. Nie znosiliśmy sałaty, buraków, czerwonej kapusty. Kaszę gryczaną łykaliśmy, jakby to był żwir, z płaczem.

Dzieci mieć – prawdziwe nieszczęście

Tak tą twoją wojną przeszłam w dzieciństwie, że aż mi się uczyć nie chciało. No bo po co? Skoro wojna i tak po nas wróci... Nie ma szansy na inną historię. Wiersze pisałam, bo to szło szybko, bez żmudnych przygotowań. Z lekcji niemieckiego uciekałam już po trzecich zajęciach, bo nie mogłam słuchać tego szwargotu. Słyszając niemiecką mowę, czułam złość i lęk zarazem. Marzyłam, oczywiście, młodość się żywi marzeniami, ale nigdy nie robiłam planów na dłużej niż do wakacji. Nie warto. No bo jeśli po wakacjach może być wojna? Już nieraz była... Lepiej szybko pisać wiersze. One z wojny zostają, jak potwierdza historia literatury, „pieśń ujdzie cało”... Baczyński był moim ulubionym poetą. A może zostałam poetką z powodu niewiary w przyszłość? Naprawdę się dziwię, że zdałam maturę, przecież uczyłam się zawsze za pięć dwunasta dopiero, bo wcześniej nie miałam motywacji, nie widziałam celu, który zbyt był odległy, by mnie do siebie przekonać w sytuacji odczuwanej permanentnie tymczasowości.

No i te nasze ciągle przeprowadzki, nowe miasta, nowe mieszkania, nowe szkoły, koledzy nowi, nauczyciele, sąsiedzi, zerwane więzi, nawiązane więzi, zerwane, nawiązane... Bardzo to było męczące, bo nieustannie prowokowana nowość wyczerpuje jak narkotyk. Życie bez żadnych korzeni. Co was tak gnało po Polsce? Czy wiesz, jaki zygzak na mapie Polski rysuje ta wasza trasa? Katowice – Rybnik – Kołobrzeg – Wrocław – Sopot. Jakby dziecko coś nabazgrało... Do dziś się nie mogę zatrzymać, nadal się przeprowadzam, tyle że już bez was. Z Sopotu powrót do Wrocławia, potem Warszawa, z Warszawy do Gdyni, szybko Gdańsk i znów Warszawa, a w samej Warszawie już trzy adresy... Jeśli nie mogę zmienić miasta, to przynajmniej zmieniam dom, średnio co cztery lata sprzedaję mieszkanie i kupuję albo wynajmuję inne, choćby dwie ulice dalej... Bez wytchnienia. Ta jakaś łatwość tracenia wszystkiego, trudność pozostania w miejscu, jakbym nie ufała otoczeniu, uciekać, uciekać... Nauczyłam się tego od was w dzieciństwie i teraz nie potrafię inaczej.

Odkąd pamiętam, zawsze myślałam o wojnie. Żyłam w jej kontekście od dzieciństwa. Jadłam, bo potem może być głód. Spałam, chwając noc bez strachu. Nie żyć chciałam, ale przeżyć. Niby subtelna różnica, a jednak zasadnicza. Determinuje stosunek do własnego istnienia. Trzeba się spieszyć, nie tracić czasu, nie rozpraszać się na głupstwa. Zabawa jest mało zabawna, przyjemność zjada swój koniec, każdy dzień może być ostatni, więc nie warto niczego planować. Trzeba jakoś bezpiecznie dożyć. Kochałam się na tle wizji gwałtownego końca wszystkiego i byłam losowi wdzięczna, że zdążyłam. Zdążyłam z pierwszym pocałunkiem, z pierwszym seksem. I zaraz z macierzyństwem. Chciałam rodzić tylko córki, bo synowie pójdą na wojnę. Nie, lepiej mieć chłopca, bo dziewczynkę zgwałcą i zabiją. To w końcu czego pragnąć, by było bezpieczne? Śmieję się. Ot i ściana. A za ścianą groza.

A kiedy miałam małe dzieci i trwał stan wojenny, moją obsesją była – ewakuacja. No bo mogą wejść Rosjanie, prawda? A wtedy i Niemcy z NRD z łatwością przyjdą, prawda? Bo Wrocław to ich Breslau. Boże, a my przecież w poniemieckim domu mieszkamy! I Rosjanie już też tu byli zresztą. Rozpalili ognisko na werandzie i pili spirytus. Za fortepianem do dziś

jest czarny parkiet. W czterdziestym piątym to było, ostrzelali zewnętrzne tynki i wpadli do środka. Szukali esesmanów. Bo to była esesmańska willa. Walili w klawisze fortepianu butelkami, wznecając upiorne dźwięki. Odstrzelili po kolei trzy klosze żyrandola w jadalni. Spalili podłogę na werandzie. Stłukli szybki w nadstawce kredensu. Zgwałcili dwunastoletnią niemiecką dziewczynkę, która tu jeszcze mieszkała, a potem wrzucili ją do studni, która jest w piwnicy. Matka z młodszą córką wyskoczyły z balkonu na piętrze, prosto w to miejsce, gdzie dziś rosną krzaki forsycji. Uciekały przez ogrody. Potem dalej i dalej. Aż się zatrzymały gdzieś w Argentynie czy Brazylii. Już to opisałam kiedyś...

W takim nastroju żyłam, w takim przeświadczeniu, że jak nie Rosjanie Niemców, to Niemcy Rosjan będą szukać na tej naszej piastowskiej ziemi, a my im tylko na przeszkodzie stoimy, więc nas przegonią, sprzątną. Wystarczyły dwie nieprzespane noce, o co przy dzieciach łatwo, by historia domu, w którym mieszkałam, wracała i zaczynałam oddychać „wojennym” powietrzem. Gdy się boję, czuję to fizycznie, jakby igły wbijały mi się w skronie i policzki. Takie nagłe, szybkie ukłucia, bardzo nieprzyjemne.

Otwierałam szafę i robiłam plan ucieczki, w razie czego. Co by trzeba, w razie czego, spakować, a co można zostawić, większe dziecko samo pójdzie czy nie da rady i wózek jest niezbędny, mniejsze na ręce czy ręce lepiej mieć wolne, jedzenie, w razie czego, ile mleka w proszku udźwignę, ile kaszy manny? Podgrzewacz do butelek? Bez sensu, prądu nie będzie, termos lepszy. Buty dla mnie – bezwzględnie na płaskim obcasie, i spodnie, nie sukienka, żebym mogła szybko biec. Termometru nie zapomnieć. Piramidon koniecznie. Najlepiej wszystko do plecaka, tego ze stelażem, z napisem „Mazury”, jest na strychu. Jak ja sobie dam radę? Przecież Pawła nie będzie, nigdy go nie ma, gdy jest naprawdę potrzebny, taki rodzaj męża. Zadzwoni w ostatniej chwili, że musi pomóc rodzinie kolegi z pracy. Stawałam naprzeciwko tej otwartej szafy, wypchanej od góry do dołu dziecięcymi rzeczami, i strach galopował przez moją opustoszałą duszę, i te igły skakały mi po twarzy. A jeśli zgubię dziecko? A jeśli ktoś mi wydrze jedno z nich? To było najpotworniejsze. Na myśl o tym czułam się tak, jakbym sierścią z lodu porastała.

Jeśli się zabiera matce dziecko, to ona pragnie ze wszystkich sił umrzeć, bo ból jest nie do wytrzymania, ale i w tej samej chwili ze wszystkich sił pragnie żyć, żeby je ratować. Taki paradoks, co miazdzy duszę. Dziecko jest anatomiczną częścią matki, więc to jest jak amputacja bez znieczulenia. Myślę, że żaden mężczyzna nie jest w stanie tego poczuć. Trzeba by jakąś analogię znaleźć, by mógł on porównać swoje doświadczenie. Może przydatne by było jakieś wspomnienie z czasów, gdy jeszcze matki na krok nie odstępował i tak mocno ścisnął w zaciśniętej piąstce jej spódnice, że jeśli by go ktoś chciał wtedy odciągnąć, to chyba razem z kawałkiem tkaniny. Tylko że tak dzieje się w bardzo wczesnym okresie dzieciństwa, który rzadko kto pamięta. Dlatego mężczyznom o wiele łatwiej się idzie na wojnę, bo nie rodzą dzieci, a siebie z tamtej prasceny nie pamiętają.

Szczęśliwie napady tej mojej wojennej psychozy ustępowały, gdy miałam szansę na sen. Po przespanej nocy wstawałam normalna – zamykała się ta szczelina w wyobraźni, przez którą wiało lodowatym strachem. I można było znowu trochę pożyć.

Mieć dzieci podczas wojny to prawdziwe nieszczęście. Ilu ojców, ile matek żałowało skrycie, że sobie sprawili dziecko tuż przed wojną, a jeszcze głupiej – już w trakcie! Uciekać z dzieckiem – straszna niewygoda. Siedzieć z nim w piwnicy, gdy żołnierze wroga wkoło –

zgroza. Bo piśnie, bo zapłacze – i wszystkich wystrzelają. Przez dziecko zginąć najłatwiej. Głód – dziecku się nie wytłumaczy, że trzeba poczekać. Chore? Nie ma lekarza ani lekarstw, i patrzysz, jak umiera...

Na czas wojny nie powinno być żadnych dzieci. Powinny siedzieć w jakimś całodobowym, całowojennym przedszkolu, za jakimś drutem kolorowym, za murem bajecznie grubym, a najlepiej na innej planecie. I czekać. Po wszystkim by się je stopniowo poodbierało... O ileż lżejsza byłaby wojna bez strachu o dzieci! Strach o dziecko jest jak gotująca się trucizna, której już same opary trują. Można oszaleć. Niejedna matka oszalała. Niejedno dziecko udusiła tym trującym strachem.

A dziecko, które zgubi matkę w czasie wojny, może osiwieć... Czytałam u tej Aleksiejewicz o białoruskiej dziewczynce, która spóźniła się na pociąg, bo zbierała chabry, gdy stanęli w polu. W tym pociągu mama, siostra i całe życie, i oto odjeżdża ten pociąg nie wiadomo dokąd! Bo to wojenna tułaczka przecież, ewakuacja. Biegnie dziewczynka za pociągiem z tym bukietem, ale pociąg przyspiesza. To się nazywa śmiertelne przerażenie, nie ma innego słowa – ona biegnie, a za nią już się ziemia zapada. Gdyby nie jakiś swój żołnierz, który wyskoczył po nią, zdążył złapać i wepchnął ją do wagonu, toby tam została. Tej nocy jej włosy osiwiwały, rano były siwe, całkiem.

Że też ty nie osiwiłaś wtedy w Sochach, a powód był może i większy. Mocna jesteś. Za to płakałaś przez rok.

Odebranie dziecku matki – to dla niego stan graniczny. A przecież dziecko nie powinno być dopuszczane do żadnych granic – jeśli ma się normalnie rozwinąć w zdrowego człowieka bez obciążeń. Co w takim razie powiedzieć o pokoleniu, które dzieciństwo spędziło na wojnie? Na przykład ty. Miałaś dziewięć lat i spotkała cię przygoda graniczna. „Wstawaj, córeczko, wstawaj”, usłyszałaś o świcie. Twoja matka była najzupełniej normalna i zachowywała się racjonalnie. Obudziła swoje dziecko słowami: „Wstawaj, córeczko, Niemcy są we wsi, palą domy i strzelają, tu masz sukienkę”. Sukienka była nowa, dopiero uszyta. Wszystko było nowe – dom był dopiero co zbudowany, siostrzyczka nie tak dawno urodzona. I wiosna. Kwitły kwiaty koło domu. Całe życie było nowe i absolutnie przytomne nową, ledwie trochę używaną przytomnością. Miało to życie oczy szeroko otwarte i widziało, jak ojciec cofa się do domu, by wziąć pieniądze, które zostały w pudełku, i jak się przewraca na ścieżce. Słyszało, jak matka krzyczy, że tata nie żyje. Potem patrzyło, jak matka także się przewraca i już się nie rusza. Sukienka się potargała. Przytomność zaniewidziała na długo. No i życie już nie było czyste i nowe, nigdy.

Kto myśli o dzieciach w takich razach? Że nie wolno ich zasmucać, nie wolno straszyć, podprowadzać do krawędzi i tam porzucać? Kto się zastanawia nad tym, czy się takie dziecko rozwine w zdrowego człowieka bez obciążeń?

Nikt.

Nikt idzie na wojnę i zabija nikogo.

Wszyscy chcą zrozumieć...

Wszyscy chcą zrozumieć esesmanów oraz innych morderców, mundurowych i cywilnych. Pojąć zło, jego naturę. *Unde malum?* Odpowiedź wydaje się pierwszym stopniem do zbawienia ludzkości.

Złe dzieciństwo, potworne, traumatyczne, zgotowali Niemcy dzieciom żydowskim, słowiańskim i cygańskim w Europie w latach czterdziestych dwudziestego wieku, rozpętując tę wojnę. Podobno dlatego tak się stało, że ich własne dzieciństwo było straszne. Psychohistoria jako nauka tego dowodzi. Jest taki kontrowersyjny uczonec, Lloyd deMause, który twierdzi, że historia ludzkości zależy od relacji dorośli – dzieci, że dziecięca trauma to koło napędowe wojen, bo traumę się dziedziczy, a potem funduje się ją kolejnemu pokoleniu.

Opisuje on praktyki wychowawcze w Niemczech i Austrii, gdzie aż do lat dwudziestych przetrwała tak zwana czarna pedagogika, czyli wychowanie przez przemoc. Przetrwała, a nawet się usankcjonowała w postaci wielkonakładowych podręczników wychowania. Autor takiego podręcznika nakazywał bicie niemowlęcia dopóty, dopóki nie umilknie. Dzieci były trzymane w ciasnych powijakach, tak że się nie mogły w ogóle ruszać, rzadko były myte, głowy miały jak ser pleśniowy i leżały we własnych odchodach, często jeszcze rzemieniem przywiązane do kołyski. Matki nie karmiły ich piersią (szczególnie na południu Niemiec i w Austrii nie było to w modzie), podobno im się to wydawało wstrętne. W Bawarii umierało prawie sześćdziesiąt procent niemowląt, bo matki dawały im mączno-wodną papkę albo szmatkę z namoczonym chlebem do ssania zamiast pełnowartościowego pokarmu. Takie statystyki przytacza ów deMause i opowiada, że często pozbywano się własnych dzieci przez uduszenie lub utopienie w potoku albo latrynie. Nawet roztrzaskiwano im główki, uderzając nimi o coś. Pozostałe dzieci żyły w poczuciu, że matka czy ojciec w każdej chwili mogą je zabić. Co bogatsi rodzice oddawali swoje nowo narodzone dzieci „niańce”, zwanej *Engelma-cherin* (fabrykantką aniołków), która załatwiała sprawę za nich. Dziewczynki ginęły częściej, dlatego było ich znacznie mniej niż chłopców, podobno...

Inne fakty nie do wiary podaje ten Amerykanin, że dzieci bito, aż skóra pękała, do nieprzytomności, specjalnymi różgami, rzemieniami, „dyscyplinami”; karano je głodem, zamknięciem w ciemnych komórkach, kąpielą w lodowatej wodzie albo sadzaniem na rozpalonej blasze kuchni. Gdy im się zdarzyło z wymiotować albo zrobić kupę, kazano im to zjadać. Bolesna lewatywa była zarówno karą, jak i normalnym sposobem na regularne „czyste” wypróżnienia. Żeby zrobić to dziecku, krępowano je sznurem. Specjalne sklepy były, gdzie się szło z dzieckiem, by mu dobrać odpowiednio długą rurę. W sprzedaży były też szczególne konstrukcje, klatki zapobiegające masturbacji.

W domach, szkołach i placówkach wychowawczych na porządku dziennym były gwałt i molestowanie zarówno dziewczynek, jak i chłopców. Czyli to, co mamy dziś, te afery pedofilskie, to zachowania szczątkowe... Porzucanie dzieci było popularnym procederem; zanotowano, że pod koniec dziewiętnastego wieku uczyniła to na przykład połowa wiedeńskich matek. *Kinderfeindlichkeit* – wrogość wobec dzieci – była niemiłosiernie panującą, oczywistą emocją w domach. To wszystko opowiedział Austriakom w Klagenfurcie ów psychohistoryk

deMause kilka lat temu, kiedy tam z prelekcją przyjechał. Aż się chce zawołać w niebo: Boże, czy to wszystko prawda? Czy to może być prawda?

To wygląda jak esencja z baśni braci Grimmów w wersji nie dla dzieci... A jeśli ten Lloyd deMause to jakiś nawiedzony wariat? Tak jakby usiłuje wybronić Niemców i Austriaków przed Goldhagenem, specjalistą od Holocaustu, który w swoich książkach twierdzi, że Niemcy są immanentnymi antysemitami i ludobójcami, że mają to w naturze. Ale taka obrona jest przecież jak ratowanie tonącego przez wpychanie pod wodę! Bo gdy coś się ciągnie przez pokolenia, to staje się jakby drugą naturą, czy nie tak? Złamani i zniewoleni w dzieciństwie – sami łamali i niewolili, bo tylko wtedy doznawali ukojenia, w tym wzorcu się odnajdywali i doznawali poczucia zintegrowanego ja. Ludobójstwo, Holocaust – to miał być podświadomy odwet na masową skalę, w wymiarze historycznym, ale wyeksportowany z ojczyzny, bo ojczyzna jest święta. Jak karzący rodzic jest groźna i święta, bez niej nie ma życia. Z nią się należało utożsamić, by niszczyć gorsze narody (złe dzieci), doznać wreszcie zbawiennego scalenia w czystej i doskonałej postaci. Odwet jest lekarstwem, chociaż lekarstwo gorzkie... To takie racjonalne. Czyli setki tysięcy oprawców to były zdezintegrowane dorosłe dzieci z nierozpoznanym i niezaklasyfikowanym uszkodzeniem neuronalnym, skutkującym umiarkowaną psychopatią.

I teraz co?

Komu współczuć?

Chyba tylko Panu Bogu.

Wszyscy chcą zrozumieć esesmanów oraz innych morderców. Esesman wydziera dziecko kobiecie, rzuca je na plac, na stos innych, odwraca się i strzela do matki, która jest jednym wyciem, więc i tak nic nie czuje. On powtarza te czynności ileś razy, daje z siebie wszystko. Wreszcie jest znużony. Wraca do domu i patrzy, jak jego żona się krząta. Wdycha zapach pieczonego ciasta, uśmiecha się na widok chłopczyka, który buja się na koniu na biegunach. Cała nieludzkość i bezlitość nagle znika. Tata w domu. Spokój, harmonia, wszystko jest na swoim miejscu.

Setki razy próbowano skleić tę schizofrenię, ale się nie udało. „Banalność zła” się nie sprawdziła, bo zło nie występuje synchronicznie z banałem, ale zmianowo. Na pierwszej zmianie się pracuje w takich a takich warunkach i daje się z siebie wszystko. A potem odprężenie i przeskok do innej sfery egzystencjalnej. Taka naturalna demoniczność...

Żona Rudolfa Hessa, komendanta Auschwitz, mówiła do męża z wyrzutem: powinieneś więcej przebywać z rodziną, a nie tylko praca i praca... Swoje dzieci ubierała w śliczne ubranka po zagazowanych małych Żydach. Ciuszki z second-handu, można by rzec... Pewien esesman z obozu zabierał po prostu swego synka do pracy; mały bawił się na terenie obozu i tylko miał na piersiach tabliczkę z informacją, że jest synem esesmana, żeby go przypadkiem ktoś nie pomylił ze zwykłym dzieckiem i nie zastrzelił...

„Banalność zła” polegała może na tym, że na prośbę Hitlera tak wielka liczba Niemców zgłosiła się i oddała to, co miała najcenniejsze – indywidualne sumienie. To była kolektywizacja sumienia, podobna do tej rolniczej w Rosji. Tam obiecano chłopom: oddajcie swoje małe poletki, a będziecie pracować w jednym wielkim gospodarstwie i czerpać z tego zyski.

Wartością dodaną będzie radość wspólnoty. Radość wspólnoty była też udziałem Niemców. Pracowali na wspólnym moralnym polu. Aż do końca konsekwentnie.

Niemcy nie byli największymi mordercami w dziejach, byli za to najliczniejszą morderczą wspólnotą wszech czasów! To, że politykę Hitlera poparła znaczna część obywateli, wiadomo. Ale może nie wszyscy sobie zdają sprawę, że Niemcy zaangażowali w wojnę największą liczbę ludzi w historii. Dziewiętnaście milionów żołnierzy Wehrmachtu (niektóre źródła podają, że trochę mniej...) i jakieś półtora miliona Waffen-SS. Ile w służbach pomocniczych, tego nie wiem. I tak jest to arytmetycznie przygniatające. Liczby się liczą...

Można się pobawić w zmienianie kryteriów, by otrzymać w kwestii ludobójczej większą różnorodność deseni... Jest w Internecie taki ranking pod hasłem „naj”, dotyczący także innych państw, które dokonywały masowych mordów. Tak więc największą liczbę ofiar zawdzięczamy ZSRR; Anglicy uzyskali pierwszy wynik w konkurencji: najwięcej zabitych na jednego mieszkańca (kolonialne czasy?); najwięcej narodów unicestwiły USA (pewnie im policzono każde plemię indiańskie osobno); Australia zaś zlikwidowała z powierzchni ziemi największą liczbę języków (aborygeńskich języków były setki). Co do Francuzów – ci zainicjowali masowe morderstwa na tle ideologicznym (w XVIII wieku).

Wojna nie umiera nigdy. Tylko zmienia mundury. Ma sesje wyjazdowe do innych krajów. Ma dni, gdy odsypia wielki morderczy wysiłek, a wtedy pracują jej cisi pielęgniarze. Obmyślają taki pokój, który byłby dla niej najlepszy, i polerują narzędzia. Wojna broni się sprytnie na różnych konferencjach, gdzie się omawia nowe strategie pokojowe z użyciem samolotów i okrętów. Wojna jest naszą wspólną sprawą. Użyźnia ziemię, odradza ducha, napędza postęp (*Polemos pater panton...*). Bez niej, z powodu braku napięcia, zgasłyby wszystkie światła na ziemi...

W wojnie cudowne jest to...

W wojnie cudowne jest to, że nagle zło, które jest dla przeciętnego człowieka w okresie pokoju trudno dostępne, ekskluzywne nawet, obarczone przecież sporym ryzykiem kary i społecznego potępienia, staje się prawnie dozwolone, więcej – zalecane i nagradzane przez państwo. Wówczas w ludzkiej duszy najpierw dochodzi do zawalenia się rusztowań poprzedniego „pokojuowego” wzorca moralnego, a na jego miejsce buduje się w trybie przyspieszonym nowa scenografia wewnętrzna, według innej reguły. Mówię „rusztowanie” i „scenografia”, by podkreślić tymczasowość konstrukcji sumienia zwykłego „zewnątrzsterownego” obywatela.

Podczas wojny bywa, że zło, które się tak swobodnie rozpanasza, chce być użyteczne, chce być złem lepszym niż zwykłe zło, chce się zapisać w tabelach, przybić swoją pieczęć, gdzie się da, nawet na ludzkim mięsie, na ludzkiej skórze, systematycznie w majestacie prawa się chce realizować, nawet jeśli to prawo jest szatańskie. Szatan w zaręczawkach z liczydłem. Boże, gdyby w czasie drugiej wojny były komputery, nie liczydła (czy arytmometry), Niemcy zagazowaliby chyba wszystkich poza nordykami, z istotami pozaziemskimi włącznie! I z Marsjan wycisnęliby zielony sok wysokoenergetyczny, żeby była lepsza aprowizacja na froncie wschodnim... Koniunktura Trzeciej Rzeszy nakręcałaby się w tempie megacyfrowym.

No tak, ale ulżyjmy na chwilę tym Niemcom. Rosjanie też się dorobili potężnego zbrodniczego archiwum. I Turcy, którzy w 1915 roku doprowadzili do śmierci półtora miliona Ormian, i Chiny Mao Zedonga, i Kambodża Pol Pota – można wskazywać to tu, to tam na krwawej mapie dwudziestego wieku.

Dołożmy ludzkości en bloc, człowiekowi jako przedstawicielowi gatunku istot morderczych. Widziałam film zrobiony ukrytą kamerą na farmie lisów. Współczesny film, z ostatnich lat. W jednej ze scen pracownicy tej farmy (oprawcy, tu także w sensie dosłownym) z żywego lisa zdejmują skórę. Przez głowę zdejmują, jak sweter z golfem, z żywego lisa. Żywego. To był dwugodzinny film zrobiony w rozmaitych farmach, fermach, ubojniach i rzeźniach w różnych krajach, a ta scena była jedną z mnóstwa podobnych, przekraczających moją wyporność psychiczną. Nigdy nic straszniejszego nie widziałam.

No tak, nie byłam na wojnie. Ale to jest właśnie wojna, wojna stuletnia, tysiącletnia, jaką człowiek prowadzi z przyrodą, stawiając siebie naprzeciwko, a dokładnie – ponad.

– Pamiętasz, że kilometr od waszego sopockiego osiedla, w Bernardowie, w głębi lasu, była hodowla lisów? Tego smrodu nie pamiętasz? Kiedyś poszłam tamtędy z psem na spacer. Miałam z osiemnaście lat, nie więcej. Przechodziłam obok tej fermy, gdy brama się otworzyła i wyjechał traktor z przyczepą. Ta przyczepa była pełna skrwawionych czerwonych tułubów. Zanim przyzwyczaiłam do tego rozumu, nie mogłam z niczym skojarzyć tego widoku. Przyczepa przejechała metr ode mnie, telepiąc się po nierównej drodze. Miałam to wszystko na

wysokości oczu. I wtedy zdałam sobie sprawę, że to co widzę, jest górą obdartych ze skóry lisów. Stałam jak sparaliżowana. W biały dzień piekło pomyliło drogę i przejechało tuż koło mnie...

Ten mały Edek Markowicz – opowiadałam ci, że niósł go na rękach, jak ciebie, niemiecki żołnierz – ten Edek ma z dzieciństwa i inne wspomnienia: widział, jak się na wsi zabija zwierzęta. W ubojni dla bydła z kontyngentów. Mówi, że patrzył, jak chłopci tłukli obuchami siekier dużego byka. Zwierzę żałośnie ryczało, lecz nie dało się powalić. Wreszcie spętali mu przednie i tylne nogi, przewrócili i obcięli głowę kosą. To ci sami chłopci, do których potem podczas wysiedleń niemieckie wojsko strzelało... Wspomina to Edek jako stary człowiek, pamięta ten obraz całe życie, tak samo jak dół pełen dziecięcych trupów i głód silniejszy niż strach.

To się dzieje ciągle, zagłada się nie kończy – te lisy, te żywe krowy podciągane za nogi do zarżnięcia na takich jakby karuzelach, te kury pozbawiane żywcem dziobów i pazurów, jakby nie były one wszystkie z unerwionego mięsa, ale z masy spożywczej jakiejś, abstrakcyjnej. Niestety, nie wiadomo czemu gdaczącej, wyjącej, kwiczącej, wierzgającej. Jakby to nie było życie konkretnych istot, ale od razu mięso.

– Przestań.

– Ale takie też są obrazy naszej cywilizacji, migawki z wojny tysiącletniej. Nie chcemy tego widzieć ani słyszeć. Wobec tego i zabijanie ludzi nie skończy się nigdy. Bo jeśli prawie nikogo nie obchodzi (poza garstką ekopomyślników) zamykanie maleńkich cieląt w pojedynczych betonowych grobach bez światła (supernowoczesna produkcja szczególnie delikatnego mięsa), z których zabiera się je do rzeźni po kilku miesiącach, to dlaczego zabijanie dzieci – gorszych rasowo albo wrogich narodowo, albo po prostu pomiotu podłych sąsiadów – miało by nas obowiązkowo wzruszać? Zawsze się znajdują tacy, co się zatrudnią przy wrzucaniu żywych świń do wrzątku (oczywiście wbrew procedurom...). Zawsze się znajdują tacy, co będą nadziewać niemowlęta na sztachety płotu, tak jak to się zdarzało podczas okupacji w niektórych wsiach (jasne, że takich szczegółów w rozkazie nie było...). A większe dzieci szły tamtędy potem i na to patrzyły. Bo takie obrazki zostały w pamięci ocalonych.

Okrucieństwo przechodzi z fermy do obozu koncentracyjnego bez większego problemu. To tylko kwestia zmiany procedur i nazw towaru na fakturach.

Oczywiście, muszę to powtórzyć: nie wszyscy zdolni są do mordowania dzieci, no i nie wszystkie dzieci są mordowane.

Ale wystarczająco wielu może wystarczająco dużo...

Chłopcy malowani

Ludzie przed wojną byli niższego wzrostu niż my teraz. A chłopci z wiosek we wschodniej Polsce – nawet na tamte czasy byli niewysocy. Za to wojsko niemieckie – chłopcy malowani, sami wybierani! Do Waffen-SS przyjmowano tylko takich powyżej stu osiemdziesięciu centymetrów i nawet jednej plomby w uzębieniu nie miało prawa być! W Wehrmachcie było mniej restrykcyjnie, trochę mniejsze chłopaki też miały prawo do munduru. Dopiero bliżej końca wojny przyjmowano każdego, i cherlaka, i dzieciaka z Hitlerjugend, bo potrzebna była masa uderzeniowa na front wschodni. Chodził Hitler wzdłuż szeregu i tych szczawików po buzi poklepywał, jak nauczyciel wuefu przed meczem, a nie kat z dużym dorobkiem, co ich na śmierć posyła.

Jednak w pierwszych latach wojny jeszcze przestrzegano standardów. I tak naprzeciwno niewysokiego polskiego chłopca w lnianej koszuli, w zimne dni też i w marynarce albo kurcie jakiejś, stawał rosły wojak w szerokoramiennym mundurze, spiętym skórzanym pasem z wiadomym napisem wyrażającym Boże poparcie. Nawet jeśli dopiero co, parę lat wcześniej, w swojej ojczystej wiosce sam był traktowany jak nieuk i gapa i codziennie brał kopa w dupę od kolegów w szkole, a wieczorem ojciec mu dokładał rzemieniem z metalową skuwką, to w tej sytuacji wreszcie on był panem, herosem, nadczłowiekiem, i to było widać gołym okiem. Nawet mój dziadek, trzydziestotrzyletni, który był barczystym mężczyzną o wyraźnie zarysowanej, mocnej szczęce, musiał się przy takim Übermenschu wydawać wątkły w swej koszuli lnianej, z gołą głową. Cywil, jak to brzmi... A chłop – jeszcze gorzej. Podczłowiek z podwioski, aż się prosi, żeby go zastrzelić.

Spalić taką wioskę jak Sochy to było nic. Drewniane domki kryte strzechą – co to jest w ogóle? Jacyś brudni, prości podludzie w podwioskach, których trzeba usunąć, robactwo ze Wschodu. Podobna argumentacja skutkowałą w Rwandzie pół wieku później, tyle że tam Hutu robactwem nazywali Tutsi – ludzi uważanych powszechnie za inteligentniejszych, lepiej wykształconych i paradoksalnie – antropologicznie doskonalszych. Czyli robał to robał, każdy może dostać taką ksywę, jeśli propaganda tak zdecyduje...

No, Sochy to nie była jakaś bogata wieś, nie taka jak Oradour albo Lidice, gdzie chodniki były brukowane. Choć znalazłam zdjęcia podlubelskiej wsi, w której były i ulica, i chodnik z kamienia (ta wieś też poszła z dymem). Podobno niemieckim żołnierzom łatwiej się podpalało te drewniane chałupy pod słomą, bo oni tego nie kojarzyli tak wprost z budownictwem. Tak samo jak ubogich ludzi w skromnej odzieży nie kojarzyli z człowieczeństwem. O wiele łatwiej się strzela do istot, które są zdefiniowane inaczej niż strzelający podmiot. A definicji Słowian nauczyli się na szkoleniach, więc mieli to uporządkowane. Hierarchia była ustalona nadzwyczaj szczegółowo, a Słowianie wcale nie byli na samym dole drabinki. Najniższy szczebel zajmowali oczywiście Żydzi, wszyscy Żydzi, jak jeden mąż. Intelktualiści i krawcy, muzycy i rabini, piękne kobiety i brudne żebraczki. Oni chyba nawet na tej drabinie ludzkości nie mieli szczebla wcale, stanowili nawóz tej ziemi.

„Panie, nie zabijaj, my niewinni”, wołali wieśniacy pod lufą. Klękali, całowali buty. Zło

miało porządne buty. W którym kopyto diabelskie było? W tym, co kopało ludzką głowę. W wielu relacjach z wielu wiosek pojawia się taka feudalna scena.

„Panie, ja nie winien, nie zabijaj. Panie, co to dziecko winne?! Nie zabijaj...” – w Sochach też tak wołali.

Jest taka scena w tym strasznym filmie Elema Klimowa *Idź i patrz*, opartym na prawdziwych wydarzeniach, które się rozegrały w biednej białoruskiej wiosce, na wydarzeniach tak prawdziwych, że się aż wydają nieprawdziwe... Młody, rosły, cudownie proporcjonalny esesman, który jak Ken, mąż Barbie, wygląda, informuje stłoczonych w drewnianym budynku wieśniaków, przeznaczonych do spalenia żywcem, więc krzyczących ze strachu, mówi im, żeby zostawili w środku dzieci, a wtedy będą mogli wyjść. „Kto nie ma dzieci, może wyjść przez to okienko. Dzieci zostawić”. W tym momencie krzyk się robi jeszcze większy.

Potem, po spaleniu wszystkich, gdy pojawiają się partyzanci i mają w odwecie zabijać tych Niemców (i białoruskich kolaborantów), ów piękny esesman, zgodnie ze swoją młodzieńczą ideologią, dopowiada: „Wszystko bierze początek od dzieci. Nie powinniście istnieć”.

Casus Agamemnona? Dziecko zawsze stać się może początkiem niepożądanego ciągu dalszego. Co inteligentniejsi wojownicy dobrze o tym wiedzą.

Dobrzy rodzice, źli rodzice

Kim byłabym, gdyby nie Niemcy? (Którzy spalili wieś mojej matki, rozstrzelali jej rodziców, ciotki, stryjów, kuzynów, a ją samą posłali do diabła, czyli na poniewierkę). Miałabym dom po dziadkach? Miałabym sklep z oranżadą? Miałabym ojca z sąsiedztwa, a nie z Pomorza? Byłabym nauczycielką w wiejskiej szkole i nie miałabym czasu na pisanie książek? Tej książki na pewno bym nie napisała. W jakimś sensie Niemcy są sprawcami mojego obecnego losu, nadali kierunek i kształt mojemu życiu, wyrzucając z ustalonej orbity moich przodków. Koncepcja zła jako braku dobra wydaje mi się dobrotliwym pomysłem cioci, co starą panną została... Ekspansywne i twórcze może być zło.

Pomyśl, mamó. Straciłaś dobrych rodziców. Ale są tacy, którzy stracili złych. Im jest jakby gorzej. Taka Monika, córka Amona Götha, komendanta obozu w Płaszowie – całe życie zmarnowane. Ojca jej, oczywiście, po wojnie powiesili (-śmy, my, Polacy), trzy razy go wieszali (-śmy), bo słabo spadał, zapadnia była marna, szarpnięcie pętli zbyt delikatne. Widziałam dokument. „Miał lekką śmierć”, stwierdziła na tym filmie jedna z jego niedoszłych ofiar, Helena Hirsch. Matki Monika nie kochała, nie umiała; ta, swoją drogą, po latach popełniła samobójstwo. Córka Moniki została narkomanką. A ona sama? Żyje z gnijącą duszą, bo poczucie winy powoduje u człowieka wygniwanie duszy. Nawet go nie znała, tego swojego ojca, którego nigdy nie nazwała tatą. Urodziła się w 1945 roku, gdy już był w więzieniu.

Poczucie winy za zbrodnię ojca – czy to nie dziwne zjawisko u ludzi? Dziwne, ale do wyjaśnienia: geny są nieśmiertelne, przenoszą się z ciała do ciała i przemawiają do swego nosiciela od środka, cały czas informując pozawerbalnie, kim jesteśmy. I Monika musi znosić w sobie Amona Götha. Jest wysoka jak ojciec, więc widać ją zewsząd, choć wolałaby zniknąć. Nienawidzi swojej tkanki, przesyconej genami zbrodniarza. O córce innego zbrodniarza wojennego, Göringa, wyraziła się: „ta jego przeklęta córka”... A to taka śliczna dziewczyna była, ta Edda. „Nigdy nie będę mieć litości dla dzieci zbrodniarzy”, powtarza Monika. To znaczy tyle, że i dla siebie nie ma litości, że i siebie nienawidzi, dokładnie to. Obejrzała *Listę Schindlera*, a tam przez pół filmu jej ojciec jak żywy: uśmiecha się, rozmawia. I co chwila kogoś zabija. I patrzy na nią z ekranu tymi oczami smutnego węża. Ależ ten aktor, Ralph Fiennes, umiał zagrać spojrzeniem to coś! Geniusz po prostu. Wyobraź sobie, że z ekranu, jak z zaświatów, przychodzi twój ojciec. Rozpoznajesz w nim swoje gesty, grymasy, motorykę ciała. Czujesz łączność, nie ma na to rady. A on co chwila kogoś zabija. Bez żadnego powodu. Człowiek, w którym jest tyle ciebie! Musisz siebie znienawidzić. A nienawiść do siebie jest jak pół samobójstwa, jakby się było w ciąży z własną śmiercią. Ty też, mamó, nosisz śmierć w sobie, ale to jest śmierć dobrych rodziców, czysta sprawa...

Monika po sześćdziesięciu latach zapragnęła spotkać Helenę Hirsch, niedoszłą ofiarę Amona Götha. I umówiły się w Płaszowie, na tych poobozowych łąkach śmierci. Monika, chuda i wysoka, kołysze się jak trzcina nad niedużą Heleną, drży... Osa skądś przyleciała i wokół Heleny krąży, a Monika tę osę odgania odruchowo, długimi rękami macha, z pewną taką czułością dla tej Heleny, ale i zarazem jakby bez energii, jakby w zwolnionym tempie.

Bo czy można jeszcze coś uratować? Życie jest już takie zmęczone tą żalobą, tą pokutą, takie zmęczone...

I się żegna, odchodzi nieco chwiejnym krokiem, wysoka jak ojciec, chyba o głowę wyższa od Heleny, idzie drogą wśród trawy, która porasta cmentarzysko ofiar Amona. Córka złooczyńcy, którą widać zewsząd.

Natomiast córka tej uratowanej Heleny, Vivian, powiedziała, że dziedziczy cierpienie swojej matki, że jest ofiarą w drugim pokoleniu. Tak zresztą ów dokument się nazywa, *Dziedzictwo*. Vivian mówi na tym filmie, że potrafi sobie tamto wszystko wyobrazić i że nieraz czuje ból. To rodzinne empatyczne połączenie tak nam robi. Geny te same, zapamiętały doświadczenie przodków i się odzywają porozumiewawczo. Nie uwierzyłabym, gdybym i ja tego nie przeżywała podobnie. Twoja historia, mamó, wszyta jest w podszewkę również mojego życia od początku i zawsze czułam ją jak kłujący nożyk w wewnętrznej kieszeni.

Traumę się dziedziczy jakimś epigenetycznym trybem. Istnieje coś takiego: dziedziczenie cech nabytych, choć nie wszyscy uczeni się z tym zgadzają. Jakiś bodziec ze środowiska powoduje zmianę wyglądu lub zachowania danego osobnika, dajmy na to – muszki czy myszki, i ta cecha pojawia się potem u potomstwa, pomimo że czynnik sprawczy już usunięto. Sprawdzono, że geny pozostają niezmienione, żadna mutacja nie zachodzi, ale zmienia się tak zwana ekspresja genu. W dodatku potomstwo może zareagować na powrót owego czynnika jeszcze gwałtowniej niż osobnik wyjściowy, z powodu przekazanej awersji. Takie eksperymenty przeprowadzono na przykład na Uniwersytecie Stanforda w USA, ale i tak nie wszyscy uczeni przyjmują ich wyniki do wiadomości.

Ja też najchętniej bym się nie zgodziła, jednak owa ekspresja genowa była silniejsza ode mnie. Mam na myśli chorobę sierocą, którą odziedziczyłam po tobie. A po mnie moja córka. Po ciotce Kropce odziedziczył ją jej syn, nawet jedna z córek wujka Jasia też to miała. Patrzyłam z prawdziwą przykrością na moją siedmiomiesięczną córeczkę, która ledwie się podniosła na dłoniach i kolanach, natychmiast zaczęła się rytmicznie kiwać w przód i w tył. Ja się kołysałam na siedząco, a przed snem na prawym boku, wyłącznie na prawym. Przez trzynaście lat. Przez trzynaście lat nie mogłam zasnąć bez toczenia głową po poduszce. Odkąd się dowiedziałam, że to jest brzydkie zachowanie, robiłam to w tajemnicy, cierpliwie czekając na stosowną chwilę. Najtrudniej było latem na koloniach, mijała czasem nawet godzina i dłużej, aż inne dzieci w sali posnęły. Dopiero wtedy wchodziłam w dobrze znany rytm. Wstydyłam się, a jednocześnie nie potrafiłam inaczej pokonać niepokoju, który obnażał się szczególnie pod koniec dnia. Spod mnóstwa kolorowych wydarzeń, które działy się od rana do wieczora, wychodziło na wierzch jakieś głucho i nieme, ciemne i puste coś. Jakby się miała jeszcze jakaś ważna rzecz wydarzyć, ale nie mogła. Nie mogła się wypoczwaryć, tylko się tak zapowiadała, tak się tliła jałowo, męcząco, i nic. To się uspokajało dopiero podczas kołysania. W efekcie ubocznym włosy po prawej stronie miałam zawsze bardziej skołtunione i policzek bardziej zaróżowiony. Jeśli miałam zapalenie ucha, to tylko prawego. Byłam niesymetryczna i zachwiana, chyba także psychicznie. Każda trochę bardziej napięta sytuacja wprawiała mnie w tę szczególną dynamikę, która mnie szczęśliwie otumaniała. W ciągu dnia też musiałam... Opierałam się o ścianę i waliłam w nią plecami. Tak było najszybciej. Zmęczyłam się, ogłuszyłam, i był spokój.

Jak to jest, mamó, pytałam po latach, gdy obserwowaliśmy przedwieczorne zachowanie

mojej córeczki, przecież to ty jesteś z sierocińca, nie my! Nie wiedziałaś, a nauka w tamtych latach jeszcze nie była na takim poziomie, żeby dojrzeć owo dziedziczenie ponadgenowe. Także pani w przedszkolu, do którego zaprowadzałam moją Rózię, miała inną wiedzę o niepożądanych zachowaniach trzylatków i któregoś dnia z zażenowaniem mnie poinformowała, że moje dziecko się kiwa na czworakach, w sytuacji na przykład takiej, że inne zabrało mu zabawkę. Przez co przeszło to dziecko, pyta przedszkolanka szeptem ponad głowę mojej Rózi. Czy nie pochodzi z adopcji, dajmy na to... Pochodzi, od sieroty całkowitej pochodzi, od nagłej i totalnej sieroty, w prostej linii. Tak mogłam jej odpowiedzieć, ale stosowałam jeszcze wtedy zasadę wychowawczą taką, że się przy dzieciach nie mówi o sprawach, których one nie rozumieją. Tym bardziej że i ja sama nie rozumiałam, skąd się brało to kołysanie w rodzinie.

Bobo, aniołek...

Że Adolf Hitler nie urodził się potworem, że mógł być na początku swojego życia dzieckiem takim jak inne, to wszystkich strasznie dziwi! Szymborska wyraziła to zdziwienie zgodnie z powszechną intuicją. Pamiętasz ten wiersz na pewno: „Bobo, aniołek, kruszyna, promyczek”, potem dalej tak to idzie: „Smoczek, pieluszka, śliniaczek, grzechotka, chłopczyzna, chwalić Boga i odpukać, zdrów, podobny do rodziców, do kotka w koszyku, do dzieci z wszystkich innych rodzinnych albumów...”. Niewinność tego akurat niemowlęcia jest nie do uwierzenia! Jest niemożliwa, przecież potwory są wstrętne od początku! Na przykład węże, krokodyle, skorpiony nie budzą w nas czułości nawet jako maleństwa. Mają swoje przeznaczenie wypisane „na twarzy” od razu. Hitler powinien być mieć jakiś znak szczególny, prawda? Wskazujący, że nie jest niewinny, że nie jest słodki i dobry, żeby można go było od razu sprawiedliwie nie lubić. Dziecko ludzkie to nie jest tabula rasa, jak chcieli oświeceniowi idealisci. Jakieś brudki i paproszki przynosi ze sobą na świat, choćby rodzice na kryształowym stole je spłodzili.

Akurat synek państwa Hitlerów spłodzony został niezbyt „czysto”, bo pochodził z kazi-rodzego związku. Jego matka była siostrzenicą swego męża i całe życie mówiła do niego: „wujku”. Kochała bardzo swego synka o oczkach jak guziki, bo poprzednie jej dzieci umierały w niemowlęctwie. Karmiła go piersią aż trzy lata, co wcale nie było w tamtych czasach rutyną. I bardzo się bała swego męża-wujka Alojza. Mały Adolf, zwany Adim albo Dolfim, bał się jeszcze bardziej, bo bity był na okrągło przez ojca, jeszcze zanim wyrósł z pieluch. Bykowcem ze skóry hipopotama... Nieraz się ten dzieciak posikał ze strachu, zanim spadł na niego pierwszy cios. To ta czarna pedagogika... Potem zresztą, gdy dorósł, sikanie odegrało znaczną rolę w jego życiu erotycznym, tak samo jak bicie i kopanie. Bez tego nie wiedział, że żyje.

To wszystko smutne bardzo i żałowałabym malca, gdyby nie wyrósł na psychopatę, który zarządził śmierć pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu milionów ludzi. Trochę dużo jak na akt indywidualnej zemsty, margines błędu jest wielkości arytmetycznego oceanu. Mógłby sobie po doroseniu zakatrupić tatusia i na tym poprzestać. Niestety, odziedziczył po nim także podły charakter. Genetyczne „brudki i paproszki” w tym przypadku wydzielały odór całkiem niemetaforyczny, Adi śmierdział już jako małe dziecko, jego przyrodnie rodzeństwo nazywało go śmierdzielem. Nikt z nim nie chciał w jednym łóżku spać. Miał cuchnący oddech, potwornie się pocił, miał wzdęcia, zgagę, odbijało mu się... Jadł jak prostak, szybko i bez smaku, byle do deseru. Kompulsywnie obżerał się ciastem i czekoladą przez całe życie. Przed nastoletnimi dziewczynkami popisywał się, bijąc swoje ukochane psy. Swoje ukochane kobiety zaś – trochę później oczywiście – doprowadzał do samobójstwa, wszystkie, to bowiem, co z nimi robił, nie mogło wyjść na jaw... Nawet Ewa Braun wiele razy chciała się zabić z powodu Adolfa, jednak zarazem przemożnie pragnęła legalizacji związku z nim... No i połączyła jedno z drugim.

Można, naprawdę można szczerze nie lubić Hitlera od najmłodszych lat jego życia, kiedy się je pozna! A wiesz, mamó, że jego babka była wioskową nędzarką, spała w korycie

w oborze? Twój dom w Sochach to byłby dla niej pałac po prostu!.. Może i dlatego Hitler kazał palić wioski, zabijać chłopów, bo on w ten sposób unicestwiał w sobie własnych przodków, swoje podłe pochodzenie wypalał żywym ogniem.

Szkoda, że Freud już nie żył, gdy Hitler popełnił samobójstwo, mógłby napisać rozprawę swego życia: pełen bukiet najbardziej wybujałych kompleksów w jednym pacjencie! A to, że go Führer w ogóle wypuścił z Rzeszy tuż przed wojną, to cud. Kazano Freudowi przed wyjazdem podpisać papier stwierdzający, iż rząd niemiecki (a w szczególności gestapo) obchodził się z nim dobrze i traktował go z szacunkiem. I on to podpisał. Zrobił nawet cwany dopisek: „Z całego serca mogę polecić usługi gestapo każdemu”. Majstersztyk po prostu. Cztery jego siostry zginęły w obozach koncentracyjnych, ale szczęśliwie już tego nie dożył.

Że nie wszystkie dzieci są niewiniątkami – wiadomo. Nie opowiadałam nigdy nikomu takiej mojej przygody z czasów szkolnych, z Kołobrzegu. Poszłam z koleżanką na wagary któregoś wiosennego dnia, wzięła mnie do towarzystwa. Była ze starszej klasy, mogła mieć z jedenaście lat. Ja, trzecioklasistka, uznałam to za wielkie wyróżnienie. To nie były moje pierwsze wagary, ale pierwsze pełnowymiarowe i – plenerowe. Bo uciekłyśmy z lekcji na Janiska, pod miasto, nie tak daleko, kilometr czy dwa asfaltową szosą. Kusiły nas tamtejsze poniemieckie zarośnięte ogrody, zdziczały sad, bunkry czy piwnice ziemne, nieużywana studnia, „zakazona”, z utopionym lisem. To było miejsce tajnych wycieczek kołobrzeskich dzieci.

Nie znałam bliżej tej dziewczynki, ale pamiętałam ją z zuchowych zbiórek, należała do innego zastępu. Poszliśmy na Janiska i biegaliśmy z kijami w poczuciu świeżo zdobytej wolności. Było południe, było zielono, było ciepło. Na niezaoranym polu mnóstwo krecich kopczyków, ziemia oddychała. Tuż obok rozciągała się mokra łąka, na której poprzedniej wiosny podczas wycieczki klasowej moi koledzy łapali żaby, by je nadmuchiwać przez słomkę, aż pękną.

Nie pamiętam imienia tej dziewczynki, nie pamiętam, jak wyglądała, pamiętam tylko, że była większa ode mnie i miała proste włosy, które opadały jej na twarz, gdy pochylała się nad kopczykiem i grzebała w nim kijem.

Podbiegała do coraz to innego kretowiska, a ja za nią. Nagle się zamachnęła i uderzyła. Zawołała mnie i wskazała coś w trawie. To coś podobne było do chomika, tylko większe. Albo do świnki morskiej, tylko mniejsze. „To kret – powiedziała dziewczynka i znów się zamachnęła. – Jest ślepy, wiesz?” Nigdy wcześniej nie widziałam kreta, wpatrywałam się w niego z ciekawością pomieszaną z lękiem. Leżał na boku, nie uciekał. Był czarny, miał jasne łapki, jak lalczynie rączki. I błyszczące futerko. I rzeczywiście nie miał oczek. „Mieszka pod ziemią i nigdy nie wychodzi”, wyjaśnia dziewczynka i wykrzywia się z obrzydzeniem. „A ten wyszedł”, dodaje. Znów się zamachnęła i widzę, jak jej gruby kij uderza w czarne ciało, a ono podskakuje, jak woreczki z kaszą, które mamy do ćwiczeń na gimnastyce. „Krety trzeba zabijać – mówi – są wstrętne”. I uderza, uderza, uderza z pasją. I przy tym uderzaniu woła: „Ty, śleporodzie, ty!”. A ja stoję tuż obok i patrzę jak urzeczona, nie rozumiejąc tego widoku. Nie mówię „nie”, bo chyba nie wiem, że można. Kret jeszcze się porusza, ja się nie poruszam. I czuję, że to jest zagadkowe, nieprzyjemne, złe, ale konieczne. A może tylko widzę to, co widzę, i wypełnia mnie to całą, nie ma miejsca na nic więcej. Gdy wreszcie słyszę „zdechł”, czuję ulgę. Nieżywy kret jest naprawdę wstrętny, miała rację. Koniec. No i po co ten kret wyszedł na wierzch? Mógł siedzieć pod ziemią. Wtedy nic by się

nie stało. Która z nas to mówi?

Zła dziewczynka to także ja.

Dzieci bywają niebezpiecznie wynalazcze, ale zgodnie z tendencjami, które charakteryzują ludzkość w ogóle.

Dzieci na Białorusi na przykład, dzieci, którym Niemcy zabili rodziców i które głodowały tak, że jadły trawę, liście z drzew, tynk ze ścian – więzy rodzinne z nich opadły, a wraz z nimi także więzy łączące je z kulturą ludzką. One się w dzikie dzieci zmieniły w sposób najzupełniej naturalny. Zdarzyło się, już potem, po przejściu frontu, że na trupach niemieckich na kość zamarzniętych jak na sankach zjeżdżały, z górki, na ślizgawce. To tylko pozornie jest demoniczne, a w istocie proste i pragmatyczne. Na przykład Jakuci na Dalekiej Północy robili płozy do sań z zamrożonych wielkich jesiotrów, które przywiązywali rzemieniami do siedzisk. A co pisze swobodny pamiętnikarz polski z siedemnastego wieku, Jan Chryzostom Pasek? Że martwe a tłuste ciało Szweda podczas wojny było mu wygodnym łóżkiem... Znane są liczne przypadki, gdy oficerowie wkładali przemarznięte stopy w rozprute brzuchy prostych żołnierzy, by się ogrzać na mrozie, wprzódy zaś sami owe brzuchy rozpruwali. Zdaje się, że podczas wyprawy napoleońskiej na Moskwę. Jaś, mój wujek – i pewnie niejedno bystre wiejskie dziecko – gdy już jako sierota do pasania krów był brany, o świcie boso wybiegał na pokrytą jeszcze szronem łąkę i niecierpliwie czekał, aż bydłatko kupę za sobą zostawi. I w tę świeżą, parującą masę, co dopiero krowi brzuch opuściła, wchodził, aby jak długo się da, grzać skostniałe nogi. To wszystko proste, przychodzi do głowy dziecku, przychodzi do głowy i dziecku w dorosłym.

Albo te dzieci żydowskie w pociągach do Treblinki, w których wieziono je bez jedzenia i picia nieraz kilka dni, choć to było tylko sto kilometrów od Warszawy – one wzajemnie zlizywały swój pot. Wpadły na ten prosty pomysł. Może i lzy piły własne, dopokąd jeszcze mogły płakać. Piękne i straszne, prawda?

Obiekt w ruchu

NKWD i Gestapo. Braterstwo krwi – taki film dokumentalny puściła polska telewizja niedawno. Późno w nocy. Wreszcie jest wgląd (częściowy) do archiwów sowieckich, pokazują światu czerwony rąbek tajemnicy. A tam krwawe cuda... Na przykład dokumentacje tortur i sposobów uśmiercania, które w latach trzydziestych doskonalili bolszewicy i hitlerowcy, jedni i drudzy, ściśle ze sobą współpracując. Wizytowali się wzajemnie, wymieniali doświadczenia. Masowe rozstrzelanie wrogów ustroju w Związku Radzieckim, a w Niemczech likwidowanie (na przykład w obozach koncentracyjnych, wzorowanych na radzieckich łagrach) antyfaszystów i „rasowo niewłaściwych” były konsultowane. Choćby pomysł trucia spalinami samochodowymi Rosjanie „sprzedali” Niemcom, a ci go potem udoskonalili. Podczas spotkań NKWD i gestapo odbywało się coś w rodzaju dzisiejszych konferencyjnych prezentacji, tylko nie mieli jeszcze wtedy laserowych wskaźników. I dokładnie te same metody podczas przesłuchań stosowali, historycy z obu stron to podkreślają. Tylko hitlerowcy byli dokładniejsi, a stalinowcy szli bardziej na żywioł. Kwestia temperamentu narodowego.

Ten żywioł się objawiał też w zabawach w trakcie pracy. Na przykład taki pomysł z zabijaniem jedną kulą paru osób. W przedwojennych więzieniach NKWD strażnicy robili zakłady o to, który więcej przestrzeli; ustawiali więźniów jednego za drugim, uwzględniając oczywiście siłę rażenia pocisku kalibru siedem, sześćdziesiąt dwa. No i różnie bywało z tym wynikiem. Amon Göth, komendant obozu w Płaszowie, mógł o tym słyszeć jeszcze przed trzydziestym dziewiątym rokiem, a jeśli nie, to na taki pomysł nietrudno wpaść, gdy się ma tę żyłkę do sportu. Amon ćwiczył na balkonie swojej willi zabijanie jednym strzałem matek z dziećmi na rękę. Tak żeby i matka, i dziecko padły od tej samej kuli. Chodziło o próby sprawnościowe. To nie takie łatwe, no bo spróbuj za jednym zamachem położyć matkę z dzieckiem, gdy są na przykład w ruchu. Podwójny obiekt jest żywy, idzie, schodzi z toru, skręca, zawraca, nie wie, że masz go na muszce. A ty spokojnie wodzisz za nim wzrokiem i lufą. I czekasz, żeby się właściwie ustawił w płaszczyźnie pionowej. Dziecko na tle matki, jak podczas zaćmienia cień księżycy na słonecznej tarczy. Wtedy pyk – i obiekt jest martwy. A jeśli nie i trzeba któreś dobić, to znaczy, że się nie udało.

Nieraz myślę o tym żołnierzu, który strzelał do mojej babci z Kropką w ramionach. On strzelił kobiecie w usta. To też był jakiś pomysł.

Powtarzamy w kółko: Niemcy, Niemcy. Ewentualnie: hitlerowcy. Tymczasem od lat trwa już dzielenie winy. No bo ile można na tych Niemców tak nadawać? Świat już się dawno znudził Niemcem winowajcą. Tym bardziej że faktycznie, w Waffen-SS i Wehrmachcie, szczególnie pod koniec wojny, to już pełno było nie-Niemców, rozmaitych obcoplemiennych „sympatyków”. Z nieprzepisowym wzrostem i morfologią niezgodną z ideologią... Tak, bądźmy wreszcie sprawiedliwi, Niemcy wciągnęli do swego wojska niemal wszystkie europejskie nacje: Węgrów (moich ukochanych Węgrów!), Rumunów, Francuzów, Holendrów, Szwedów, Norwegów, Litwinów, Łotyszy, muzułmańskich Bośniaków i w ogóle Słowian, znanych z łatwowierności... Ba, nawet Żydzi walczyli ramię w ramię z sojusznikami Hitlera

przeciwko aliantom – na przykład w armii Finlandii, która swoich Żydów traktowała jak ludzi i sprawiedliwie wcielała w szeregi faszystowskiego wojska.

Historia jest dynamiczna, ma swoją archiwistykę, ma i futurologię... Dziś już się mocno podkreśla współdziałanie, współwinę, pasywną zgodę. Wiadomo też, że nie ma lepszych i gorszych narodów, każdy może dokonać złego wyboru, każdy zdolny jest do okrucieństwa. I tylko jeśli chodzi o antysemityzm, to Polacy są wyjątkowi. Bo Polacy jako naród „nie ochronili” swoich Żydów, których mieli notabene najwięcej w Europie. Tych francuskich, holenderskich, węgierskich Żydów, przysłanych przez administrację francuską, holenderską i węgierską, też zresztą nie... Jak to się mogło stać? Ofiary powinny sobie pomagać, a nie starać się przeżyć jedne kosztem drugich. To prawda. Jedną z wielu prawd wielkiej wojny – że ofiary są czasem nie w porządku... To sarkazm, przepraszam. Jasne, że wiem, że na terenie Polski uratowało się procentowo mniej więcej tyle samo Żydów co w innych krajach, czyli ilościowo najwięcej, przy czym tylko w Polsce za ukrywanie Żyda groziła śmierć całej rodzinie. W każdym kraju są szuje, gnoje, padalce, zdrajcy, sprzedawczyki, bydlaki, sadyści. *A massa tabulettae* wszystkich społeczeństw jest ani zła, ani dobra, lecz plastyczna, przestraszona, na podtrzymanie własnego tylko bytu nastawiona. Dlatego tak się denerwuję, gdy się akurat polski antysemityzm wyciąga za ucho do tablicy. Z Polaków się robi antysemitów *en bloc*...

Ja też jestem *massa tabulettae*. Nigdy nie zapomniałam ani jednej sekwencji tamtego zdarzenia z kretem na Janiskach. Widzę siebie, jak stoję, nic nie robię, nie mówię: nie, nie przerywam, nie zapobiegam ani jednemu uderzeniu. Gdy zobaczyłam tego roku nową reklamę na przystanku autobusu 102 pod hasłem: „Twoja niemoc wspiera przemoc”, odniosłam je do siebie natychmiast. Wskaźnik mojej świadomości błyskawicznie odnalazł tamtą scenę w przepastnej przeszłości i przyszpilił ją jeszcze mocniej.

Wiem, że gdyby los mnie ustawił na ulicy okupowanego miasta i kazał patrzeć, jak uzbrojeni żandarmi katują człowieka, Żyda czy Polaka, wszystko jedno, nie rzuciłabym się na ratunek. Na pewno. Na pewno. Wróciłabym do domu i płakałabym. A swoje dzieci przywiązałabym do nogi od stołu, żeby nie wychodziły na zewnątrz.

Bardzo, bardzo trudno jest się przeciwstawić.

Całopalni

Przed wojną we dworach prawie zawsze w salonie stał fortepian albo chociaż pianino. Czyli ktoś tam grał. A pod koniec wojny taka scena się wydarzyła we wsi Żerosławice. Naprawdę, nie w filmie. Ci, którzy tam wtedy byli dziećmi, pamiętają, więcej – nie mogą zapomnieć. Przeczytałam o tym w zbiorze dziecięcych wspomnień z wojny. No więc do dworu w Żerosławicach Niemcy przywieźli czterdziestu skrupowanych ludzi, zamknęli ich w stodole i w spichrzach i podpalili. W międzyczasie wyniesiono ze dworu fortepian, na środek podwórza. Do instrumentu zasiadł dowódca egzekutorów. To był koncert na wolnym powietrzu, prawie jak w warszawskich Łazienkach czy w amerykańskim Tanglewood, tyle że scenografia płonęła. I wyła, bo płonęła żywcem. Ogień huczał, skazańcy wyli, a ów pianista grał i grał. Beethovena? Mozarta? Trudno powiedzieć... W każdym razie był to utwór na fortepian i czterdzieści głosów z ognia. Taki koncert. Dla dzieci nie do zapomnienia...

Czasami spalenie trwa sekundy. Sto tysięcy ludzi może wyparować w jednej chwili. Jak w Hiroszimie. Japończycy byli winni okropnych wojennych okrucieństw i zostali za nie ukarani. Oni i ich dzieci...

Te dzieci, które przeżyły apokalipsę, jakiej nigdy żaden filmowiec nie zasymuluje, choćby miał do dyspozycji wszystkie efekty specjalne świata, te dzieci jeszcze trochę żyły potem i w tym czasie opowiedziały, co czuły i widziały.

Sachiko mówi: „Ponieważ mój dom znajdował się niedaleko miejsca, w którym wybuchła bomba, moja mama zmieniła się w biały proch na naszym ołtarzu rodzinnym”.

Jedenastoletnia Sachiko 6 sierpnia 1945 miała pięć lat. Nie wiem, jak jest teraz, ale wtedy w Japonii ludzie mieli domowe ołtarzyki. Ta mama zapewne, jak co rano, przed tym ołtarzykiem składała hołd duchom zmarłych. Owego piekielnego dnia w Hiroszimie i przez wiele następných dni mnóstwo dzieci, poparzonych i półprzytomnych, błąkało się samotnie po zburzonym mieście, wśród ruin, wśród spuchniętych albo zwęglonych trupów. Dopalały się domy w niebieskawozielonym ogniu, a twarze tych, co żyli jeszcze, pokryte były pęcherzami, szerniały, spotworniały.

Yoshimi mówi: „Z jakiegoś spalonego tramwaju pozostał tylko szkielet, a w jego wnętrzu znajdowali się spaleni na węgiel pasażerowie. Widok ten napełnił mnie trwogą i trzęsłam się cała...”.

Yasuhiro mówi: „Opodal kilkoro dzieci krzyczało przenikliwie pod zwałami domu. Pokrwawiony mężczyzna, ojciec, usiłował unieść do góry dach, ale oczywiście nie był w stanie nawet go poruszyć. Biegał jak opętany, wzywając pomocy, jednak wszyscy mijali go, sprawiając wrażenie szalonych. Odwróciłem oczy w kierunku rzeki Ohta. Wypełniały ją domy i tumany pyłu, jakby cała była zabudowana...”.

Tokiko mówi: „Zawołałam: «mamo», ale nie usłyszałam głosu mamy. Choć wołałam coraz głośniej, nie doczekałam się odpowiedzi. Rzuciłam się na jej piersi, płacząc bez końca. Pewnego ranka, gdy się obudziłam, zmarł mój brat. Potem jeden po drugim wszyscy pomar-

li...”.

Toshi mówi: „Ojciec zwrócił się do mnie: «Zajrzyj do tej skrzyneczki». Otwarłem ją, popatrzyłem i ujrzałem w niej prochy mamy. Ten widok sprawił, że poczułem się nagle, jakbym wpadł w otchłań morza...”.

Kiyoko mówi: „Naprzeciw nas siedziała dziewczynka w moim wieku. Na całym ciele miała poparzenia i rany. Nieustannie wołała swoją mamę. Nagle zwróciła się do mojej: «Przepraszam, czy pani jest z dzieckiem?». Okazało się, że ta dziewczynka nie widzi. «Proszę to dać pani dziecku», i wyciągnęła do niej pudełko z jedzeniem. To było śniadanie do szkoły, które dostała rano w domu. «Nie chcesz tego sama zjeść?», zapytała moja mama. «Ja wkrótce umrę, proszę to dać córce. – A potem jeszcze: – Jeśli pani spotka moją mamę, to proszę jej powiedzieć, że jestem tutaj, dobrze?», wymieniła swoje imię i zaraz wydała ostatnie tchnienie, umarła. Mama i ja płakałyśmy...”.

Obie dziewczynki, Kiyoko i ta druga, która straciła wzrok, miały dziewięć lat. Tak jak ty, mamó, wtenczas w Sochach.

Te dzieci, które zginęły w atomowej apokalipsie, zostały symbolicznie wmurowane w podwaliny światowego pokoju. Ich los bowiem oraz oczywiście los ich rodziców tak przeraził wszystkich, a Amerykanów i Rosjan w szczególności, że od dziesiątków lat bomba jądrowa trzymana jest na bardzo krótkim łańcuchu. Boimy się możliwej trzeciej wojny światowej, w której prawdopodobne byłoby użycie takiej broni. Długie bezwojnie umożliwiło zachodniej Europie zbudowanie, a potem przerafinowanie dobrobytu, pozostałym krajom kontynentu zaś zabezpieczyło meandrowanie w komunistycznym „dobroście”, który choć sielanką nie był, to był jakimś tam bytem o zmiennej opresywności, nieporównywalnej jednak do wojennej. Tak to mówię, jakbym miała referat podczas sesji towarzyszącej na walnym zjeździe na przykład członków UNICEF-u... Ale jak to powiedzieć bardziej prywatnym językiem, że te dzieci, ukarane przez Amerykę za zbrodnie wojenne Japonii, one stały się ofiarami holokaustu (czyli całopalenia) w dosłownym sensie.

Cóż jest dziecko?...

Mama, mama, mama. Kim ty jesteś, mamó, jakie więzi, więzy, rzemienie, pasy trzymają nas razem?... Jakie winy i kary? Pamiętam miłość z dzieciństwa, gdy jeszcze była instynktem, żywiołem. Byłaś taka piękna, taka dobra. Nawet gdy wpadałaś w złość, pozostawałaś upragniona. Gdy wychodziłaś z domu, walił się świat. Dziecko jest jak piesek, który czuje się porzucony na zawsze, nawet jeśli jego opiekun wychodzi tylko do sklepu za róg.

Pewnego ranka obudziłam się w swoim pokoju i usłyszałam, że jestem sama w mieszkaniu. Cisza szła zewsząd, szła na mnie. Z kuchni, z łazienki, z pokoju rodziców, spod drzwi mieszkania szła na mnie i przynosiła mi przerażającą informację, że jestem SAMA. Skurczyłam się i zogromniałam, w kosmosie to możliwe. Miałam cztery lata. Umiałam już otworzyć okno. Zrobiłam to. Uklękłam na parapecie i ujrzałam, że niebo jest zupełnie puste. Drżałam z przejęcia i nic więcej nie widziałam. I nadal bym nie widziała, gdybym nagle nie ujrzała ciebie.

Szłaś. Chodnikiem. Wzdłuż ulicy.

Miałaś długie włosy, które rozwiewał wiatr.

Miałaś niebieską sukienkę, marszczoną w pasie, na sztywnej halce, z dekoltem karo.

Miałaś podbródek uniesiony w górę, jakbyś akurat patrzyła na mnie, klęczącą wysoko na parapecie okna.

Wracałaś.

Jest życie po utracie, tak poczułam w tamtej chwili. I wypełniło mnie rozkoszne światło.

Teraz kiedy przed miesiącem trzeba cię było wyprawić do szpitala na kolejną operację, kupiłam ci same niebieskie rzeczy: niebieski szlafrok, niebieską koszulę, niebieski ręcznik, skarpetki niebieskie, mydło, gąbkę, wszystko. „To ja już do nieba idę?“, zapytałaś słabym głosem, a ja się uśmiechnęłam do swoich wspomnień...

Chciałabym zdążyć wszystko zrozumieć. Dowiedzieć się, kim jesteś, dziewczynko, która straciłaś matkę, ojca, dom, całą wieś, słońce i księżyc, i wszystkie bajki.

Jakie są racje, jaki jest realizm paroletniego dziecka? Dziecko żyje tylko tak trochę, na brzeżku, co ono zna ze świata? Matkę i ojca, parę osób, podwórko, wczorajszy dzień i to co teraz. Za krótko żyje, by jego osobowość miała już jakieś konkretne cechy, ot, psychiczna chmurka, w którą dmuchnąć, a się rozwieje... Albo się zniekształci tak, że się odczłowieczy. Czy wiesz, że w Kambodży rodzice sprzedają małe dziewczynki do burdeli? Cóż jest dziecko? Zawsze można zrobić nowe... Za które też będzie jakiś przychód, co miesiąc dziesięć dolarów, to w ubogiej Kambodży jest coś! Kambodżanie są okrutni podobno. Podobno to przez Czerwonych Khmerów, którzy w cztery lata zabili dwa i pół miliona ludzi (jedną piątą całej ludności) najokrutniejszymi sposobami. To tamte dzieci, które patrzyły na owe zbrodnie, teraz mają swoje dzieci i sprzedają je w razie potrzeby do burdeli. A jak dziewczynka nie chce tak łatwo, to ojciec czy matka tak ją skatują, że pójdzie choćby na czworakach.

Ona też będzie miała dzieci.

W Kambodży za czasów Pol Pota, czyli nie tak dawno, w moich studenckich czasach, były aresztowania według pokrewieństwa, czyli rodziców z dziećmi, a nawet wnukami. Wszyscy razem się dostawali w tryby eksterminacyjnej maszyny. Trafiali na przykład do S-21, wielkiego więzienia, gdzie w celach-salach wszyscy leżeli na podłodze skuci łańcuchami, jedni do drugich podoczepiani. Dzieci wyrywano matkom i na tyłach więzienia od razu zabijano. Wiadomo było, że na końcu zginą wszyscy, ale najpierw trzeba było ich przesłuchać. Funkcjonowały ekipy śledcze, cztery grupy, działające na czterech poziomach okrucieństwa. Ci najokrutniejsi nazywali się „wściekli”. Jak w grach komputerowych, na które moda przyszła kilkanaście lat później.

Strażnikami byli tam chłopcy, nastolatki, z których najmłodszy miał po trzynaście lat. Wcześniej poddano ich praniu mózgu, czyli byli zaprogramowani emocjonalnie. „Kiedy przywożono więźniów, nie widziałem w nich żywych ludzi, dla mnie byli już martwi”, opowiada były strażnik. W filmie dokumentalnym, który obejrzałam w telewizji parę tygodni temu, o drugiej w nocy, odbywa się rozmowa dawnych strażników z dwoma ocalałymi mężczyznami. Ci strażnicy są zdziwieni, że coś złego robili. Oni mieli taką pracę, bardzo trudną, jeśli się uchylali, zginęliby także. Opowiadają do kamery, na czym ta praca polegała, odgrywają sceny jak w typowej rekonstrukcji w miejscu zbrodni. Wchodzą do pustej sali, schylają się nad miejscem po więźniu, mówią coś do kogoś, kto tam leżał ileś lat temu, kopią go na przykład albo wrzeszczą, że jak się nie zamknie, to jutro nie dożyje. Wyprowadzają, wprowadzają, odpinają łańcuchy, zapinają, drzwi otwierają, zamykają. Ich ciała mają to we krwi, motoryka ta sama. Idealnie się wczuwają w to, że niczego nie czują.

„Co myślałeś – pyta jeden z tych ocalałych – kiedy nad wykopanym w lesie dołem strzelałeś w kark setnemu więźniowi?”

„Nie myślałem. Chciałem mieć to za sobą, by wrócić do domu”.

„A dziś, jak możesz z tym żyć?”

„Kiedy o tym myślę, boli mnie głowa. Idę do knajpy z kolegami i się upijam. Szybko idę spać”.

Wtedy to byli chłopcy, których intensywnie tresowano, intensywnie i skutecznie. Dziś być może są wśród tych, co sprzedają swoje córki do burdeli. Zostali psychicznie uszkodzeni – młody mózg jest plastyczny, można z nim zrobić wszystko. Dzieci poobozowe, te na przykład uratowane z Auschwitz, też były dziwne, bawiły się w więźniów i strażników, straszły się nawzajem piecem krematoryjnym. I nie umiały płakać. Młody mózg jest plastyczny.

Nie wiem, jak w tej Kambodży rozliczano przeszłość, czy było komu, jak gruba była ta ich kreska. Musiała być chyba bardzo gruba, i czerwona jak rzeka krwi.

Piwnica

Piwnica w Sochach została. Przetrwiała. Bo murowana była, bardzo porządnie zbudowana przez Władka dziadka. Tylko ta piwnica. Nikt się tam nie pobudował przez czterdzieści lat. Trawą wszystko porosło. Zielone miejsce po stracie, a pod spodem piwnica. Nie przyjeżdżałaś tam bardzo konsekwentnie. Tylko Anastazja przychodziła, bo w waszej piwnicy trzymała różne swoje rzeczy w razie potrzeby. Blisko miała ze swojej strony drogi na drugą stronę, „do was”. Tylko że was już nie było.

– Ile, dwadzieścia metrów ta odległość wynosiła?

– Więcej, bo dom był tak bardziej w głębi, nie przy samej drodze.

Nie chciałaś już nigdy widzieć tego miejsca, w którym was nie było, pustego miejsca po domu. Wolałaś mieć w pamięci żywy dom, z meblami, z piecem, z ławką przy piecu, z mamą przy kuchni, z tatą w sklepie. Nie korciło cię nigdy. Pamiętasz, nieraz cię prawie wyganiałam: jedź, zobacz choć piwnicę, widok z okna zobacz, okna nie ma, ale jest widok... Nie chciałaś, bo ty uparta jesteś.

Czy wiesz, że do tego domu, w którym mieszkałam we Wrocławiu, gdy moje dzieci były małe, do tego poniemieckiego domu, opisanego przeze mnie w *Dziewczynie z zapalkami*, przyjechała kiedyś córka niemieckich mieszkańców? W 1988 roku to było. Skoro w czterdziestym piątym miała jakieś sześć lat, to w osiemdziesiątym ósmym – około pięćdziesiątki. Właśnie około pięćdziesiątki człowiek zaczyna się bardzo mocno oglądać za siebie. Więc ona koniecznie musiała pojechać do domu rodzinnego. Naprawdę nazywała się Barbara Jonek, a nie Lotta Halschke, jak w mojej powieści. Dałam jej na imię Lotta, bo skoczyła z pierwszego piętra, uciekając z matką przed Rosjanami. Dzielna dziewczynka. Skoczyła i tak dobrze poleciała, że sobie nic nie złamała. Esesmanówna Lotta... Z matki Żydówki.

I oto któregoś jesiennego dnia wysiadła z taksówki i stanęła przed furtką swego domu rodzinnego w Breslau. Na tej furtce jest do dziś napis „Briefe”, bo tam była kiedyś skrzynka na listy. Moja teściowa nie chciała jej wpuścić, ale tamta zaczęła ją prosić wszystkimi językami, jakie znała – po niemiecku nic nie dało, bo to język wroga był, i teściowa, choć go znała, to rozmowy nie podjęła. Po angielsku owszem, ale cierpko, półsłówkami. I w końcu po francusku moja teściowa dała się ubłagać, francuski język był jej bliski, w jej mniemaniu był to język najkulturalniejszego narodu świata. No więc przez ten francuski filtr jakoś dała radę z ową Niemką konwersować i nawet pozwoliła jej pochodzić po domu i ogrodzie. Potem Barbara Jonek cały rok listy słała do Breslau, na polski tłumaczone! Żeby tylko kontakt podtrzymać. Zaczęła się nawet uczyć polskiego od jakiejś pseudonauczycielki, zdaje się, prostej kobiety, która polszczyznę władała bardzo prowizorycznie, więc wyglądały te listy prześmiesznie:

„Pani, Ja chcę się u Pani z całego serca podziękować, że Pani była taka wspaniała i dała mi taka możliwość ten Dom moich Rodziców zobaczyć i nawet fotografować. To było dla

mnie bardzo ładne przeżycie, nie wiem jak mogę się u Pani podziękować. W tym momencie jak my się zapoznaliśmy byłam taka nerwana, że nawet Się dobrze nie przedstawiłam. Moje największe Życzenie z całego Serca było by jeżeli my byśmy kontakt mieli ze sobą. Ja bym się bardzo cieszyła, jak by mi Pani krótki List napisała. Bardzo Panią o to proszę”.

Takie losy właśnie tych dzieci wojny – z jednej i drugiej strony nieszczęście. I potem się te dzieci błąkają, czegoś szukają, sprawdzają, gdzie łóżeczko stało, gdzie na podłodze się klepka ruszała i czy na ścianie nie został ślad po obrazku. Nieukozone już na zawsze, z niedopieczoną przeszłością... Właściwie to dłaczego ja jej dotąd nie odnalazłam, tej Barbary Jonek??? Przecież to mogła być śląska familia. A ja też się urodziłam w Schlesien. Jonek to ganc ślonskie nazwisko. Mam te listy, mam adres nadawcy, dawno powinnam była coś z tym zrobić, sprawdzić, czy ta Barbara jeszcze żyje. Jeśli żyje, muszę jej opowiedzieć dalsze dzieje jej domu, który był też przecież rodzinnym domem moich dzieci! I teraz tam jest przedszkole, ale się zdziwi, *Kindergarten* w domu wszystkich nieszczęść... Mam tylko nadzieję, że tata Jonek, jako esesman, nigdy nie trafił na Zamojszczyznę.

Po twoim domu została sama piwnica, właściwie i ona nie została, bo w końcu się zapadła. I nic już teraz nie mamy po zginionej rodzinie, prócz paru fotografii...

– Nie, coś zostało, Jaś ma taty srebrny zegarek z dewizką.

– A tak, za cały majątek został nam ten zegarek twojego taty, on się cudem przechował... Dla trojga ocalałych dzieci, dla sześciorga wnuków, dla dziewięciorga prawnucząt, dla jednej praprawnuczki. Razem dziewiętnaście osób.

Akurat zegarek, jak znak tamtego odebranego im czasu.

Krajobraz po zagładzie

Gdybym była narratorką w filmie twojego życia... Właściwie jestem kimś takim w tej opowieści, w tym kinie pamięci, szczególnie od momentu, gdy was już tam w Sochach nie ma. Wy w Tereszpolu, a ja tu zostałam i po wypalonej dolinie chodzę i patrzę. I pokazują mi się kominy osmalone, gdzieniegdzie sterczące ponad rumowiskiem dogorywających belek, pokazują mi się niedopalone płyty, jedne leżą, inne wciąż stoją, pod nimi pojedyncze ciała tych, co chcieli zdążyć coś wynieść, coś schować, wypuścić krowę, konia. Leżą na wznak z rozrzuconymi rękami albo na boku z kolanami ugiętymi, albo twarzą do ziemi. W marynarce, w swetrze, w sukience.

Za szopą, za stodołą, których ściany się osunęły i teraz stygną po ogniu, leży kobieta z piersią odsłoniętą i dzieckiem, co od tej piersi odpadło, ale nie płacze, nie rusza się już. Dalej dziewczynka z rozplecionym warkoczykiem; ma otwarte oczy, powieka jej nie drgnie, jakby spokojnie patrzyła na niebo, z którego niebieski pasek oddarł się i opadł tuż przy niej. To wstążka do włosów, której nie zdążyła zawiązać. Sandaalki ma odpięte. Pośpiech już się nie śpieszy. Dalej mężczyzna w szarym swetrze, szarym, a na piersi czerwonym, u wejścia do obórki, której nie ma. Dalej szerniała postać w obrysie łóżka, spalone łóżko w obrysie chaty, ledwie można rozeznac dawne formy, szkice węglem...

Droga zryta kulami i zasypana szczątkami rzeczy. Jest sucho, nie padało od wielu dni. Bezruch i cisza. Nawet spalony listek nie drgnie na spalonej gałęzi, nawet ptak nie przefrunie, nie piśnie – nie ma ich. Jakiś pies z podkulonym ogonem przebiega na drugą stronę (nie Misiek), ale obraz zszywa się za nim natychmiast, zastyga. Mijam studnię ze spalonym żurawiem, woda nie do nabrania... To tu się skręca do sklepu Władka Ferenc. Sklep zniknął, dom zniknął, jak wszystko dokoła. Tylko jaśniejsze kamienie podmurówki spod spodu widać w niektórych miejscach. Wśród stygnących belek okienna rama rozłamana, upadł jej widok, popękały szyby. Na dole pociemniałe butelki po oranżadzie, po piwie, kawałek dalej ułamek wielkiego słoja, jednego z tych, co stały na ladzie. Zwęglony jej blat osunął się na ziemię, wsparł o krawędź podmurówki.

Pamiętasz, jak się wkładało do słoja rękę aż po łokieć, żeby wydostać lepką landrynkę z samego dna, tę białą, migdałową? Po cukierkach ani śladu, zjadł je ogień. Spełza w gorącu zielona farba ze sklepowej wagi, która leży ze skrzyconymi szalkami, ebonitowe jej talerze stopiły się w czarną grudę. Była w sklepie nafta w dużych bańkach, gdy płomień na nie trafił, skoczył wysoko zapewne. I wtedy przez kilka minut ten wasz dom górował nad resztą wsi... A Władek gdzie? Jest on tu niedaleko, cały ten czas przeleżał na piaszczystej ścieżce. W huku samolotów, w szumie i trzasku pożaru. Chyba nie od razu umarł, może był nieprzytomny, nie widział ognia, ale jeżeli się ocknął na chwilę przed śmiercią? Było jaśniej niż w dzień i goręcej niż w piekle...

Heraklit uważał, że wszechświat zawsze był żywym ogniem, który się zapala i gaśnie, jednocząc wszystko. Takie myśli są dobre do filozofowania, ale czy są dobre do życia?

Władek, jeśli się ocknął na chwilę przedśmiertną, to zapamiętał na wieczność, że wszyst-

ko, co z taką czułością budował, gromadził, straciło swą postać. Jeśli się ocknął, to mógł pomyśleć o Józi i dzieciach, czy gdzieś są. Ale mógł też już tylko brzeżkiem gasnącej świadomości zahaczyć o tę puszkę z pieniędzmi, po którą się cofnął ku piwnicy i zaraz upadł. Tak by było dla niego najlepiej.

Józia, po strzale w usta, zginęła w ułamku sekundy. Muszę tak myśleć, że nie cierpiała, że byśmy my nie cierpieli. Niech sobie leży tu na miękkiej ziemi pomiędzy kłosami, w chusteczce zielonej... a z tyłu czerwonej.

Sam ordynat Zamoyski przyjechał tę wioskę po spaleniu oglądać...

Ty nie jesteś w stanie tam wracać. Ale ja tak. Bo ja mogę na to patrzeć. Bo ja mogę wzrokiem szperać w tych zgliszczach, wynajdywać kawałki form niedopalonych, wyjmować fragmenty upadłego świata, reszeczki dobrego losu, który przepadł w boskiej loterii. Objąć mogę wzrokiem ten chaos, ruinę i popiół, uchem przeniknąć mogę tę ciszę po końcu świata, czuć mogę tę gorycz, której nie sposób dogasić niczym, a którą by się chciało wcisnąć Panu Bogu w gardło, gdyby tu był.

Jasne, że ja, a nie ty. Ja dam radę. Jestem dzielnym chłopcem, mamó. Ty jesteś dziewczynką, która się bała przez całe życie i siała strach wokół w każdej sprawie. Cóż z tego, że napisałaś ileś wierszy o matce, ojcu, domu i wiosce wniwecz obróconej? Takie tam ludzkie, dziecinne zale... Nie stanęłaś do żadnej walki, nie dołączyłaś do akcji sprzeciwu, nie rzucałaś przekleństw, nie powiedziałaś: wołę diabła, bo Bóg się nie sprawdził, nie chciałaś odwetu, nie poszłaś do Niemców, żeby ci zapłacili za dom, za sklep, za matkę i ojca. Żeby ci za tygodnie bez głosu zapłacili, za lata nieustannego płaczu, za głód dzień po dniu, za pracę ponad siły, za dzieciństwo w sierocińcach, za koszmary senne, za zieloną chustkę mamy, która jedyna ci po niej została w pamięci. Mamó, o głupstwa ludzie się sądzą teraz, wiesz? O papierosy, co je palili w dobrej wierze, o tabletkę z apteki, od której rzęsa wypadła... A za utratę losu? Pomyśl, ile byś mogła dostać za utratę losu. To byłby proces strasburski wszechświato- wy! Cholera, cholera.

Renia, Jaś, Kropka, Stasia, Bronka, Danusia, Stasio, kilku Stasiów, Władek, dwóch Władków, Franio, Henio i jeszcze jeden całkiem malutki Henio, Rysio, Janka, Czesia, Julka i Julek, zwany Romkiem, Tadek, Hela, Gienia, Marysia, Stefka... Ile tych dzieci osieroconych pozostało w Sochach? Trzeba by je policzyć. Prawie wszystkich ojców rozstrzelano, ale trochę matek zostało przy życiu. Dużo dzieci zginęło, te zabite w ramionach rodziców bały się może nieco mniej. Stefka straciła ojca, jej mama, ranna, po spaleniu jeszcze tyfus przeszła, ale udało jej się wszystko przetrwać; to ta, która płakała, gdy o świcie budziła swoje dzieci do najgorszego dnia w ich życiu. Stefka jako jedna jedyna z Soch trafiła na Majdanek...

Wiele lat osierocone dzieci żyły w piwnicach, szałasach, ziemiankach, naprędce skleconych budkach, „zmodernizowanych” chlewikach, zanim urosły i się zabrały do budowy domów podobnych do dawnych domów. Latami żyły w skrajnej nędzy. Dobrze, że bezpośrednio po spaleniu Zamoyscy coś niecoś wspomogli. Jan hrabia Zamoyski przyjechał pomoc zorganizować dla tej garstki oniemiałych z przerażenia ludzi, którzy zostali na pogorzeli- sku, miejsce na cmentarz wyznaczył, a potem Róża przysłała okrycia i żywność. Tyle, ile mogli w tym morzu nieszczęścia, przecież wojna wciąż trwała, terror się nasilał, głód był coraz

większy, bo Niemcy śrubowali kontyngenty.

To byli wspaniali ludzie, ci Zamoyscy. To co oni zrobili dla „swoich” wsi, dla dzieci z obozu w Zwierzyńcu, to były takie cuda, że o nich powinno się w największym Hollywoodzie fabułę nakręcić. Ależ by pięknie wypadli, bo i też przystojni oboje, nie tylko dobrzy i odważni. Ich dom w Zwierzyńcu, w którym mieszkali podczas wojny, bardzo ładny, taka willa dworkowa. Pojechałam, żeby zobaczyć. Dziś tam jest dom dziecka.

Byłoby, jak się należy w filmie opartym na faktach: krajobraz malowniczy – roztoczański, dom – klasyczna architektura, do tego zawierucha wojenna i para szlacheckich młodych arystokratów tuż po ślubie z wielkiej miłości. On – ostatni ordynat, ona – córka księżniczki. Jeśli zbyt idealni, toby się coś znalazło, jakąś skazę, żeby ich odrobinę uczłowieczyć... Ryzykowali obóz koncentracyjny (w którym zresztą zginął ojciec Róży), ale ratowali, kogo się dało, z całym poświęceniem i w dodatku z głową, czyli z planem. Ten Zamoyski wyciągnął zza drutów setki małych dzieci, umierających z głodu i chorób. Udało mu się to wypertraktować z Odilonem Globocnikiem, szefem lubelskiego SS, takim chamem! A potem już bezpośrednio z Hauptsturmführerem Hahnem, komendantem obozu. Jakimś cudem inteligentnym to zrobił! Przygotował przemówienie, które było prawdziwym slalomem dyplomatycznym („Wierzę, iż Wielka Rzesza Niemiecka nie prowadzi wojny z dziećmi i umie wykazać wielkoduszność wobec tych istot, które nie są winne, a muszą znosić cierpienia z powodu starszych...”), i przekonał Globocnika! A dla Hahna to przygotował po prostu koniaki, wędliny, wino, kawę. Każdemu według potrzeb...

Cztery szpitale dziecięce zorganizowali z tą Różą. W każdym polskim mieście powinna być ulica Róży i Jana Zamoyskich, absolutnie. I fabuła, bo to mityczni bohaterowie. Dlaczego do dziś nie ma filmu i nie ma ulic? Nie mogę pojąć... Za mała zagłada? Bohaterstwa nie dość? No i ten fakt biograficzny, że zostali w Peerelu, aby się borykać z realizmem prząsnym i kwaśnym, zamiast uciec do wysoko urodzonych krewnych na Zachodzie.

– A ja tam chodziłam do Róży, do tego domu...

– Naprawdę, mamu? Kiedy tam byłaś?

– Przed spaleniem jeszcze, mama mnie zabierała, kiedy tam szła. Parę razy się umawiała z panią Zamoyską w jakichś sprawach. Raz, pamiętam, zaniósłszy jej wiadro truskawek. A może to wiśnie były... Mama wchodziła do środka, a ja się bawiłam na trawniku z jakimś chłopcem. Wydaje mi się, że to był ich syn.

– Niemożliwe, mamu. Ich syn się już po wojnie urodził. Mógł to być raczej syn kucharki czy pokojówki, realnie rzecz biorąc...

– No, ale jakiś chłopiec tam był, mniej więcej w moim wieku, a pani Róża kiedyś go zawołała, wyszła do nas na ganek.

To jakiś nie-syn, bo Zamoyscy się pobrali w 1938 roku, a ich syn się urodził dwa lata po wojnie, w Sopocie. Gdy jeszcze w pieluszkach chodził, socjalistyczna ojczyzna wsadziła mu tatę za kraty na piętnaście lat – za wojenną działalność, akowską. To jest dopiero chichot historii, co? Od czasu do czasu historia zamienia się w prawdziwą psychopatkę, którą bawią tragiczne absurdy... A fabułę o nich toby mogli Szwajcarzy nakręcić, jeśli Polakom się nie chce, bo Jan Zamoyski pracował po wyjściu z więzienia dla szwajcarskich linii lotniczych...

Ostatni ordynat, na przykład, dobrze brzmi. Jest książka rozmów z Janem Zamoyskim pod takim właśnie tytułem. Dzięki Bogu, że chociaż z tym ktoś zdążył przed jego śmiercią. Co za kraj...

Ich erzähle

Staszka, co jeszcze żyje w Sochach, co jej ojciec był sołtysem, tak mi powiedziała: „My, co pamiętamy, to opowiadamy, a jak pomrzemy, to nasze dzieci już nic nie opowiedzą, bo one nie chciały słuchać. Mówiły: to niemożliwe. Mówiły: to gdzie wyście żyli, na jakim świecie?! Czegoście czekali, aż przyjdą i was wybiją? No bo jak to tak, położyć się na ziemi do zabicia?”.

Ano właśnie. Kto śmierć zrozumie?

Ci, którzy nie umierali, i ci, którzy nawet nie podeszli nigdy do bramy śmierci, traktują śmierć jak słowo. Słowo, którego litery wymieszane są z lękiem, ale tylko słowo. Nie pomoże wyobraźnia ani przekonujący kontekst, empatia nie odzwierciedli tego doświadczenia, jego straszliwej powagi i jego absolutnej inności od wszystkich pozostałych doświadczeń, dziejących się w jakiejś bezpiecznej odległości od tej granicy, od krawędzi egzystencji.

Ponieważ ich tragedia nie pasowała do modelu wysiedleń, oficjalnie nie uznano soszańskich dzieci za „dzieci Zamojszczyzny” i nie dostały one związanych z tym odszkodowań. Listy, podania, które szły do władz, wracały z adnotacjami o braku podstaw. Są różne zbrodnie, masakra nie podpada pod traumę wysiedleń...

Ci ludzie z Soch nigdy nie wykrzyczeli swojej nienawiści, nie pozbyli się strachu i nie znaleźli cienia satysfakcji z powodu sprawiedliwości, która w ich przypadku nie nadeszła. Nikt im nie pomógł ani psychicznie, ani materialnie. Dzieci bez obojga rodziców poszły do domów dziecka i to jest wasz przypadek, a te, które miały szczęście, czyli matkę, resztę dzieciństwa spędziły w Sochach, zapomnianych przez wielką historię. No, była tam masakra, bo była. Parę godzin i po życiu. Ale się ta masakra nie dała zakwalifikować do niczego. Coś się widać nie tak potoczyło. Owszem, Niemcy wystrzelali prawie wszystkich, którzy akurat tam we wsi byli, spalili i zbombardowali, co jeszcze wystawało ponad ziemię, no ale jakaś mała ta wieś: osiemdziesiąt osiem domów, dwustu ludzi. Niby w paru książkach nazwę wsi się przywołuje i stwierdza, że to była najstraszniejsza masakra na Zamojszczyźnie, jak w Oradour, jak w Lidicach, ale w efekcie jakby poza asortymentem.

Dlaczego oni im przebaczyli? Dlaczego w naszym imieniu? Jakim prawem? Tak mnie pytał wuj Jaś. Tak pytają ci ludzie z Soch, te dzieci w starczych już ciałach, co dożyły sławnego Dnia Pojednania w Krzyżowej, 12 listopada 1989 roku, kiedy to się premier Mazowiecki z kanclerzem Kohlem uściskali. Wcześniej, w 1965, gdy poszedł list polskich biskupów do niemieckich, ze słynnym zdaniem: „wybaczamy i prosimy o wybaczenie”, dawne dzieci soszańskie były dorosłymi ludźmi w pełni sił i ta ich gorycz wtedy była mocna, żywotna. Prości ludzie tego nie rozumieją, że nikt ich o zdanie nie zapytał, że referendum nie było...

Oczywiście nie mają racji, punkt widzenia ofiar to nie jest dobry punkt widokowy w polityce. Więc się nie pyta ofiar, lecz się wykonuje opłaczalne gesty międzynarodowe. Tylko że Czechom jakoś to lepiej wychodzi, w każdym razie oni, jako najbardziej germańscy wśród

Słowian, potrafią nawet na Niemców od czasu do czasu nakrzyczeć za te swoje jedyne Lidice na spotkaniu na szczelbu rządowym. Całkiem niedawno Angela Merkel znów usłyszała dynamiczny komunikat z lidickim argumentem, sprawa jest ciągle aktualna.

A my mamy tego tyle, że hurtowo sprawę przedstawiamy, piewcy ruin setek miast i wsi, hurtownicy milionów ofiar, czyli pracownicy Nadmiaru Krzywd. Wszyscy w Europie już są nami znudzeni. Zaczynają powątpiewać, czy aby na pewno takie miliony, i mówią, żebyśmy jednak odliczali Żydów, bo Żydzi chcą być osobno. A historycy niemieccy i rosyjscy to w ogóle omawiają sobie jakąś inną wojnę, taką, co się zaczęła w 1941 roku! Jakby wcześniej było mało ciekawie... Do tego dołącza się „polski antysemityzm”, który jest mocnym szczegółem w tym ogóle, i jesteśmy historycznie załatwieni na cacy.

Siedemnastego listopada 2010 roku przywódca Ziomkostwa Niemców Sudeckich, europoseł Bernd Posselt, wygłosił historyczne słowa: „Kłaniamy się naszym współmieszkańcom z Lidic i prosimy o wybaczenie tej części winy, którą i my ponosimy”. To jest dobry pomysł, by dzielić winę na części. Analogicznie karę też się dzieli... Ten podział kary czasem bywa wyjątkowo perfidny historycznie, wtedy się politykę nazywa Losem i sprawa się zamyka. Bo czy Polaków nie ukarano za wojnę, w której byli zwycięzcami, a przedtem ofiarami?

Alianci sprzedali nas w Jalcie Sowietom, za odważną walkę na wielu frontach... Za to zachodni Niemcy dostali nagrodę, bo podział Niemiec w 1949 roku okazał się w rezultacie sądem, w którym część Niemców sprawę wygrała, a część przegrała. Wygrali sprawę, czyli wojnę, ci, którzy trafili do RFN; prędko otrzymali solidne amerykańskie wsparcie, co pozwoliło na zawrotnie szybkie wylizanie się z ran i powrót do dobrobytu i dobrostanu. No to oni mogli sobie pozwolić na luksus czasowego samoobwiniania się, społeczne dyskusje na łamach i te rzeczy... Zaś przegrani, czyli NRD-owcy, zostali przyłączeni do Słowian. A to dopiero! Znienawidzony bolszewizm, wymuszona wspólnota z niedawnymi podludźmi, utrata godności, prawdziwe upodlenie – to była kara za poparcie Hitlera. Czyli połowa Niemców (tak dokładnie to była jedna trzecia), NRD-owcy, nie miała problemu z winą, a jedynie z karą. Biedacy, jeździli tekturowymi trabantami na wakacje do Polski, bo tu było najtaniej! I oni, i my razem – czy tego chcemy, czy nie – przegraliśmy tę wojnę, cokolwiek piszą w szkolnych podręcznikach.

Wujek Jaś mi powiedział, że język niemiecki całe życie powodował u niego panikę. Nie raz ta panika przychodziła pierwsza, zanim się jeszcze zorientował, w czym rzecz. Na przykład na plaży – siedzi sobie i po prostu patrzy na morze, plecy wystawiając do słońca, aż tu nagle czuje, że coś jest nie tak, coś na niego napiera i coś się spiętrza nad nim w przezroczystym powietrzu. Irracjonalny strach go ogarnia. I przemożna chęć ucieczki. Dopiero gdy zaczyna sam siebie uspokajać, oddychać głęboko zaczyna, docierają do niego urywki zdań z sąsiedniego koca. Okazuje się, że Niemcy tam siedzą i rozmawiają w swoim języku. Jaś ma ten niemiecki wgrany tak mocno w mózgową strukturę, że słyszy, zanim usłyszy... Choć przecież wcale nie mówi tym językiem, to w jakimś sensie zna go lepiej niż ojczysty.

Mazowiecki wybaczył Kohlowi, ale Jaś nie wybaczył Niemcom, fizycznie nie jest w stanie, jego słowiański organizm boi się organizmów germańskich, wydających z siebie germańskie dźwięki. Taka jest „psychopolityka” byłych ofiar, od woli niezależna...

Ja też ową niechęć do języka niemieckiego odziedziczyłam i jest to jakaś niesprawiedli-

wość osobista i dziejowa, bo to jest piękny język pisarzy i filozofów, których podziwiam. Jest to także język pieśni Schuberta, które mnie urzekły, gdy już byłam dorosła. Tata mówi świetnie po niemiecku, on wojnę przeżył w Bydgoszczy, był uczniem Grundschule w Brombergu i niemieckie słówka wryły mu się w pamięć tak mocno, że do dziś tam są. A mnie nie chciały się trzymać... Ile razy ja zaczynałam się uczyć niemieckiego! Wciąż jakieś nowe panie, nowe korepetycje, kursy. W liceum niemiecki był w programie, miałam bardzo dobry akcent, ale nie było czego akcentować, bo wszystko, czego się nauczyłam, zaraz zapomniałam. Właśnie przez niemiecki o mały włos powtarzałam trzecią klasę w średniej szkole. A tata się śmiał ze mnie, że z tylu lat nauki tylko jedno zdanie zapamiętałam: *Ich habe etwas Zeit, ich kann dir es erzählen.* („Mam trochę czasu, mogę ci opowiedzieć”).

Wyszło na to, że właśnie to robię, cały czas opowiadam, tobie i sobie. Ku pamięci.

Koniec

Wiele rzeczy zapomniałaś, mamó, o wielu nie wiedziałaś. Nawet o Sochach nie wiedziałaś wszystkiego, tak się bałaś wracać tam choćby myślą. Nie mówiąc o reszcie tej wojny.

– Nikt po wojnie z wami, dziećmi, nie rozmawiał o tym, co się stało?

– Nie, to był temat tabu.

– Aż nie wiem, czy powinnam ci o tym teraz mówić... Może niepotrzebnie ruszam ten kamień, co już w ziemię wrósł. Wiesz, że w Międzyrzeczu, do którego trafiłaś po Zamościu, a przed Białą Podlaską... W sumie byłaś w trzech domach dziecka?

– W trzech.

– No więc w tym Międzyrzeczu w czterdziestym drugim roku bardzo dużo żydowskich dzieci zabili, wiedzieliście o tym?

– Nie, nigdy nikt z dorosłych nie wracał do tego, dzieci miały być wreszcie wesole. I to był mój najlepszy dom dziecka.

No, to ci jeszcze o młodych Szponarach powiem. Fela i Karol Szponarowie, mówiło się na nich Szponary (dom pięćdziesiąty czwarty), od jednej kuli zginęli, ona go zasłoniła własnym ciałem, gdy Niemiec wycelował, nie wyobrażała sobie życia bez niego. Potem umierała na rękach swej matki, prosiła, żeby jej dziecko wychowała, półtorarocznego synka. „Wychowaj go”, prosiła, a potem grzechy swoje matce wyznała. „Wszystko powiem ci – szeptała, bo już siły traciła – a ty żebyś się za mnie w kościele wyspowiadała, rozgrzeszenie dostała...” Ten chłopczyk, który pozostał, Rysio, płakał strasznie, całe tygodnie, całe miesiące. Tak piszczał przeraźliwie, że nikt nie mógł słuchać. Ludzie od niego uciekali, uszy zasłaniali. Może głodny był, bo jeść nie było co... Może matki głodny był. A może zwariowało to dziecko od tego, co widziało. W końcu ten drugi zięć, co przeżył, nie wytrzymał i pewnego razu rzekł: „Idę do roboty, a jak wrócę, to ma tu tego Ryśka nie być”. I wtedy ta babka – co ona miała począć, biedna – do Tereszpoła poszła, do księdza, żeby jej pomógł ochronkę załatwić, bo się co złego stanie. I ksiądz pomógł.

Dzieci z Soch miały różne losy. Część trafiła ostatecznie do ochronek, sierocińców, a te powojenne sierocińce, choć biedne, dawały jakie takie ciepło i namiastkę wspólnoty. Nie przypominały dzisiejszych bidulów, ale i tam dzieci nocami płakały w poduszkę, marząc, żeby stał się cud i mama wróciła. Albo żeby chociaż jakiś „swój”, ktoś ze wsi, przyjechał w odwiedzinę... Każda, nawet drobna przykrość prowokowała tę samą myśl: „Gdyby mama tu była, toby nie pozwoliła...”. Tak mi opowiadała Kropka. Ona bardzo tęskniła, całe życie tęskniła, mimo że nie pamięta twarzy matki, tylko samą chustkę zieloną.

Smutek dziecięcych zbiorowisk. Jest nie do usunięcia. Chociaż przecież dziecko potrafi się przystosować prawie do każdej sytuacji, bo tak mu każe instynkt przeżycia. Bolesne miejsce pokrywa się psychicznym strupem i tylko trzeba uważać, żeby tego nie zadrasnąć. Pamiętam, co opowiedziałaś mi kiedyś, że jak byłaś w domu dziecka w Zamościu, przyje-

chała do ciebie krewna z Ruszowa, ciocia jakaś odległa, mało znana, ale w tamtej chwili byłaś w szkole jeszcze. Ona nie poczekała, zostawiła pudełko ciastek i nie poczekała. Nie chciałaś tych ciastek, płakałaś nad tym pudełkiem, jakby się coś straszego stało.

Niektóre dzieci soszańskie dorastały u dalszych krewnych, jeśli było ich na to stać albo potrzebowali rąk do pracy. Trafiały też do całkiem obcych ludzi, jak na przykład synkowie ciotki Agnieszki, zabitej siostry twego zabitego taty. Bronka Szawara tak to powiedziała: „Załadowali te dzieci w kolejkę, a kolejarze tak po prostu rozbierali te dzieci, brał, kto chciał. Najstarszy, Władek, to został od razu w Szozdach, Romek trafił do Hedwiżyna, a Janek z Heńkiem, małe takie, byli do Biłgoraja zabrane”. Bo tam w tym Biłgoraju była jakaś dalsza rodzina ich ojca. To był ciekawy gość, ten ojciec, rzadko się w domu pojawiał, „rejzer” go nazywali, bo ciągle w rajzach był, w podróży – jeździł po wsiach z magicznymi sztuczkami, króliki z kapelusza wyjmował, monety z rękawa. Raz, gdy akurat wrócił do Soch, trafił na pacyfikację – taki los trafił. Zginął i się nigdy nie dowiedział, że jeden z jego ocalałych synków został w dorosłym życiu dyrektorem wielkiej fabryki samochodów, a potem się urządził w Ameryce. Żał tych pozabijanych rodziców, którzy nigdy nie zobaczyli, jakie dzielne się okazały ich dzieci...

Wiesz, mammo, jak sobie Bronka poradziła? Ona została w spalonych Sochach, była silna, miała już prawie szesnaście lat. Najpierw przez zimę siedziały z siostrą w Rudce, u ciotki Hałasichy, ale ciasno było i głodno, stryj się pieklił, jak z pracy wracał, że jeść nie ma co, że nogi nie ma gdzie postawić. Bo tam tylko kuchnia była wykończona. A ciotka ledwie coś mogła z garści zboża zrobić, zaprawę taką w żarnach meła i to gotowała. „Nie mogłam tak na to patrzeć – mówi Bronka – i w Boże Narodzenie postanowiłam coś zrobić. Poszłam do wysiedlonej Bukownicy, do drugiej ciotki, której wszystkich zabrali Niemcy, tylko jeden Antek, syn, w lesie się ukrywał. Poszłam i płaczę tam u niej, bo co dokładnie robić, nie wiem, a trzeba. Przyszedł ten Antek z lasu i pyta: co tak siedzicie po ciemku? A bo świecić nie ma czym. Nie płacz, dziecko, mówi Antek, ja pogadam z Frankiem Szydełkowym. Mammo, o ten chlewek się spytam, co w nim teraz kury są, rozbierzem go z Frankiem i do Soch zawieziem, zbudujęm i tam będę se siedzieć. Bo nic innego nie poradzim. I tak było, w marcu z Rudki na Sochy żeśmy się przenieśli z Marysią i w tym chleweczkę żeśmy siedziały. Małeńkie to było, kuchnia z sionką, ale swoje własne. I jeszcze się tam do nas inne wprowadziły, ciotka z dzieckiem, takim małym Heniem, jeszcze i Kryśka z Janką, bo też były bez dachu, w szałasie jakimś. Kto się mógł zmieścić, to przychodził, żeby się ogrzać. Bo piec u nas był od razu, z przegródką dla dzieci, dla Marysi i tego Henia, taki tam pokoik mieli na piecu do siedzenia”.

U Staszki gorzej było, oni w „ziemlance” żyli, ciotka Anastazja, ta piękna, jej dzieci i wasz dziadek. W tej „ziemlance”, takiej piwnicy, prycze piętrowe porobili, słomę położyli i to wszystko. Piec im został na górze, to deskami przedłużyli, żeby dziadek mógł tam spać, nogi wyciągnąć; stary był już dziadek, w piwnicy by nie wytrzymał. Pożył jeszcze dwa lata. U Bronki też nie było łóżek ani pościeli żadnej, wszystko spalone. Podłogę im zrobił Janek Żołdak, „drzazgów naciesał” (oni tak ładnie tam na wsi mówią...) i jeszcze jakiś słup po Ferencach został niedopalony, to go porznęli, i tak spali na podłodze, pod jednym kocykiem, co go ktoś dał. Aż przyszła stara Magda, zwana Magdeńką, i mówi: „Nie sztuka, że już macie

podłogę i stół z paru desek – łóżka nie macie i cóż to jeden koc! Ale nie szkodzi, słomy się naniesie, a do przykrycia to ja wam zrobię takie odzienie, że się będziecie wszystkie pocić!”.

„I tak było – opowiadała Bronka. – Przyniesła stara Magda płachtę od Żołdaków, a drugą dała Rybakowa. Taka lniana płachta, szara, grubo tkana. I Magda przyszła i to zeszyła. A nam kazała iść na mokre łąki po te pałki, co tam rosną, na trzcinie. I my tych kutasów nabierały. Dwa razy żeśmy szły, bo to ciężkie. Potem ona cały wieczór darła te kutasy jak pierze, tak je całe poobdzierała, a potem napchała w te płachty. Przehajcowaliśmy wszystko takimi lnianymi niciami na pasy, żeby się nie przesunęło w środku. I mieliśmy pierzynę z baziów! I to było takie ciepłe, takie ciepłe, że ani dzieci nie pomarzły, ani my. Ale jak wstaliśmy rano, to jeden kołtun na łbie! Bo jak się to bazie rozkruszyło, na takie włoseczki malutkie, a płótno rzadkie, no to i wszystko przez nie przełaziło... A ten Henio dzieciak, jak troszki podrośł, to każdemu opowiadał, że on się w kłakach urodził”.

Mówię ci, mamó, żebyś ty słyszała te opowieści! Siedziały obie ze Staszka w małej izbie przy starym stole, w oknie słońce zachodziło, więc się czerwono zrobiło, a potem gasło, gasło, a one cały czas wspominały, śmiały się i płakały, śmiały się i płakały – o mnie całkiem zapomniały – w coraz ciemniejszej ciemności. To nie wieczór był, a prawieczór, coś odwiecznego było w nim, coś z dawnych „posiadów” wiejskich, kiedy ludzie się spotykali, by pobyć w beczasie, pożyczyc życiem, które było, jest i będzie, i ze śmiercią pobyć, co się z tym życiem ściga całą wieczność.

Te dwie kobiety, stare i młode zarazem, a też chwilami dziecięce, przy tym mądre tą mądrością, która sama w człowieku dojrzewa, przyrasta rok po roku, jak słoje w drzewie...

Aż w końcu tylko cienie tam widziałam i szept słyszałam, i jakbym się malutka zrobiła i zasypiała w kołysce, coraz bardziej otumaniona, ale i nasyciona, ukojona. Powrócona wreszcie, pogodzona.

Zapomnij. Najlepiej zapomnij już. Dobrze robisz, że gubisz wspomnienia, jedno po drugim znikają imiona. Gasną obrazy na wewnętrznych ekranach, wypaliły się one. Coraz ciszej w mózgowej sali kinowej... Już się nie miotasz, góra – dół, nie wpadasz w te bezradne melancholie i w te niepojęte furie na zmianę. Jesteś coraz spokojniejsza, jesteś równa. Odchodzisz, mamó. Zostaje pogoda.

I ja zostaję. Zabrałam ci twoją historię, mamó, twoją apokalipsę. Karmiłaś mnie nią, gdy byłam mała, szczyptą, po trochu, żeby mnie tak całkiem nie otruć. Ale się uzbierało. Mam ją we krwi. Dziesiątki lat zaciemniała mi obraz świata. Dziś może więcej jej we mnie niż w tobie. Całe życie powstrzymywałam się od życia, bo czekałam na wojnę. Nie chcę już dłużej tak...

Co mam z tą naszą historią zrobić teraz? Moje dzieci jej nie chcą.

Włożę ją w szczelne zdania, w zamknięte akapity. Żeby się już ani dym, ani języki ognia, ani łzy nie pokazywały. I żebyś jej nie musiała zabierać na tamten świat. Po wszystkim napiszę słowo:

Koniec.



Zegarek z dewizką. Jest naszą jedyną materialną pamiątką po przodkach, symbolem tamtego odebranego im czasu...



Zniszczona wieś Sochy, czerwiec 1943.

POSTSCRIPTUM.

Porządkowanie masakry

Dom pierwszy, Mielników – spalone wszystko, zginęli rodzice i dwie młodziutkie uciekinierki z Józefowa. Ocalał Zbyszek (dwanaście lat) i Tadzio (dziesięć lat). Rok po spaleniu Zbyszek zginął od miny w lesie.

Dom drugi, Obszyńskich, spalony, mężczyźni zabici, zostały kobiety i sześcioro małych dzieci, od roku do dwunastu lat.

Dom trzeci, Józefa Cielicy – jedne dzieci pożenione, drugie wywiezione na roboty do Niemiec. Dom spalono, jego zabito.

Dom czwarty, Cieliców, zwanych Łukasikami – tam zginął Julek pięcioletni z ojcem i jeden chłopczyk, co z bratem Cielicy przyjechał w gościnę, brat Cielicy też zabity i ich obu matka. Została młoda wdowa z czwórką malutkich dzieci. Wszystko spalone.

Dom piaty, Cieliców zwanych Kubinkami, dom murowany – spalony, mężczyźni zabici, został chłopczyk sierota.

Dom szósty, Skrzypów – wszystko spalone, cała rodzina wymordowana, w tym dzieci, Staś (jedenaście lat) i Szczepuś (dziewięć lat).

Dom siódmy, braci Sirków – wszystko spalone, dzieci małych tu nie było.

Dom ósmy, Cielicy, zwanego Jędruniem – jego zabili, dom spalili, została wdowa z piątką dzieci.

Dom dziewiąty, Szawarów – spalony, ludzie ocalili.

Dom dziesiąty, spalony, Szai Pawła i Cieliców, jedno dziecko z matką ocalone.

Dom jedenasty, Szawarów – rodzice zabici i szesnastoletnia Fela, żywe zostały dzieci: Marysia, Franio, sześciolatek bliźniaki, Józio i Józia, i dwuletnia Gienia. Osiemnastoletnia Justynka, brzemienna, w brzuch raniona, urodziła chorą umysłowo Hanię. W zachodniej części domu mieszkał drugi brat Szawara, zabity, jego żona, Maria z Ferenców, zmarła, zostały dziewczynki: Janka (pięć lat) i Czesia (trzy lata), to moje dwie ciotce... Spalone wszystko.

Dom dwunasty, Kańcułów i Kimaków – mężczyźni zabici, dzieci ocalały, w sumie dziewięcioro. Wszystkie zabudowania spalone.

Dom trzynasty, Blachów – spalony, ludzie przeżyli.

Dom czternasty – spłonął, dwie dziewczyny, siostry Stasia Blacha i Józia Blacha, zabite.

Dom piętnasty, Borsuków – spalony, ojciec zabity, matka ciężko ranna, dzieci uratowane, ale w biedzie wielkiej żyły.

Dom szesnasty, Kikuta Marcina – spalony, ludzie w zbożu ocaleli.

Dom siedemnasty, też Kikutów – ojciec zabity, został synek Staś z mamą.

Dom osiemnasty – dopiero zbudowany, dzieciątko dopiero urodzone. Oboje młodzi rodzice, Józek i Janka Kikutowie, zabici, domek spalony, a to dziecko przy piersi, Tereska, ciężko ranne, ale przeżyło.

Dom dziewiętnasty, też Kikutów – kobiety zabite, także kuzynka z Tereszpoła, szesnastoletnia Kasia. Spalone wszystko.

Dom dwudziesty, Magdeńki Skrzyppy, co porody przyjmowała – jej Kasię i Józia Niemiec zabił, ona przeżyła samotna.

Dom dwudziesty pierwszy, Skrzyppy Jana – spalony, ludzie ocaleni.

Dom dwudziesty drugi, także Skrzypów – tu zginęły dwie młode, Stasia i Władzia. Spalone wszystko.

Dom dwudziesty trzeci, znowu Skrzypów – tu wszyscy zabici, także syn Stasio i córka Helena. Spalony.

Dom dwudziesty czwarty, Niziów – kamienny, spalony, zabita matka i dwoje dzieci (czteroletni Jasio i trzymiesięczny Stasio), ocalała pięcioletnia Marynia i dwuletni Władzio.

Dom dwudziesty piąty, Antoniego Nizia, ojca Bronki Szawary, poetki. Zabity on, matka jej i brat, wszystko spalone. Została Bronka (piętnaście lat) i sześciolatnia Marysia.

Domy dwudziesty szósty, siódmy, ósmy i dziewiąty – spalone, ludzie przeżyli jakimś cudem niepojętym.

Dom trzydziesty, Sirków – ocalał, ludzie zabici, pozostał mały chłopiec, Janek. I brzemienna kobieta, stryjenka, której dziecko po urodzeniu zmarło.

Dom trzydziesty pierwszy, Masztalewiczów – zginęli rodzice i mała Gienia, pozostał sam Stasio.

Dom trzydziesty drugi, też Masztalewiczów – spalony, została wdowa z dwójką dzieci.

Dom trzydziesty trzeci, Koronów – wszystko spalone, wszyscy zabici. Tylko dziewięcioletni Staś Korona został na świecie.

Dom trzydziesty czwarty, Jana i Agnieszki Sirków – spalony, zabici rodzice i dwoje dzieci (sześciolatnia dziewczynka i chłopczek pół roku). Przeżyło czterech chłopców: Władek, Julek, Henio i Janek, oni w kartoflach się pokładli, najmłodszy trzyletni, najstarszy jedenasto-

letni. To moi wujkowie, Agnieszka była z domu Ferenc.

Dom trzydziesty piąty, Swachów i Sirków – pozostały dwie wdowy z małutkimi dziećmi, pięcioro i dwoje. Wszystkie budynki spalone.

Dom trzydziesty szósty, bezdzietne małżeństwo Sirków, Andrzeja i Marii – on ranny, ona zabita, zabudowania spłonęły.

Dom trzydziesty siódmy, Sochów – spalony, rodzina ocalała. Rok potem ojciec na raka umarł. Została bieda i siedmioro dzieci.

Dom trzydziesty ósmy, też Sochów – budynki spalone, ludzie przeżyli, z wyjątkiem zięcia Jana Cielicy, który żonę brzemienną osierocił.

Dom trzydziesty dziewiąty, Sochy Stanisława – spalony. Zabite kobiety i pięcioletnia Ania. Pozostały dwumiesięczne bliźnięta, dziewczynki, bez żadnej opieki.

Dom czterdziesty, Sochy, zwanego Dziobaty – spalony, zabici.

Dom czterdziesty pierwszy, Ziomków – spalony, zabici.

Dom czterdziesty drugi, też Ziomków – spalony, ojciec zastrzelony, została matka z czwórką dzieci.

Dom czterdziesty trzeci, Ziomków od Szczepana – spalony, ojciec zabity, została matka z małym synkiem.

Dom czterdziesty czwarty, Ziomków Józefowych – spalony, została wdowa z szóstką dzieci.

Dom czterdziesty piąty, Dyjaków – wszystko spalone, wszyscy zabici, w tym dwoje dzieci.

Dom czterdziesty szósty, Cielicy Aleksandra – spalony, przeżyli wszyscy w zbożu ukryci.

Dom czterdziesty siódmy, Popowiczów – spalony, cała rodzina wybita razem z czwórką dzieci. Staś mały został.

Dom czterdziesty ósmy, Szabatów – spalony, rodzina rozstrzelana wraz z matką i trojgiem dzieci, ocalał tylko Michaś.

Dom czterdziesty dziewiąty, Górów – spalony, zabity ojciec i spokrewniony chłopiec z Aleksandrowa, została matka z trojgiem dzieci.

Dom pięćdziesiąty, Sochy Michała – spalony, ojciec zabity, została matka z czwórką małych dzieci.

Dom pięćdziesiąty pierwszy, Sochy Jana – spalony, wszyscy zabici.

Dom pięćdziesiąty drugi, Pieczykolanów – spalony, zabici wszyscy, przeżył tylko mały

Władzio.

Dom pięćdziesiąty trzeci – spalony, zabici wszyscy, przeżył tylko mały Wacuś.

Dom pięćdziesiąty czwarty, Psiuków – spalone wszystko, zabici, tylko matka z dwiema dziewczynkami przeżyła i chłopczyk bez żadnej rodziny.

Dom pięćdziesiąty piąty, Szawary Józefa – spalony, zabici, matka z szóstką dzieci została.

Dom pięćdziesiąty szósty, Ferenców, braci mojego dziadka, i ich ojca, pradziadka Józefa, tego z czarnym wąsem. Pradziadek przeżył, przykryty szynalem z pierwszej wojny. Jego dwóch synów zginęło zastrzelonych, Antoni i Stanisław. Pozostała synowa Anastazja z pięciorgiem dzieci. Zabudowania wszystkie spalone.

Dom pięćdziesiąty siódmy, nowy, moich dziadków, Józefy i Władysława Ferenców – oboje zastrzeleni, wszystko spalone, zostały dzieci: Renia, moja mama, Jaś i Krysia, zwana Kropką.

Dom pięćdziesiąty ósmy, Kikutów i Ratajów – wszystko spalone, rodzina zabita, zostały dzieci.

Dom pięćdziesiąty dziewięty, Bazylego Dobosza – spalony, zabici. Dzieci tam nie było.

Dom sześćdziesiąty, Grzybów – zabita liczna rodzina razem z wysiedleńcami. Została matka z pięciorgiem małych dzieci.

Dom sześćdziesiąty pierwszy, Psiuka Stanisława – spalony.

Dom sześćdziesiąty drugi, Psiuka Andrzeja – spalony, zabici synowie, ojciec ocalał.

Dom sześćdziesiąty trzeci, Psiuka Jana – spalony.

Dom sześćdziesiąty czwarty, Gnidów – spalony, zabici ojciec i matka, została mała Marysia.

Dom sześćdziesiąty piąty, Czochrów i Świstów – spalone wszystko, zabici ojciec, matka, babcia, zostało troje sierot. Druga rodzina z małą Krysią cała zginęła.

Dom sześćdziesiąty szósty, Skórów – spalony, zostali młoda matka brzemienna i mały Stasio.

Dom sześćdziesiąty siódmy, braci Żołdaków – jeden brat z żoną i dzieckiem zastrzelony, z rodziny drugiego zostało dwoje małych dzieci. Wszystko spalone.

Dom sześćdziesiąty ósmy, Żołdaka Józefa – spalony, zabici razem z dzieckiem.

Dom sześćdziesiąty dziewięty, Żołdaka Władka – spalony, została matka z dwójką dzieci.

Dom siedemdziesiąty, Żołdaka Jana – spalony, zabity ojciec i córeczka Janinka, przeżyła

matka z pięciorgiem pozostałych dzieci.

Dom siedemdziesiąty pierwszy, Oleszczaków – zabity ojciec i syn Stasio, została matka ka-
leka.

Dom siedemdziesiąty drugi, Mielników – zabity ojciec, została matka z szóstką dzieci.

Dom siedemdziesiąty trzeci, Masztalewiczów i Pieczykolanów – spalony, zabity ojciec,
babka, została matka z dwojgiem dzieci.

Dom siedemdziesiąty czwarty i piąty... Nic o nich nie wiem. Ilu i kto? Naprawdę nie wiem.

Dom siedemdziesiąty szósty, Mielnika Józefa – spalony, zabici dziadkowie i ojciec, przeży-
ła matka z malutkim Heniem.

Dom siedemdziesiąty siódmy, też Mielników, od Andrzeja – spalony, zabity ojciec, matka,
synek Stasio, pozostał tylko mały Władzio.

Dom siedemdziesiąty ósmy, Cieliców – spalony, wszyscy dorośli zabici, zostały dwie
dziewczynki małe, Stasia i Józia.

Dom siedemdziesiąty dziewiąty, też Cieliców, Michałowych – spalony, zabici, same dzieci
zostały, sześcioro.

Dom osiemdziesiąty, Pieczykolanów – spalony, zabici, matka z dwójką dzieci przeżyła.

Dom osiemdziesiąty pierwszy, Kikutów – spalony, zabici, zostały tylko matka i troje dzieci.

Dom osiemdziesiąty drugi, Żołdaków, Michałowych – spalony, zabici, matka i dwójka
dzieci przeżyły.

Dom osiemdziesiąty trzeci, Skórów – same ściany zostały, bo były murowane. Zabity oj-
ciec, ocalała poraniona matka z czworgiem dzieci, w tym Stefka, co z małym braciszkiem
trafiła na Majdanek.

Dom osiemdziesiąty czwarty, Dudów – spalony, zabici ojciec i syn Szczepan, sama matka
z czwórką małych dzieci została.

Dom osiemdziesiąty piąty, Skóry Stanisława – spalony, zabici ojciec i dwóch wygnańców
z Wielkopolski (ojciec z synem, Gzikowie się nazywali, z gospodarzem w jednym grobie po-
chowani). Matka młoda z chłopczykiem ocalała.

Dom osiemdziesiąty szósty, Franciszki Chomowej – spalony, zabici wygnańcy, co się tam
schronili, i jej matka. Została ona z dwiema dziewczynkami.

Dom osiemdziesiąty siódmy, Grabiasów – spalony, zabity ojciec, trójka dzieci i matka prze-
żyły.

Dom osiemdziesiąty ósmy, Skórów, Michałowych – wszystko spalone, ojciec, matka, troje

dzieci – zabici. Ocalał jeden mały synek, Lencio.



Moja mama Renia jako dojrzała kobieta.

Książki, z których najwięcej skorzystałam, pisząc *Małą Zagładę*:

Władysław Sitkowski, *Sochy dawniej i dziś*, Zwierzyniec 1999.

- Władysław Sitkowski, *Zamojszczyzna. Wysiedlenia i deportacje 1939–1945. Obóz w Zwierzyńcu, Zwierzyniec* 2011.
- Bronisława Szawara, *Wiersze, wspomnienia, przemyslenia*, Dankowice 2005.
- Wojenne losy. Dzieci Zamojszczyzny, świadectwa*, oprac. Julia Brodzik, Zamość 2007.
- Adam Mastaliński, *Karty męczeństwa Zamojszczyzny. Dziennik spisany pod okupacją hitlerowską*, Zwierzyniec 2011.
- Józef Wnuk, Helena Radomska-Strzemecka, *Dzieci polskie oskarżają*, Warszawa 1961.
- Czarny rok, czarne lata. Zbiór wspomnień nadesłanych na apel „Polityki” pt.: „Scena, której nie mogę zapomnieć”*, Warszawa, 20 października 1989.
- Dzieci żydowskie oskarżają*, Warszawa 1993.
- Roman Hrabar, Zofia Tokarz, Jacek E. Wilczur, *Czas niewoli, czas śmierci. Martyrologia dzieci polskich w okresie okupacji hitlerowskiej*, Warszawa 1979.
- Swietłana Aleksijewicz, *Ostatni świadkowie. Utwory solowe na głos dziecięcy*, przeł. J. Czech, Wołowiec 2013.
- Testament dzieci Hiroszimy*, Warszawa 1976.
- Wojciech Tochman, *Dzisiaj narysujemy śmierć*, Wołowiec 2010.
- Józef Fajkowski, Jan Religa, *Zbrodnie hitlerowskie na wsi polskiej*, Warszawa 1981.
- Helena Kubica, *Zagłada w KL Auschwitz Polaków wysiedlonych z Zamojszczyzny w latach 1942–1943*, Oświęcim–Warszawa 2004.
- Agnieszka Jaczyńska, *Sonderlaboratorium SS. Zamojszczyzna*, Lublin 2012.
- Niemcy o zbrodniach Wehrmachtu*, Warszawa 1997.
- Timothy Snyder, *Skrwawione ziemie*, przeł. B. Pietrzyk, Warszawa 2011.
- Daniel Jonah Goldhagen, *Wiek ludobójstwa*, przeł. M. Romanek, Kraków 2012.
- Christopher Hale, *Kaci Hitlera. Brudny sekret Europy*, przeł. M. Habura, Kraków 2012.
- Manus Midlarsky, *Ludobójstwo w XX wieku*, przeł. B. Wojciechowski, Warszawa 2010.
- Philip Zimbardo, *Efekt Lucyfera*, przeł. A. Cybulko, J. Kowalczevska, J. Radzicki, M. Zieliński, Warszawa 2012.

Skorzystałam także z wielu filmów, z których najważniejsze przywołałam w tekście mojej książki.

Informacje o zdjęciach

[1] Płonące domy w spacyfikowanej wsi Michniów, 12–13 lipca 1943. Wikipedia.

[2] Wieś na Kielecczyźnie podpalona przez Niemców. Wikipedia.

[3] Pacyfikacja Zamojszczyzny, wrzesień 1939. Bundesarchiv, Bild 101I-012-0016-32 / Kliem / CC-BY-SA.

[4] Polscy cywile prowadzeni na egzekucję, wrzesień 1939. Wikipedia.

[5] Zniszczona wieś Sochy, czerwiec 1943. Wikipedia. Kolekcja zdjęć z drugiej wojny światowej dr. Marka Tuszyńskiego.

Pozostałe fotografie pochodzą z archiwum rodzinnego Anny Janko.